

M A R I U S Z K A N I O S

UCZYNKIEM I ZANIEDBANIEM

Życie to opowieść,
która zawsze kończy się śmiercią.
W dobrym kryminale nic nie jest
tak oczywiste...

M A R I U S Z K A N I O S

UCZYNKIEM I ZANIEDBANIEM

Redakcja i korekta

Monika Mielcarek, red-kor

Redakcja techniczna

Joanna Ardelli

Opracowanie formatów mobilnych

Jakub Pilarski, eBooki.com.pl

Copyright © by Mariusz Kanios 2021

Copyright © by Wydawnictwo PIĄTE MARZENIE 2021

Druk i oprawa

Drukarnia READ ME, Łódź

Spis treści

[Uczynkiem i zaniedbaniem](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Rozdział 80](#)

[Rozdział 81](#)

[Rozdział 82](#)

[Rozdział 83](#)

[Rozdział 84](#)

[Rozdział 85](#)

[Rozdział 86](#)

[Rozdział 87](#)

[Rozdział 88](#)

[Rozdział 89](#)

[Rozdział 90](#)

[Epilog](#)

1

Nie ma ciekawszej opowieści niż szczerą spowiedź grzesznika. Ksiądz Piotr wciąż pamiętał dzień, w którym pierwszy raz założył stulę i usiadł w konfesjonale. Towarzyszyła temu obawa, ale też podniecenie. Nie seksualne, nic z tych rzeczy. Czuł inny rodzaj ekscytacji. Jak przed pierwszą randką, na której nigdy nie był. Przed pierwszą randką nikt nie myśli o seksie, a przed drugą już tylko o tym. Miał sucho w ustach ze zdenerwowania. Nie bał się odpowiedzialności ani tego, czy sprostą kapłańskiemu obowiązkowi. To nie tak. Krępowano go to, co mógłby usłyszeć. Te wszystkie wstydlive sekrety. Czerwienił się na samą myśl o tajemnicach, które za chwilę pozna, a jednocześnie zżerała go ciekawość. Wiele razy, jeszcze w seminarium, myślał o tym, a teraz miał to przeżyć.

Ogonek wiernych ciągnął się wzdłuż bocznej nawy. W zaciszu konfesjonału wyobrażał sobie krępujące grzechy młodej kobiety w za krótkiej jak na wizytę w kościele spódniczce i dramatyczne wyznanie eleganckiego mężczyzny po czterdziestce. Po starej babci, pierwszej w kolejce, wiele się nie spodziewał. Choć nie wykluczał, że może go czymś zaskoczyć. W sam raz na rozgrzewkę.

Rzeczywistość okazała się jednak inna. Kolejne osoby klękały i recytowały dziecinne formułki, wyuczone jeszcze przed pierwszą komunią świętą: nie mówiłam pacierza... jadłem mięso w piątek... obmawiałam sąsiadkę... więcej grzechów nie pamiętam... szczerze żałuję... Akurat!

Początkowo był oburzony, próbował dopypywać i zachęcać do prawdziwej spowiedzi. Głębokiej, będącej mistycznym przeżyciem zarówno dla grzesznika, jak i dla kapłana. Pragnął spowiedzi z ciężkimi

grzechami, filozoficznymi radami i spektakularnym nawróceniem. Raz nawet odesłał głupkowato uśmiechającego się młodzieńca na koniec kolejki, żeby porządnie zrobił rachunek sumienia i dopiero wtedy wrócił. Chłopiec wstał, pocałował stulę i wyszedł z kościoła, jak gdyby nigdy nic. Jedynym efektem zabiegów księdza Piotra była mniejsza liczba osób czekających do jego konfesjonału na pierwszopiątkową spowiedź. No i chmurne spojrzenie proboszcza, który co chwila zmieniał zdrewniałe półdupek i wypatrywał końca swojej długiej kolejki.

W końcu, gdzieś po pół roku, odpuścił. Walcząc z pokusą drzemki, spowiadał „jak należy” i zadawał za pokutę „Ojcze nasz” i „dziesięć zdrowaś” zamiast wyszukanych litanii. Tak wyglądały wszystkie kolejne spowiedzi. Tak było też dzisiaj.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

– Na wieki wieków...

– Tego, co powiem księdzu, nikomu ksiądz nie może powtórzyć, prawda?

Ksiądz Piotr uniósł głowę.

– Oczywiście, że nie. Sakrament spowiedzi jest święty. – Wyprostował się i przysunął do kratki. – Za wyjawienie tajemnicy kapłanowi grozi ekskomunika.

– Nawet sąd nie może z tej tajemnicy zwolnić? Ani papież, tak?

– Nawet papież – trochę skłamał, jako że właśnie papież może zwolnić z ekskomuniki w wyjątkowych przypadkach. – Możesz mi bez obaw wyznać swoje grzechy.

– W zasadzie to chcę wyznać jeden. Właśnie zabijam człowieka.

– Jak to „zabijasz”? – Z trudem nie podniósł głosu. – Żarty sobie robisz?

– Nie, to nie żart, proszę księdza. Morduję człowieka. To znaczy oczywiście nie w tej chwili, bo jestem tutaj. Chociaż w sumie on tam teraz

zdycha. Mówię prawdę. Słyszał ksiądz o tym chłopcu, co zaginął?

Głos zza krat konfesjonału brzmiał spokojnie, a twarz była poważna. Ksiądz Piotr zobaczył w szparach oczy i uwierzył, że mężczyzna nie żartuje. Wiedział, o jaką sprawę chodzi. Lokalne gazety rozpisywały się na temat zaginionego siedmiolatka z pobliskiego domu dziecka.

– Chciałem komuś o tym opowiedzieć. Bo zabicie człowieka to niesamowite przeżycie. Ale co z tego, jeżeli nie można się tym podzielić. To tak, jakby w pojedynkę iść do kina albo samemu jeść kolację przy świecach. No ale bałem się, że jak komuś powiem, to pójdzie na policję i mnie wyda. Wtedy wpadłem na pomysł, że przyjdę tutaj.

Na czole kapłana pojawiły się krople potu. Milczał, nie wiedząc, co powiedzieć. Siedział jak sparaliżowany i odruchowo zaczął się bezgłośnie modlić. Ten człowiek mówił prawdę.

– Niesamowite uczucie, że o tym powiedziałem... – Przez twarz za kratami przemknął uśmiech. – Pójdę już, proszę zapukać.

Chwilę czekał na reakcję księdza, bez skutku. W końcu sam zapukał. Przeżegnał się, wstał i zniknął w głównej nawie kościoła.

2

Komendant stwierdził, że nie wypada częstować rozpuszczalną kawą gości z Warszawy. Komisarz Sudoł stał więc w pokoju socjalnym komendy, mieszał kolejną kawę i czytał instrukcję obsługi ekspresu. Był podwójnie wkurwiony. Nie dość, że musiał kupić urządzenie za własne pieniądze, to jeszcze teraz ma się czym prędzej nauczyć je obsługiwać. Komendant kazał.

– Może z tym sobie poradzisz, bo ze śledztwem to żeś gównu zdziałał.

Stary chuj. Siedzi w tym gabinecie, komputer włączy nie wiadomo po co i gapi się na cycki grubej Danki. I ot, cała jego robota. Ale przyjebać to się umie. Za każdym razem, gdy wspomina o przyjeździe grupy ze stołecznej, musi mu dogryźć.

– Niankę ci przysyłają z Warszawy, będzie ci pieluchy zmieniać.

I jeszcze te kapsułki do ekspresu takie drogie. Nie dopytał w sklepie. Chciał tanio, a wyszło odwrotnie. Sprzedawczyni też nie powiedziała, że ekspres tani, ale kapsułki drogie. A przecież od tego tam jest! Jak dupa od srania.

Martwił się całą tą sytuacją. Miał świadomość, że zawalił sprawę. Minęły trzy dni, zanim zorientował się, że w zniknięciu chłopca jest coś nie tak. Trzy zmarnowane dni... Początkowo kazał przeszukiwać okoliczny las. Pół wsi przeczesywało teren razem z policjantami, nawet dzieci ze szkoły z nauczycielami. Psy ściągnął z Kielc; sprawdzali rzekę, nurków przysłali ze straży. Akcja wzorowo zorganizowana, tak jak nakazuje procedura.

Dopiero trzeciego dnia przejrzał dokładnie rzeczy chłopca i zauważył, że zniknęła większość ubrań. Przesłuchał inne dzieci z biduła. Dowiedział się,

że Szymek, bo tak miał na imię chłopiec, miał telefon. Nie wiadomo skąd. Jeden ze starszych chłopców znał numer – był niezarejestrowany, na kartę. Sprawdzenie logowań pokazało, że w dniu zaginięcia był w Tarnobrzegu o godzinie 11.12. Tylko jak się tam dostał? Nikt nie wiedział. Dom dziecka znajduje się w sąsiednich Durdach. Na przystanku go nie było. Autobusy jeżdżą rzadko, więc łatwo było ustalić, że do żadnego nie wsiadł. A nie mógł przecież przejść kilkunastu kilometrów piechotą w tak krótkim czasie. Ostatni raz widziano go na śniadaniu około 8.30. Ewidentnie ktoś go podwiózł. Ale kto mógł podwieźć siedmioletniego chłopca? Każdy normalny człowiek odwiózłby go z powrotem do sierocińca albo na policję.

Bał się najgorszego. Jeżeli coś się temu chłopcu stanie, to nie pogodzi się z tym do końca życia. Bo to będzie jego wina. Osobiście to spierdolił. Trzeba było zacząć od przesłuchania dzieci, nie czekać na żadnych psychologów. Ale skąd mógł to wiedzieć? Ostatnie jego śledztwo dotyczyło serii podpaleń krzewów na terenie ogródków działkowych. Nawet komendant rozwikłałby tę zagadkę, zwłaszcza że dzieciaki przybijały sobie piątki przy najbliższej kamerze miejskiego monitoringu, a corpus delicti, czyli podpałkę do grilla, kupiły na pobliskiej stacji paliw.

Może ci z Warszawy coś wymyślą i wszystko się dobrze skończy? Nieważne, że wyjdzie na łajzę. Niech się Sobczyk śmieje, ile chce, byleby tylko chłopaka znaleźli. I to żywego.

3

Kiedy miał kilkanaście lat, marzył o tym, żeby być superbohaterem. Ale nie takim jak Spider-Man, który walczy z potworami. Marzył, że jest niewidzialny, chodzi po obozie w Oświęcimiu i podrzyna gardła SS-manom. Czytał wszystkie książki o hitlerowskich obozach zagłady, które udało mu się zdobyć. Nienawidził nazistów za ich zwyrodnialstwo. Najgorsze były kobiety. Przeczytał kiedyś historię Marii Mandl – „Bestia z Auschwitz” mordowała dzieci, wrzucając je do pieca krematoryjnego żywcem i to na oczach matek. To było niepojęte okrucieństwo. Wiele razy przed snem wyobrażał sobie, jak po wyzwoleniu obozu oprawczyni trafia w ręce swoich ofiar. I on też tam był. Więźniarki były dobre i chciały puścić ją wolno. Ale nie on, on nie daruje jej tych dzieci. Wymyślał różne rodzaje męczarni i zadawał je. W wyobraźni patrzył, jak przerażona błaga o litość. Teraz była słaba, bezbronna. Suka. Za późno na skomlenie. Nie ma wybaczenia. Zadawał cios za ciosem. Zasypiał, bezwiednie zaciskając zęby.

A teraz patrzył mu w oczy, a raczej w jego oczy. Mógł to robić bardzo długo, bo sprawiało mu to wielką przyjemność. Nie jęki ze zdeformowanych ust, szarpanina skrępowanych członków podczas zadawania bólu czy spazmy umęczonego ciała, ale wyraz jego oczu w przerwach między torturami. Strach i błaganie. I łzy.

Sięgnął po stojące na stole żelazko, poślinił palec, by sprawdzić, czy jest już gorące. Oczy ofiary rozszerzyły się nienaturalnie.

4

Ksiądz Piotr nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wciąż myślał o wyznaniu męczyzny podczas spowiedzi. Na próżno przekonywał siebie, że to był tylko wygłup. Czuł, że ten człowiek mówił prawdę. Nie wiedział, co ma zrobić, lecz jedno było pewne – nie mógł tego tak zostawić. Próbował na zmianę czytać, co prawo kanoniczne mówi o tajemnicy spowiedzi, i szukać podpowiedzi w Internecie.

Szperając w sieci, przy okazji poznał historię zaginięcia chłopca. Wszyscy go szukali, ale nie tam gdzie trzeba – nie w rzece powinni sprawdzać, ale w kryjówce jakiegoś psychopaty. Setki ludzi trwoni czas, a chłopiec jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jak to on powiedział? „Teraz zdycha”. Boże wielki...

Coś musi zrobić. Może napisać anonimowy list na policję? Taki z informacją, że zabrnęli w ślepią uliczkę. Nie wspomniałby nic o mężczyźnie, tylko skierował sprawę w dobrą stronę. Tak, żeby nie złamać tajemnicy spowiedzi, ale naprowadzić ich na właściwy trop. Tylko kto weźmie na poważnie informacje niepodpisane i niepoparte żadnym rzeczowym argumentem? Wyrzucą kartkę do kosza, nawet nie doczytawszy do końca.

Gdyby mógł cofnąć czas, dowiedziałby się czegoś więcej. Spróbowałby wyciągnąć jakiś szczegół, który uwiarygodniłby jego wskazówki. Udawałby, że nie wierzy temu człowiekowi. Albo wyśmiał i sprytnie sprowokował do pokazania dowodu, że mówi prawdę. Żeby pokazał jakiś przedmiot, o którym nie pisano w gazetach. Łańcuszek z krzyżykiem na

przykład czy coś w tym stylu. Puścił wodze wyobraźni. Policjanci uwierzyliby. Musieliby wtedy uwierzyć.

– Księżę proboszczu, możemy porozmawiać?

Zupa stygła przed nim, ledwo tknięta.

– O masz! – stary ksiądz westchnął. – O czym znowu? Nie mam ochoty na dysputy o paleniu na stosie przy obiedzie, a małe Murzynki i bez chrztu jakoś do nieba pójdą, jak będą grzeczne.

– Chodzi o co innego... – Tym razem ksiądz Piotr nie miał ochoty na teologiczne przekomarzanki z proboszczem. – Co zrobić, jeżeli zachowanie tajemnicy spowiedzi może spowodować, że ktoś zginie? A ujawnienie pozyskanych informacji może człowiekowi uratować życie? Co by ksiądz proboszcz zrobił?

Leciwy duchowny przyjrzał mu się i spoważniał.

– Nie wolno zdradzić tajemnicy spowiedzi w żadnym razie – odparł spokojnie. – Musimy dźwigać to brzemień z grzesznikiem aż do śmierci, i to nie jego, tylko naszej. Nawet ojciec święty nie może nas z tego zwolnić. Nawet nasz papież Polak też nie mógłby zwolnić, gdyby żył.

– To co ja mam zrobić? Nic? Pozwolić, żeby... żeby ktoś zabił bliźniego?

– Porozmawiaj z grzesznikiem i przekonaj go, żeby się nawrócił na dobrą drogę. To jedyne wyjście.

– A jeśli już nie przyjdzie do mnie do spowiedzi?

– Przyjdzie... – Proboszcz zamyślił się. – Przyjdzie. A ty módl się, żeby Bóg dał ci mądrość, aby go nawrócić.

– A jak będzie za późno? – W głosie młodego kapłana słychać było strach.

– Chodźmy, pomodlimy się razem. – Staruszek podniósł się ciężko. – Co dwie zdrowaśki to nie jedna. Zupa poczeka.

Tak, to jest to. Nawróci go! Przekona z bożą pomocą, aby wypuścił chłopca! Musi tylko znaleźć odpowiednie argumenty. Musi być gotowy przed następnym spotkaniem. Uzbrojony w Pismo Święte i łaskę Ducha Świętego. Uratuje nie tylko chłopca, ale i tego mężczyznę, w imię Jezusa Chrystusa. Wreszcie może dokonać czegoś wielkiego!

5

Aspirant Nowacka przyjechała do komendy w Tarnobrzegu punktualnie o 7.30. Wiek: około trzydziestu lat, blondynka; ubrana w obcisłe dżinsy i białą dopasowaną koszulę – wyglądała młodo i atrakcyjnie. Poszła prosto do sekretariatu, nie pytając nikogo o drogę. Komendanta oczywiście jeszcze nie było, a Danka zajadała galaretę w occie. Sytuacja zaskoczyła je obie, przy czym pani aspirant powieka nawet nie drgnęła, za to sekretarka o mało nie narżnęła w służbowe rajtuzy.

– Pan komendant prowadzi czynności w terenie – wybełkotała. – Ale przyjedzie za niedługo, jak tylko odwiezie wnuczkę do przedszkola.

– W którym pokoju pracuje komisarz Sudoł? – zapytała Nowacka. – Jest już w pracy?

Nie było w tym pytaniu cienia złośliwości ani ironii.

– Sudoł jest, bo go widziałam – odpowiedziała szybko Danka. – Pójdzie pani nie tam, co pani szła, i zaraz za schowkiem, to trzecie drzwi będą, z kalendarzem w środku.

– Dziękuję, proszę dać mi znać, kiedy pan komendant będzie miał chwilę. – Uśmiechnęła się. – Będę w pokoju komisarza Sudoła.

Wyszła i używając jakiejś tajemnej wiedzy, trafiła bezbłędnie prosto do właściwego pokoju.

– Dzień dobry – powiedziała, zamykając za sobą drzwi, po czym spojrzała na kalendarz lokalnej firmy oponiarskiej z nagą modelką. – Aspirant Zuzanna Nowacka, będziemy razem prowadzić śledztwo w sprawie zaginięcia Szymona Gawrońskiego. Zostałam przydzielona do tej sprawy z grupy dochodzeniowej komendy stołecznej.

Sudoł wstał z biurka i podał rękę gościowi.

– Komisarz Paweł Sudoł. Bardzo mi miło. To znaczy, sprawa jest przykra, ale cieszę się, że będziemy razem pracować – poprawił się prędko.

– Proszę usiąść. Napije się pani kawy?

– Chętnie – odparła i uśmiechnęła się. – Rozpuszczalną z mlekiem. W kubku, jeśli mogę prosić.

Od razu ją polubił. Podeszedł do szafki trochę zbyt szybko. Był zdenerwowany, choć zrobiła na nim miłe wrażenie.

– Mocną? – wsypał już dwie łyżeczki i miał nadzieję, że nie będzie chciała z jednej. Musiałby odsypywać, a to byłoby trochę żenujące.

– Z dwóch łyżeczek poproszę. Czy biurko pod oknem jest wolne? – zapytała. – Będę potrzebowała miejsca do pracy.

– Chwilowo tak. Andrzej, mój współlokator, jest na zwolnieniu lekarskim jeszcze przez tydzień. Potem coś zorganizuję. – Podał jej kawę.

– Dziękuję. – Spojrzała na kubek z logo tej samej firmy co na kalendarzu. – Miejmy nadzieję, że prędko odnajdziemy chłopca i nie będzie potrzeby.

Przez chwilę poczuł lekkie rozczarowanie, że nie zostanie dłużej. Szybko jednak otrząsnął się i przesunął stertę dokumentów w jej stronę, chowając wcześniej leżącą na nich instrukcję obsługi ekspresu do szuflady biurka.

– To są akta sprawy. – Otworzył pierwszą z góry teczkę. – Dużo papierów, zeznań, ale niewiele istotnych informacji.

– Przejrzę je. – Postawiła kubek na „swoim” biurku i wróciła po dokumenty. – Czasami nowe spojrzenie pozwala wychwycić jakiś inny trop.

– Pomóc pani? – Wstał z krzesła. – To ciężkie.

– Nie trzeba. – Zwinęła włosy w coś zbliżonego do koka i upięła je przy pomocy zdjętej z nadgarstka gumki. – Możemy sobie mówić po imieniu?

Będzie prościej.

– Jasne. – Podał jej rękę. – Paweł.

– Zuza – powiedziała i znów się uśmiechnęła.

6

To był najbardziej niebezpieczny moment w realizacji planu. Nie zwabienie ofiary, schwytanie, przetrzymywanie jej w niewoli czy samo zabójstwo. Zdawał sobie sprawę, że największe ryzyko zaczynało się teraz, kiedy po kilku dniach od zniknięcia tego człowieka ktoś zgłosił zaginięcie. Wcześniej nikt się o niego nie martwił, nie interesował się tym, gdzie jest. Wszyscy mieli go w dupie. Teraz szukała go cała policja i najdrobniejsze przeoczenie mogło spowodować fiasko. Tysiąc szczegółów mogło naprowadzić na jego ślad. Wszechobecne dziś nowe technologie utrudniały pozostanie niezauważonym i anonimowym. Zdjęcie z przypadkowej kamery sklepowej, płatność kartą czy przeoczone logowanie telefoniczne. Musiał być bardzo ostrożny.

Na szczęście znał się na tym doskonale. Wirtualny świat pojmował lepiej niż ten realny, otaczający go na co dzień. W tym prawdziwym interesowało go do niedawna tylko to, czy świeci słońce, czy pada deszcz. Żeby wiedzieć, jak się ubrać. Niewiele go poza tym zajmowało. Był inny niż jego rówieśnicy. Na studiach uczył się dużo, nie imprezował, nie interesowały go dziewczyny. Zawsze skory do pomocy, nigdy nie prosił o nią innych. Koledzy go lubili, kilka dziewczyn nawet się w nim podkochiwało. Dziwak, ale w porządku.

Już na czwartym roku studiów zabiegały o niego duże firmy informatyczne. Nie był geniuszem, inni koledzy z kierunku też byli rozchwytywani. Studenci politechniki mieli opinię najlepszych i duże przedsiębiorstwa chciały mieć ich na liście płac, póki nie znali jeszcze swojej wartości. Wybrał sporą międzynarodową korporację, w której był

jednym z wielu. Szybko zyskał uznanie przełożonych i zaczął zarabiać niemałe pieniądze. Nie był duszą towarzystwa, więc nikogo nie zdziwiło, kiedy poprosił o możliwość pracy w domu, poza biurem. Ponieważ to, co zlecali, zawsze wykonywał bezbłędnie i przed czasem, dostał na to zgodę. Nie musiał już co rano wychodzić do biura, w związku z czym słońce i deszcz też straciły dla niego na znaczeniu.

Kupił siedmioletniego volkswagena dostawczego w wersji dla inwalidów, z wysuwającym podjazdem i wynajął mały, murowany domek w lesie pod Sandomierzem. Ze stodołą i zabudowaniami gospodarczymi. Z kiepskim dojazdem, oddalony od najbliższych gospodarstw o kilkaset metrów. Mógł wreszcie wdrożyć w życie swój od dawna opracowywany plan.

Teraz patrzył w jego otwarte oczy, ale nic już w nich nie widział. Były martwe. Musiał się pozbyć ciała. Tak, aby nikt go nie odnalazł. Nie tylko teraz, ale i po latach. Ciało w końcu zawsze jest kluczowe do schwywania zabójcy. Nowe metody śledcze pozwalają zidentyfikować zwłoki i ustalić DNA sprawcy nawet po wielu latach. Układając plan, długo szukał idealnego sposobu rozwiązania tego problemu. Zwłoki musiały zniknąć raz na zawsze. Zakopane nocą nawet w najbardziej odludnym lesie prędzej czy później odkopią zwierzęta. Potem znajdzie je jakiś grzybiarz albo zakochana para. Można by je spalić, ale do tego musiałyby mieć spory piec. Mógłby przed spalaniem poćwiartować trupa, lecz smród palonych członków zwróciłby uwagę sąsiadów. Utopienie w rzece też odrzucił. Nawet po obciążeniu napuchły i zżerany przez ryby topielec zawsze prędzej czy później wypłynie. W końcu znalazł rozwiązanie.

Była jedenasta w nocy, kiedy skończył ubierać trupa. Zasznurował mu czarne tanie półbuty i docisnął krawat. Cofnął się dwa kroki i spojrzał. Ciemny garnitur pomiał się trochę podczas wkładania na bezwładne ciało,

ale wszystkie blizny po torturach były ukryte. Skończył, ale coś było nie tak. Spojrzał jeszcze raz. Uśmiechnął się, a jednocześnie zaniepokoił. Niewiele brakowało, a by to przeoczył. Podeszedł, kciukiem i palcem wskazującym zamknął mężczyźnie oczy. Beznamiętnie, tak jakby gasił światło, wychodząc z pokoju.

7

Ksiądz Piotr tracił nadzieję. Był już gotowy na ponowną wizytę mężczyzny, jednak ten się nie pojawił. Co prawda minęły dopiero dwa dni od dramatycznego wyznania, ale przez to, że nie myślał o niczym innym, wydawały mu się wiecznością. Dziesiątki razy przeprowadził już w wyobraźni rozmowę z zabójcą. Przerobił wiele scenariuszy: od pełnych skruchy do butnych wyznań zatwardziałego grzesznika. W każdym zwyciężały jego argumenty i jak w hollywoodzkim filmie następował happy end. Niestety mężczyzna nie dawał mu szansy uratowania swojej grzesznej duszy. Nie pojawił się w kościele. Miecz Świętego Michała, gotowy do strącenia wcielenia szatana w piekielne czeluści, pozostawał bezużyteczny.

W wolny dzień ksiądz Piotr postanowił pojechać do Durd, gdzie wciąż trwały poszukiwania chłopca. Po cichu liczył, że może tam spotka porywacza.

Ubrał się po cywilnemu. Wziął od proboszcza kluczyki do parafialnej skody, napomniany przy tym kilkakrotnie, żeby jechał ostrożnie.

– Przy osiemdziesiątce tył zarzuca – ostrzegał stary. – Kupiłem go po wypadku od księdza Mariana, co przy spowiedzi u nas pomagał przed Wielkanocą.

– Tego, co w konfesjonale buteleczkę po wiśniówce zostawił?

– No tego, ale to nie była wiśniówka, tylko syrop. Bo ksiądz Marian podziębiony był. Strasznie słodki, aż gębę wykrzywiało... księdzu Marianowi – dodał i machnął ręką. – No, z Bogiem. Tylko powolutku, jakby ksiądz Najświętszą Panią do Betlejem wiózł, bo przeglądu nie ma.

Ksiądz Piotr wszedł do poobijanego ze wszystkich stron auta i pojechał do sierocińca.

Na dziedzińcu krzątało się wielu ludzi. Słysząc było ożywione rozmowy, gdzieniegdzie śmiechy. Dzieci biegały, pod wiatą palił się grill. Brakowało tylko waty cukrowej i Zenka Martyniuka w głośnikach. Podszedł do grupki stojącej obok różna.

– Dzień dobry! – Nie mógł się powstrzymać od surowego tonu. – Czy odnaleziono chłopca?

– Niestety nie... – Ucichli i spojrzeli nieufnie na nieznanego. – Cały czas szukamy.

– A to poszukam z wami. – Wziął od stojącego obok szcypce i podniósł skwierczącą kielbasę. – Ta już jest chyba gotowa.

Stali chwilę osłupiali.

– No przecież dzieci muszą coś zjeść – ocknął się ten, któremu ksiądz zabrał szcypce. – Oddaj pan.

– W portkach se kielbasę poruszaj – bąknął ktoś z tyłu, na co reszta zarechotała.

– A w ogóle to kim pan jest? Bo tu nie wolno wchodzić osobom postronnym – urzędowym tonem zapytał ewidentnie najważniejszy z zebranych, ubrany w garnitur.

– Jestem księdzem z Parafii Podwyższenia Krzyża w Sandomierzu. – Wyraźnie zbiło to zgromadzonych z tropu. – Ksiądz Piotr.

– Przepraszam księdza... Zenon Jakubek, dyrektor domu dziecka. – Elegancko odziany mężczyzna zmienił ton na sztucznie miły i podał mu rękę. – Emocje... wszyscy jesteśmy zdenerwowani tą sytuacją... Co księdza sprowadza?

– Chciałem podnieść na duchu poszukujących słowem Bożym, ale widzę, że bardziej by się musztarda przydała – ciągnął złośliwie, widząc ich

zmieszanie.

– Nie no, cały czas szukamy Szymka... – Dyrektor wziął go pod rękę. – Zapraszam księdza tam na ławkę, usiądziemy. Rysiu, rozdajcie kiełbaski dzieciom i idźcie szukać, póki jasno.

– W sumie to rzeczywiście nie ma sensu, chłopca i tak tu nie znajdziecie... – powiedział ksiądz bardziej do siebie.

8

Spędzili pracowity dzień, przeglądając dokumentację sprawy. Zuzanna pytała o szczegóły, których nie było w aktach, bo dla miejscowych policjantów były oczywiste. Topografia terenu, kto jest kim, lokalne relacje. Interesowało ją wszystko.

Czuł się dobrze. Był potrzebny, jak prawdziwy ekspert. Słuchała go z uwagą, a nie ciągle przerywała jak Bożena. Podobało mu się to. Z dekoltu rozpiętej na dwa guziki koszuli wystawał fragment koronkowego stanika, wypełnionego krągłością piersi. I to też mu się podobało.

Zerknął na zegarek. Było już po czwartej. Formalnie pracę skończył już pół godziny temu, ale głupio mu było wyjść jako pierwszy. Kolejne drzwi od pokoi zamykały się z trzaskiem – znak, że policjanci kończyli służbę. Teraz na komendzie panowała już głucha cisza. Spojrzał dyskretnie na policjantkę ze stołecznej. Wciąż trudno było mu ją nazywać po imieniu, nawet w myślach. Na ogół nie miał problemów w kontaktach z kobietami, na firmowych imprezach był pierwszym bawidamkiem. Ale to było co innego, ona miała w sobie coś onieśmielającego. Mimo jej naturalnego sposobu bycia i miłego uśmiechu, który prawie nie znikał jej twarzy, czuł dzielący ich dystans.

Spojrzał na opustoszały parking komendy. Stały na nim trzy auta. Oznakowana policyjna kia, jego dziesięcioletni ford i lśniaca biała toyota CHR z czarnym dachem na warszawskich numerach. Z napędem hybrydowym. Uśmiechnął się do siebie. Nawet gdyby parking był pełny, bez problemu zgadłby, że to jej auto. Pasowało do niej idealnie. Było nowoczesne, zgrabne i nie miał pojęcia, jak się je obsługuje.

– Trzeba to wszystko odwołać – powiedziała aspirant Nowacka, zamykając ostatnią tekturową teczkę, i wstała z krzesła.

– Co? – Wyrwała go z zamyślenia.

– Poszukiwania są bez sensu. – Rozpuściła włosy, zdejmując gumkę, i zupełnie nieświadoma swojej zmysłowości, usiadła na biurku. – Chłopiec nie zgubił się w lesie, nie utonął. Został uprowadzony, to jasne i ty dobrze o tym wiesz.

– Kiedy odwołamy poszukiwania, od razu zaczną się pytania. – Oparł się na krześle i splótł ręce na piersi. – Dziennikarze nie dadzą nam żyć.

– Rozumiem... – Jej ton złagodniał. Na zajęciach z psychologii uczyli ich odczytywać mowę ciała. Skrzyżowane na piersiach ręce były oznaką postawy obronnej, a ona nie chciała go atakować. – Ale nie możemy marnować czasu i środków tylko po to, aby zachować pozory. Utajnimy śledztwo i będziemy robić swoje.

– Przed komendantem nie zasłonisz się tajemnicą śledztwa... – Uśmiechnął się kwaśno. – A jemu dupę przetrzepie burmistrz. Podobno codziennie do niego dzwoni. Wybory niedługo i wszyscy chcą się wykazać. Całe miasto żyje tym zaginięciem. A wiadomo, mieszkańcy to wyborcy. Na radzie miasta komendant przedstawił niedawno raport, naopowiadał o „zakrojonych na szeroką skalę działaniach policji, przy użyciu najnowszych technologii i współpracy z komendą wojewódzką i stołeczną”. Nie spodoba mu się, jak będzie musiał teraz powiedzieć, że gównu wiemy, a całe to „profesjonalne” zamieszanie z nurkami, dziećmi ze szkoły i psami było stratą czasu i marnowaniem pieniędzy podatników.

– To wszystko nie ma znaczenia, liczy się tylko znalezienie tego chłopczyka. – Wstała i wzięła torebkę. – Załatwmy to od razu. Pojedziemy moim samochodem.

– Teraz? – zdziwił się. – Dzisiaj?

Zawsze wychodził z pracy punktualnie. Miał dwa nieodebrane połączenia od Bożeny i SMS-a, że ma kupić jajka.

– Tak, musisz ze mną pojechać, bo mnie nie znają. – Wyciągnęła z torebki kluczyki. – Chodźmy.

– Mogę tam zadzwonić. – Wyszedł zza biurka. – Nie jesteś zmęczona? Dzisiaj przyjechałaś.

– Kurcze, przestępcy nie popełniają zbrodni w ramach etatu. – Odwróciła się. – Jak mamy ich łapać, pracując od siódmej do piętnastej? Przecież to absurd. Oni nie uciekają przed policją osiem godzin dziennie. I to jest ich największa przewaga nad nami. Mają swoją silną motywację, czyli pieniądze albo jakieś patologiczne skłonności. Coś, co napędza ich dwadzieścia cztery godziny na dobę. A policja? Większość przychodzi jak do biura, poprzekładać papierki, odrobić pańszczyznę i do domu. A tak się nie da! To nie działa! Od nas zależy ludzkie życie!

– Dobra, zadzwonię tylko do domu. – Udzieliło mu się jej zaangażowanie. Wyjął z kieszeni telefon. – Dogonię cię.

– Przepraszam, nie ma pośpiechu. – Uspokoila się. – Zaczekam na dole.

9

Chłopiec zasnął. Mężczyzna chwilę patrzył na jego niewinną twarz. Buzię miał lekko rozchyloną, różowe policzki. Spał zdrowym snem z rękami ułożonymi nad głową. Blond loki opadały na poduszkę. Jak on może tak spokojnie spać?

Wstał trochę gwałtownie, włączył elektroniczną nianię i schował do kieszeni odbiornik. Wziął talerz z niedokończoną kanapką i kubek. Ostrożnie zamknął drzwi pokoju i przeszedł do kuchni. Włożył do zlewu brudne naczynia, posprzątał ze stołu i pozmywał. Wytarł ręce, założył polar i wyszedł z domu.

Musiał dzisiaj wszystko przygotować. Przeszedł przez podwórze ścieżką do letniej kuchni. Było już zupełnie ciemno, a na podwórzu nie paliła się żadna lampa, ale nie używał latarki. Wokół szumiał las, w oddali czekały psy. Przed drzwiami przystanął i rozejrzał się. Nic nie usłyszał, nic nie wzbudziło jego niepokoju. Przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i zamknął je za sobą, nie włączając światła. Dopiero teraz pstryknął stary włącznik, a słaba żarówka oświetliła kolejne drzwi.

Pół roku temu sam je zamontował w wybudowanej samodzielnie wewnętrznej ścianie. Okazało się to całkiem łatwe. Ściankę zrobił z bloczków i gotowej zaprawy, posiłkując się filmikiem z Internetu. Może nie wyszło idealnie, ale nie miało to żadnego znaczenia. Okna wewnątrz zamurował. Przy pomocy pianki montażowej obsadził framugi i wstawił drzwi. Na podłodze rozłożył łatwo zmywalne linoleum. Ściany w całym pokoju wygłuszył, przyklejając grubą na trzydzieści centymetrów warstwę styropianu. Testy wypadły pomyślnie – wstawiony do wnętrza spory

głośnik, grając na maksymalnej mocy, nie był słyszalny na zewnątrz. Usunął ściankę łazienki, teraz ubikacja znajdowała się w kącie sporego, otwartego pomieszczenia. Nad muszlą mocno przykręcił do podłogi solidne metalowe krzesło, kupione na targu staroci w Sandomierzu. Nożycami do blachy wyciął w nim otwór, bezpośrednio nad sedesem. Do każdej nogi krzesła były przymocowane kajdanki. W miejscach mocowania metal był wyszlifowany aż do połysku. Po przeciwnej stronie niedużego pokoju stał stół, obok duży wygodny fotel, a po jego bokach dwa reflektory przemysłowe, używane na budowach. W tej chwili były wyłączone, a jedynym oświetleniem była żarówka pod sufitem. Za fotelem na statywie stała nowoczesna kamera HD. Na ścianie obok wisiał olbrzymi, sześćdziesięciopięciocalowy telewizor o wysokiej rozdzielczości, który kontrastował z surowym wnętrzem, jak w jakimś designerskim lofcie. Efekt nie był jednak zamierzony. Na stole leżały wkrętarka, obcęgi i młotek. Obok żelazko, torba soli kuchennej i mała drewniana szkatułka. Podniósł ją i przekręcił delikatną korbkę. Rozległ się cichy dźwięk pozytywki. Usiadł w fotelu i kręcił dalej. Powoli, w równym tempie. Z pudełka popłynęła melodia, znany przebój Lennona – „Imagine”. Było w tym prostym mechanicznym urządzeniu coś magicznego. Dźwięk był kojący. Jemu niestety kojarzył się tylko z bólem, strachem i cierpieniem.

10

Na dziedziniec sierocińca bezgłośnie wjechała toyota, wywołując ogólne poruszenie. Nowoczesny wygląd i cichy elektryczny napęd przyciągały uwagę. Dzieci zaglądały do środka, podobnie jak odciągający je dorośli.

Pierwsza z samochodu wysiadła Zuzanna. Dopiero kiedy z auta wyłonił się komisarz Sudoł, dyrektor sierocińca ruszył w ich stronę.

– Przepraszam, to policja. – Dotknął ramienia księdza Piotra. – Dziwne... o tej porze? Dowiem się, co ich sprowadza.

– Tak, tak. Zresztą ja już będę się zbierał – odparł duchowny i podał dyrektorowi dłoń na pożegnanie. – Do widzenia i szczęść Boże.

– Szczęść Boże... – odpowiedział Jakubek, myślami będąc już daleko.

Podszedł do policjantów i przywitał się, nie kryjąc zaskoczenia, że zjawili się popołudniową porą. Paweł skrzywił się, bo w kontekście wygłoszonego na komendzie przemówienia Zuzanny na temat godzin pracy zabrzmiało to słabo. Ona oczywiście przeszła nad tym do porządku, nie robiąc najmniejszej aluzji.

– Chcielibyśmy porozmawiać na osobności – komisarz podsycił jeszcze jego ciekawość. – Możemy przejść do pana gabinetu?

– Oczywiście. – Przez twarz dyrektora przemknął niepokój. – Zapraszam.

Zuzanna rozglądała się bacznie po podwórzu. Jej uwagę zwrócił ksiądz Piotr. Przeszedł obok niej szybkim krokiem, nie patrząc w ich stronę. Wsiadł do auta i odjechał, spoglądając w tylne lusterko.

– Zapraszam panią – zwrócił się do niej Jakubek. – Panie komisarzu, proszę przodem. Zna pan drogę.

Gabinet był umeblowany w starym, komunistycznym stylu. Biurko, prezesowski fotel ze sztucznej skóry, naprzeciwko dwa krzesła. Pod oknem paprotka, wersalka, ława i dwa fotele z wytartymi siedziskami. Na ścianach wisiały prace dzieci, co pewnie miało dodać pomieszczeniu ciepła. Niektóre były nawet udane. W mniemaniu dyrektora świadczyły one o jego osobistym zaangażowaniu i miłości do podopiecznych, ale Zuzanna była pewna, że nie wymieniliby nawet imion autorów rysunków. Znała ten typ. Nawet jeżeli kiedyś mu zależało, to było to dawno i już minęło. Łatwo można to było wywnioskować z zachowania dzieci, które dyskretnie usuwały się z pola widzenia, kiedy szli do jego pokoju. Usiedli w fotelach.

– Pani Halinko! Trzy kawy! – zawołał Jakubek w odmęty korytarza. – Chyba że się państwo czegoś innego napiją?

– Może być kawa. – Zuzanna uśmiechnęła się do dyrektora. – Chcieliśmy pana poinformować o zmianach w śledztwie.

– Słucham – odparł i usiadł na wersalce. Po jego twarzy znów przemknął niepokój. – Co to za zmiany?

– Proszę zaprzestać poszukiwań obywatelskich. – Paweł uniósł się lekko na fotelu. – Uważamy, że Szymon nie zgubił się w okolicy domu dziecka. Nie możemy więcej powiedzieć, ponieważ śledztwo zostało, dla jego dobra, utajnione. Ważne, żebyście odwołali poszukiwania, możliwie w dyskretny sposób, nie wywołując zbędnej sensacji. To dla dobra śledztwa bardzo ważne – podkreślił.

Rozmowa ucichła, bo do pokoju weszła pani Halinka w białym fartuchu i czepku na głowie, z trzema parzonymi kawami w szklankach. Bez słowa postawiła tacę na ławie.

– Panie dyrektorze, ziemniaków ni ma na jutro do zupy – zakomunikowała, nie zwracając uwagi na gości.

– Pani Halinko, jak to nie ma? – Dyrektor był zakłopotany. – To proszę skonsultować się z panią dietetyk.

– Ni ma, bo Rysiek do ogniska zabroł, a dietetyczka powiedziała, że pierdoli, i poszła do domu. Jo tyż ziemniaczany bez ziemnioków to nie umiem ugotować.

– Pani Halino – Jakubek z trudem się powstrzymywał – porozmawiamy później. Gości mam teraz i ważniejsze sprawy na głowie.

Kobieta wyszła bez słowa, pozostawiając szefa w zakłopotaniu, a gości w lekkim rozbawieniu.

– Przepraszam bardzo, u pani Halinki co w sercu, to na języku. – Uśmiechnął się sztucznie. – Czyli poszukiwania odwołujemy. A czy policja ma jakiś inny trop? Czy może...

– Są nowe wątki w śledztwie, ale nie możemy tego na razie upubliczniać – przerwał mu komisarz. – Ze względu na dobro śledztwa – dodał szybko. – W tej chwili najważniejsze jest, żeby policja mogła spokojnie pracować. Wszelki rozgłos będzie szkodliwy, więc jeszcze raz proszę o dyskrecję.

– Oczywiście! – Dyrektor był ewidentnie podenerwowany.

– Kim był ten młody mężczyzna, który stał z panem na dziedzińcu? – Zuzanna nagle zmieniła temat. – Odjechał srebrną skodą.

– To ksiądz z sandomierskiej parafii. – Napięcie na twarzy dyrektora zelzało. – Pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża. Taki, wiecie, mądrzejszy niż radio. Mam nadzieję, że nie uraziłem. Pytał się o poszukiwania. Sam chodzę do kościoła, ale ksiądz to powinien mszę w intencji znalezienia chłopca odprawiać, a nie mieszać się do poszukiwań i pouczać innych. A ten nie dość, że nie pomaga, to zniechęca. Też mówił, żeby przestać szukać. To może on już od was wiedział?

– Ksiądz mówił, żeby przestać szukać? – Sudoł nie ukrywał zdziwienia. – Dlaczego?

– Twierdził, że i tak chłopaka nie znajdziemy. – Jakubek był zadowolony, że rozmowa poszła w tym kierunku. Ksiądz Piotr nie przypadł mu do gustu. – A co on mógł wiedzieć o poszukiwaniach? Przyjechał na piętnaście minut i ocenia innych, co od tygodnia praktycznie po nocach nie śpią. Przez pierwsze trzy doby nocowałem tu, na wersalce. Ale kto to doceni? Każdy umie krytykować. A jak trzeba pomóc, to nikt nie ma czasu, bo każdy ma swoje sprawy. Nie powiem, w pierwsze dni to wszyscy szukali, ale teraz to jakbym kiełbaski na grilla nie kupił za własne, to nikt by nie przyszedł. Tacy ludzie.

– Zrobił pan kawał dobrej roboty – rzuciła Zuzanna i pokazała w uśmiechu białe zęby, po czym sięgnęła po cukierniczkę.

„Kawał dobrej, nikomu niepotrzebnej roboty...” – dodał złośliwie w myślach Sudoł i wziął od niej cukier.

11

Ksiądz Piotr siedział w kancelarii parafialnej i czytał artykuł, który ukazał się na stronie internetowej lokalnej gazety. Napisali, że policja przerwała poszukiwania chłopca w okolicach domu dziecka. Rzecznik komendy informował o utajnieniu śledztwa dla dobra sprawy. Mówił ogólnie o nowych wątkach w dochodzeniu i sugerował rychły przełom w poszukiwaniach. Dziennikarz próbował wyciągnąć z rozmówcy coś więcej, by nadać wywiadowi bardziej sensacyjny ton. Pytał, czy policja podejrzewa uprowadzenie. Czy szuka chłopca, czy jego ciała? Na niewiele się to jednak zdało, rzecznik był lakoniczny i ograniczał wypowiedzi do standardowych, okrągłych formułek. Autor artykułu musiał sobie radzić sam. Przeszedł więc od faktów do hipotez opisujących niebezpieczeństwa współczesnego zdeprawowanego świata: handel dziećmi na narządy i powszechną pedofilię. To zdecydowanie dodało dramaturgii artykułowi i pewnie wydatnie zwiększyło jego wierszówkę.

Nawet nie wie, jak blisko jest prawdy. Na pewno bliżej niż policja. Chociaż fakt, zakończenie bezsensownego przeczesywania okolic domu dziecka było krokiem w dobrą stronę.

Ksiądz Piotr zastanawiał się, czy powinien inaczej się zachować wtedy w sierocińcu. Może powinien zaczepić policjantów? Ale co miałby im powiedzieć? To bez sensu. Porywacz nie pokazał się, a on stracił już wiarę, że ma w tej sprawie jakąś ważną rolę do odegrania. Wszystko było teraz w rękach Boga i policji. Nie jest przecież serialowym ojcem Mateuszem i musi zająć się swoją kapłańską posługą.

Zamknął stronę gazety i przeszedł na portal parafii, gdzie miał zamieścić ogłoszenia na najbliższy tydzień. Należało to do jego obowiązków, jako że proboszcz nie znał się na komputerach. Dla starego księdza kalkulator to wciąż był komputerek. Wpisał informację o spotkaniach duszpasterskich: we wtorek Odnova w Duchu Świętym, w środę Legion Maryi... O, te są dobre! Już dawno osiągnęły wyżyny obłudy. A przecież początki tego katolickiego stowarzyszenia były naprawdę szczytne. Franciszek Duff był jedną z jego ulubionych postaci Kościoła. Wraz z piętnastoma kobietami założył Legion Maryi, aby pomagać prostytutkom i dać schronienie bezdomnym. Nieśli bezinteresowną pomoc najbiedniejszym. A dziś? Legionistki z ich parafii kłócą się tylko, czyja kolej kościół posprzątać. Raz w roku nagotują jajek na twardo na drogę i jadą na wycieczkę do Lichenia. A jak się gorzka żołądkowa w drodze powrotnej znajdzie, to i kierowca się propozycji nasłucha. Ze szczytnej idei zrobiły sobie klub o lekkim zabarwieniu erotycznym. Jeżeli w ogóle można mówić o erotyce w przypadku tych sprośnych starych bab. Świat schodzi na psy, a on nic nie może na to poradzić.

W rogu ekranu pojawił się komunikat o nowej wiadomości w poczcie elektronicznej. Kliknął – mail z kurii z linkiem do listu biskupa na niedzielę. Ksiądz Piotr najechał myszką i znów kliknął. Link przekierował go na stronę. Nim zdążył się zorientować, na ekranie komputera pokazał się film porno. Starszy mężczyzna i nagi kilkunastoletni chłopiec. Przerażony odruchowo zamknął witrynę najszybciej, jak mógł.

– Jak to się włączyło...? – pomyślał na głos.

Nie zdążył ochłonać, a na ekranie komputera znów pojawiła się strona z podobnym filmem. Zanim ją zamknął, pokazała się kolejna i kolejna. Klikał, ale następne filmy włączały się jeden po drugim.

– Co jest?! – Siedział przez moment bezradny, w końcu szybko schylił się i wyciągnął wtyczkę z gniazdka. Usiadł i oddychał głęboko. – Skąd to się wzięło. Jakiś wirus... Ale jak to możliwe? W mailu z kurii?

Boże, co za ludzie. Tak dzieci krzywdzić. Oparł łokcie na biurku i skrył twarz w dłoniach. Nie mógł się pozbyć obrazów spod zamkniętych powiek. Był naprawdę poruszony. Potrzebował dłuższej chwili, żeby dojść do siebie. Początkowe przerażenie przeszło w przygnębienie. Tym światem rządzą najgorsze instynkty, człowiek już całkowicie stracił kontrolę nad swoją grzeszną naturą. Czy po to Bóg dał nam wolną wolę, żebyśmy mogli upaść tak nisko?

Wziął wiszący na stojącym krzyżyku różaniec i zaczął się modlić.

12

Nazywał się Janusz Balcerzyk. Odnalazł go bez większego problemu. Nawet w tak dużym mieście jak Gliwice. To zadziwiające, jak łatwo ludzie udzielają poufnych informacji, jeżeli widzą możliwość zarobienia dzięki temu pieniędzy. Każdy pracownik instytucji będzie strzegł danych osobowych jak niepodległości, jeżeli udzielenie informacji mogłoby komuś bezinteresownie ułatwić życie. Są jednak bardzo „pomocni” i w ramach „wyjątku” powiedzą wszystko, jeżeli pozwoli im to zrealizować ich plan sprzedaży czy odnieść inną korzyść. Wystarczyło, że zaczął rozmowę w salonie z telefonami od obejrzenia najnowszego iPhone’a w bardzo drogim abonamencie, a po podaniu nazwiska i daty urodzenia Balcerzyka sprzedawczyni sama znalazła niezbędne do zakupu dane „jego ojca” i zgodziła się wysłać ponownie zaginione faktury na adres domowy. Potwierdzając przy okazji, że jest on jest aktualny.

Balcerzyk mieszkał w starej kamienicy w Śródmieściu, blisko placu Grunwaldzkiego. Pojechał tam i obejrzał dokładnie okolicę miejsca zamieszkania przyszłej ofiary. W drzwiach mieszkania zostawił karteczkę z informacją o obowiązkowym przeglądzie instalacji gazowej w łazience. Był tam numer kontaktowy i godziny, w jakich pan Janusz miał zadzwonić.

Zatelefonował nazajutrz. Był gburowaty, ale umówili się na wizytę za dwa dni.

W ustalonym terminie zatrzymał auto tuż obok wejścia do kamienicy Balcerzyka. W zasadzie nie wolno tam było parkować, ale jego volkswagen z paką oklejoną napisem „pogotowie gazowe” mógł tam stać bez

przeszkód. O umówionej godzinie wszedł na trzecie piętro i zapukał do drzwi. Był cały spięty, ale dobrze wiedział, co ma robić.

Po dłuższej chwili zamek zgrzytnął i w drzwiach stanął rosły mężczyzna, ogolony na łyso, z wieloma bliznami na twarzy. Wyglądał tak jak na zdjęciu. Nie miał wątpliwości, że to Janusz Balcerzyk.

– Dzień dobry! – Stał w szarym uniformie z napisem „pogotowie gazowe”. – Ja do sprawdzenia instalacji gazowej.

– Aha... – Balcerzyk odsunął się, robiąc przejście. – Awaria jakaś?

– Nie. – Wszedł do środka. – Rutynowa kontrola. Chociaż pod dwójką gaz się ulatniał. Łazienka tam?

– Prosto. – Mężczyzna szedł za nim wolnym, zwalistym krokiem. – Piecyk co chwila się pierdoli.

– Zaraz sprawdzimy. – Wyciągnął z torby czujnik gazu i przysunął końcówkę wężyka do pieca. Włączył, wskaźnik drgnął. – Chyba dobrze jest.

– Jak, kurwa, chyba? – burknął Balcerzyk. – To dobrze czy źle?

– A raz tak pokazuje, raz tak... – Zwinął przewód i schował miernik do torby. Wyciągnął notatnik i coś zapisał. – Najlepiej, jakby sobie pan kupił taki czujnik tlenku węgla i gazu ziemnego. Czad też wykrywa. Bo te piecyki stare są i nieszczelne. Na Daszyńskiego to o mało nie wyleciała w powietrze cała kamienica, dlatego teraz sprawdzamy.

– Ile taki czujnik? – Balcerzyk oparł się o framugę i przyglądał piecykowi.

– Zależy, my z zakładu mamy takie po trzysta... – Zamknął torbę. – Ale za to montujemy za darmo tam, gdzie się gaz ulatniał. Mam jeden pod dwójkę, ale tam nikogo nie ma. A mieli być. Będę musiał drugi raz przyjechać.

– To zamontuj pan u mnie – ożywił się.

– Ale u pana się nie ulatnia. – Spojrzał na urządzenie. – Chociaż stary już ten piecyk, przydałoby się wymienić.

– No właśnie. Mówiłeś pan, że raz tak pokazuje, raz tak. To znaczy, że się ulatnia – ciągnął. – Zamontuj pan u mnie, co będziesz dwa razy jeździł. Jak Wąsikowej spod dwójki nie ma, to chuj jej w dupę. Widocznie nie potrzebuje.

– Dobra... – odparł po chwili wahania. – Ale musimy zejść do samochodu. Podpisze pan protokół przekazania i dam panu czujnik. Sam sobie pan przykręci, bo ja już nie mam czasu. Na kołku się montuje, w łazience, blisko piecyka.

– Czekaj pan! – Uśmiechnął się zadowolony. – Tylko sweter ubiorę.

Zeszli na dół i podeszli do zaparkowanego auta. „Pracownik gazowni” wyjął kluczyki z kieszeni i otworzył Balcerzykowi drzwi od strony pasażera.

– Niech pan wsiada, podpiszemy papiery. Z tyłu mam te czujniki – rzucił i zamknął za nim drzwi. Kątem oka spojrzał na rosnącego mężczyznę siedzącego na przednim siedzeniu, po czym wszedł na tył samochodu.

Szybkim ruchem przyłożył Balcerzykowi przygotowany wcześniej paralizator do karku i nacisnął przycisk. Prąd wstrząsnął potężnym ciałem i wprawił je w spazmy.

– Ty skur...

Impuls elektryczny o napięciu pięciuset tysięcy woltów w kilka sekund sparaliżował układ nerwowo-mięśniowy ofiary. Ciało wyprężyło się i opadło zwiotczone na siedzenie.

Odłożył paralizator i szybko przesiadł się na fotel kierowcy. Miał dziesięć minut na skrępowanie nieprzytomnego, zanim ten odzyska świadomość. Ale najpierw musiał odjechać. Zbyt wielu ludzi kręciło się w pobliżu.

Chwilę później zaparkował we wcześniej upatrzonej bocznej uliczce. Wyciągnął aluminiową, zbrojoną cienkim drutem taśmę i szybkimi ruchami mocował bezwładne ciało do fotela auta. Najpierw tułów, szyję do zagłówka, później skrępował razem nogi i przytwierdził do dźwigi regulacji siedzenia. Mocno, z całej siły. Zużył w ten sposób cztery rolki taśmy. Na koniec kilkoma uciętymi kawałkami zakleił ofierze usta. Sięgnął na tył auta po koc i przykrył mężczyznę aż po szyję. Na głowę wsunął mu czapkę z daszkiem, zasłaniając w ten sposób twarz.

Spojrzał na swoje dzieło i rozsiadł się w fotelu. Zamknął oczy, odchylił do tyłu głowę i uspokoił oddech. Przekręcił kluczyk, zapalił silnik. Włączył kierunkowskaz i ruszył powoli w kierunku Sandomierza, do drogi numer 94, by uniknąć autostrad.

13

Naradę rozpoczął komendant.

– Moi drodzy, sytuacja jest chujowa. Szczegóły przedstawi komisarz Sudoł. Proszę bardzo – powiedział i siadając, wskazał na Pawła.

Na sali było pięć osób: komendant, Paweł, Zuzanna i dwóch nowych członków powołanego przez policję wojewódzką zespołu dochodzeniowego. Byli to doświadczeni policjanci kryminalni wybrani z komend z regionu. Z sukcesami. Zostali wyłączeni z innych postępowań, aby pomóc w śledztwie dotyczącym zaginięcia chłopca. Sprawie nadano najwyższy priorytet.

– Podejrzewamy, że Szymon Gawroński został uprowadzony. – Komisarz Sudoł pochylił się nad stołem, aby wszyscy go widzieli. – Zapoznaliście się z aktami sprawy, więc nie będę ich szczegółowo przytaczał. Wiecie, że jest tu sporo niewiadomych. Jak dostał się do Tarnobrzega w dniu zaginięcia? Skąd miał drogi telefon? Dlaczego sygnał jego telefonu zniknął w Tarnobrzegu i już się nie pojawił? Jak to możliwe, że chłopca nie zarejestrowała żadna z kamer miejskiego monitoringu? Gdzie teraz przebywa? I najważniejsze pytanie: czy żyje? Możemy liczyć na pomoc specjalistów z komendy stołecznej, z którymi bezpośredni kontakt ma aspirant Nowacka. Na co dzień z nimi działa, więc gwarantuje sprawną współpracę.

Usłyszeli pukanie, po którym do gabinetu weszła Danka. Postawiła przed komendantem paluszki w szklance, nachylając się i umiejętnie eksponując dekolt. Widząc napięcie panujące w pokoju, przyłożyła wymownie palec do ust, uśmiechnęła się filuternie i wyszła, cicho domykając drzwi.

– Niestety nie mamy żadnego tropu – kontynuował Sudoł. – Błędzimy po omacku, dlatego na tę chwilę nie ma głupich pomysłów. Jesteśmy otwarci na wszelkie sugestie. Aspirant Nowacka przedstawi podjęte przez nas działania.

– Przede wszystkim sprawdzamy środowisko chłopca – zaczęła Zuzanna. Przed nią stał mały laptop. – Informatycy ze stołecznej zebrali już adresy IP telefonów i komputerów wszystkich pracowników sierocińca, a także kilku starszych dzieciaków, choć większość komórek nie ma. Przy pomocy specjalistycznego oprogramowania mają wyłapać wszystkie informacje mające choćby najmniejszy, bezpośredni lub pośredni związek z Szymonem. Sprawdzą Facebooka, pocztę internetową i historię przeglądania stron WWW do pół roku wstecz. Sprawdzą też bilingi telefonów. Od dziś rozpoczniemy ponowne przesłuchania wszystkich dzieci i personelu domu dziecka. Będziemy potrzebowali kilku funkcjonariuszy do rozpytywania mieszkańców wsi – to mówiąc, spojrzała na komendanta. Skinął głową w milczeniu, nie przerywając jej. – Może ktoś widział coś nadzwyczajnego lub ma coś ciekawego do powiedzenia w tej sprawie. Niezależnie od działań lokalnych sprawdzimy wszystkich pedofili przebywających obecnie na wolności. W pierwszej kolejności tych, którzy mieszkają w pobliżu i byli skazani za przestępstwa wobec chłopców. W pokoju komisarza Sudoła codziennie rano o 7.30 będzie odprawa, w trakcie której zaplanujemy działania na cały dzień i podzielimy się obowiązkami. Wieczorem, o 20.00, spotykamy się w tym samym pokoju, żeby podsumować zebrane informacje i wspólnie ustalić plan działania na kolejne dni. Dzięki panu komendantowi mamy zapewniony catering, więc w ciągu dnia zajmujemy się tylko Szymkiem i prywatne sprawy idą w odstawkę. Mają panowie jakieś pytania?

Nikt nie śmiał nawet podnieść ręki.

– No to do roboty! – skwitował komendant i klepnął dłońmi w uda. – Komisarzu, codziennie po odprawie proszę do mnie. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

– Tak jest, panie komendancie! – Sudoł czuł ciężar tej sprawy. Wiedział, że zaważy na całej jego karierze.

Pokój Pawła został przemeblowany na okoliczność pracy w większym zespole. Biurka zostały dosunięte do ścian, a na środku ustawiono dwa złączone stoły przyniesione ze stołówki. Wokół sześć krzeseł. Pod ścianą Zuzanna umieściła dużą tablicę z papierami. Miało się na nich znaleźć wszystko, co dotyczy śledztwa. Zapisane pisakami karty wędrowały też na ścianę, przyczepiane za pomocą taśmy. Komendant wydał zakaz wchodzenia do pokoju innym policjantom. Tylko Danką, odpowiedzialną za dostarczanie posiłków, miała zgodę na wejście.

Następnego ranka usiedli przy stole. Na środku stał talerz z kanapkami. Miały oczy z rzodkiewek z ziarenkami pieprzu i uśmiechy z pomidorków. Popatrzyli po sobie.

– Kurwa, chciałbym żyć w tym świecie co ona... – Paweł wziął talerz i przestawił na biurko pod oknem. – Do roboty jeździłbym na jednorozcu.

Zaśmiali się, Zuzanna podeszła do biurka i wzięła jedną kanapkę.

– Kto zajmie się sprawdzeniem recydywistów pedofili? – zapytała, jednocześnie przełykając kęs.

Paweł nie miał nic przeciwko temu, że przejęła inicjatywę.

– Ja mogę. – Bogdan Kulesza z komendy Rzeszowie miał czterdzieści osiem lat i wiele rozwiązanych spraw na koncie. Miał na sobie tani garnitur w niemodnym kroju, koszulę i nijaki krawat. – Prowadziłem dwa lata temu sprawę gwałtu na nieletniej, więc znam temat.

– Dobra! – powiedział Sudoł i podsumował go w myślach: „Konkretny facet”.

– Wezmę kilku mundurowych i rozpytam mieszkańców wsi – dodał Grzegorz Chmielny z Leska, który był mniej więcej w wieku Pawła. Dobijał czterdziestki, ale ramoneska, spodnie bojówki i czarne martensy znacznie go odmładzały. Prawdziwie młodzieńczego uroku dodawały mu jednak długie, założone za uszy, włosy i okulary lenonki.

– OK. – Zuzanna była zadowolona. Ich postawa dobrze wróżyła przyszłej współpracy. – W takim razie ja pojedę jeszcze raz do domu dziecka, porozmawiam z dziećmi i personelem.

– To chyba wszystko mamy ustalone – zakończył spotkanie Sudoł. – Pogadam jeszcze raz z komendantem na temat umieszczenia zdjęcia chłopca w mediach. Góra nie chce rozgłosu, ale chyba nie ma na co czekać. Przyjadę później do sierocińca i pomogę ci z przesłuchaniami pracowników.

14

Miejscowa pani psycholog siedziała obok i jednostajnie przesuwała kciukiem obrazki na ekranie swojego smartfona. Dyrektor zadbał, aby rozmowy z dziećmi odbywały się w jej obecności. Aspirant Nowacka rozmawiała już z większością dzieciaków z sierocińca, ale nie dowiedziała się niczego nowego. Maluchy plotły trzy po trzy, zawstydzone obecnością nieznaną. Starsze zaś były nieufne i mówiły monosylabami. Zauważyła jednak, że na pewne pytania odpowiadały bardzo podobnie, tak jakby ktoś ustalił z nimi wspólną wersję. Kiedy jednak próbowała pociągnąć je za język, milczały, a pani psycholog podnosiła wzrok znad telefonu i przyglądała się im bacznie.

Na koniec zostawiła sobie Karola, który dzielił pokój z zaginionym Szymonem Gawrońskim; to on jako jedyny wiedział, że chłopiec ma telefon. Z jakiegoś powodu zapisał sobie numer komórki Szymka, chociaż sam nie miał telefonu.

– Czy Szymek bawił się z innymi dziećmi? – Zuzanna uśmiechała się do siedzącego naprzeciw dziesięcioletniego chłopca z rudą szopą sterczących włosów. – Lubiły go?

– No, lubili – odparł Karol i patrzył w bok.

– A czy miał jakichś kolegów w Tarnobrzegu? Jeździł tam czasem?

– Nie, nigdzie nie jeździł. – Tym razem spojrzał na podłogę.

– A ty go lubiłeś? Co lubiliście razem robić? – próbowała go „otworzyć”.

– Bawiłeś się z nim?

– No, tak... – Wzrok chłopca błądził po kątach.

– A w co? – „A w gówno”, odpowiedziała sobie sama w myślach, widząc, że rozmowa prowadzi donikąd.

– W piłkę graliśmy.

To nie miało sensu. Wystarczy. Zuzanna odchyliła się na swoim krześle, a pani psycholog odłożyła telefon na stół.

– Dzieci mają zaraz obiad. Zostanie pani z nami? – Ton bynajmniej nie zachęcał do wspólnego posiłku. – Dokończycie po obiedzie.

– Dziękuję. W zasadzie to już skończyliśmy, ale chętnie coś zjem. – Policjantka uśmiechnęła się do chłopca. – Miło mi cię było poznać, Karolu. Zaprowadzisz mnie na stołówkę?

– Tak, proszę pani – odpowiedział i wreszcie spojrzał jej w oczy z wyraźną ulgą.

Wziął ją za rękę, co trochę ją zaskoczyło, ale było miłe. Szli korytarzem, a Zuzanna miała wrażenie, że Karol waha się, jakby chciał jej coś powiedzieć. Nie naciskała, to by nic nie dało – zamknąłby się na dobre. Spróbuje następnym razem.

Przed wejściem do jadalni podziękowała chłopcu, poczochnęła jego bujną rudą czuprynę i skręciła w boczny korytarz. Weszła do kuchni, gdzie wśród kucharek zobaczyła znajomą twarz.

– Dzień dobry! – zawołała głośno, aby przekrzyczeć panujący tu harmider. – Pani Halino, czy możemy porozmawiać?

– A no możemy... – Pani Halinka wytarła ręce w biały fartuch. – Tylko kluski precedze.

– To ja poczekam na korytarzu – rzuciła Zuzanna, po czym wyszła i zatrzymała się przed oszklonymi drzwiami stołówki.

Jadalnia była pełna. Było jednak coś dziwnego, coś nienaturalnego w widoku tych siedzących przy stolikach dzieci. Część już dostała posiłek, część jeszcze czekała. Chwilę trwało, zanim ją olśniło. No jasne! Żadne z

dzieci nie używało telefonu. W dzisiejszych czasach to wręcz dziwaczne zachowanie. Wystarczy wejść do McDonalda, aby się przekonać. Każdy dzieciak, bez względu na to, czy jest sam, z kolegami, czy rodzicami, gapi się w ekran smartfona. To już choroba naszych czasów. Tym bardziej nie mogła zrozumieć, jak opiekunowie nie zauważyli, że Szymon ma komórkę.

Z kuchni wyszła pani Halinka.

– Dzień dobry! – Zuzanna przywitała się jeszcze raz. – Wyjdziemy na chwilę do ogródka? Na ławkę chodźmy.

Po chwili usiadły obok siebie. Pani Halinka była spokojna, nieskrępowana obecnością policjantki. Zuzanna pomyślała, że tak zachowują się osoby z czystym sumieniem, które nie mają nic do ukrycia. Postanowiła zostawić na boku wszystkie techniki przesłuchań wyuczone w akademii i szczerze z nią porozmawiać.

– Jak to było z tym Szymkiem, pani Halinko? – zapytała wprost, bez owijania w bawełnę. – Czuję, że wszyscy coś przede mną ukrywają.

– Ukrywają, bo widocznie mają co ukrywać... – zaczęła filozoficznie. – Co mają opowiadać, że dzieciak uciekł, kiedy mógł? Aż w końcu całkiem uciekł.

– Uciekał? – Zuzanna odwróciła się zaskoczona. – Gdzie uciekał?

– A tego to nikt nie wie, nikomu nie choć powiedzieć. – Wygładziła fartuch na kolanach. – W sobotę zaraz po śniadaniu leciał pod figurkę przy główny drodze i tam go taksówka zabierała. A wieczorem przed kolacją ta sama przywoziła.

– Jak wyglądała ta taksówka? – Wreszcie jakiś konkret. – Widziała ją pani? Zauważyła może pani jakiś numer albo coś z rejestracji?

– Taka czerwona, z „taxi” u góry. – Pokręciła głową. – Numer jakiegoś był, ale nie patrzyłam.

– Wychowawcy wiedzieli o tych wyjazdach? – Nowacka stwierdziła, że było to wszystko bardzo dziwne. – Nikt mu nie zabronił?

– Jak nie ma szkoły, to dzieci cały dzień biegają po wsi – opowiadała dalej kucharka. – A w soboty to wychowawców ani dyrektora ni ma, chociaż powinny być. Godałam, ale gdzieś miały. Zawsze na noc był.

– Nie martwiliście się, że może mu się coś stać? – Pani aspirant wciąż nie mogła uwierzyć. – Przecież to siedmioletni chłopiec.

– Tutej takie berbecie latają cały dzień umorusane i nic im nie jest. Tu jest wieś, nie miasto, wszyscy się znają... – Zawahała się chwilę. – A on biegł tam jak na skrzydłach, nie dało się go upilnować. Czekał tylko ty soboty. Od rana zadowolony chodził. To i nie trzymałyśmy go siłą.

– A nie przyszło wam do głowy, że może ktoś go wykorzystuje? – Zdziwienie przeszło w oburzenie. – To był... to jest siedmioletnie dziecko, które można czekoladką przekupić!

– Może jo szkół nie kończyłam, ale sześć dzieci wychowałam i tutaj czuje, jak się dziecku krzywda dzieje... – Uderzyła się w piersi. – A Szymuś był szczęśliwy, jak ta sobota była.

Zadzwoił telefon. Zuzanna spojrzała na ekran, dzwonił Paweł.

– Przepraszam, muszę odebrać – wybąkała, wstała i odeszła kilka kroków. – Cześć! Nie uwierzysz, czego tu się dowiedziałam.

– Włączył się telefon chłopca – przerwał jej. – Namierzyliśmy sygnał.

– Gdzie? – Poczła ekscytację, był przełom w śledztwie.

– W kościele w Sandomierzu. W Parafii Podwyższenia Krzyża, miałaś nosa co do tego księdza w sierocińcu. Sygnał cały czas mamy, będę tam za piętnaście minut.

– Wyślij mi adres, już jadę – powiedziała i odwróciła się do pani Halinki, by rzucić: – Przepraszam, ale pilne. Muszę jechać, dziękuję!

15

Ksiądz Piotr szedł właśnie z zakrystii przez dziedziniec, by odprawić codzienną mszę o trzynastej. Z daleka zobaczył nieruchomą postać na schodach kościoła. Już na pierwszy rzut oka sprawiała dziwne wrażenie. Mężczyzna stał, pewny siebie, z rękami w kieszeniach. Patrzył w jego stronę. Zwykle parafianie czekający na księdza dreptali w lekkim podenerwowaniu i onieśmieleni uśmiechali się sztucznie.

Kiedy podszedł bliżej, poczuł uderzenie gorąca. To był on! Ksiądz Piotr bardziej to wyczuł, niż go rozpoznał. Zatrzymał się parę metrów od mężczyzny. Teraz nie miał już wątpliwości. Tych oczu nigdy nie zapomni.

Stali chwilę nieruchomo w odległości kilku kroków od siebie.

– Wyspowiada mnie ksiądz? – zapytał spokojnym, wręcz przyjaznym głosem. – Mamy mało czasu.

Ksiądz Piotr ruszył bez słowa do kościoła, a mężczyzna wszedł za nim i zamknął ciężkie dębowe drzwi. Duchowny otworzył drzwiczki najbliższego konfesjonału.

– Nie tu... – Mężczyzna przeszedł dalej i uklęknął przy konfesjonale w głębi. Tym, przy którym ksiądz Piotr spowiadał go poprzednio.

Kapłan bez słowa poszedł za nim. Usiadł we wnętrzu, założył stulę i nie zwracając uwagi na jego obecność, wyszeptał słowa modlitwy.

– Panie, udziel mi miłości i światła Ducha swego, daj moc słowom kapłańskim, aby serca zatwardziałe kruszyły i je wróciły do Ciebie. – Przyniósł się do kratki konfesjonału. – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Dziś chcę się wypowiadać z grzechu popełnionego wobec księdza – zaczął mężczyzna spokojnym głosem. – Wykorzystałem księdza. To, że teraz się spowiadam, to też część mojego planu. Chcę, żeby ksiądz wiedział o pewnych rzeczach, bo to da księdzu siłę, by znieść trudny okres, który go czeka. To dla mnie ważne, żeby ksiądz się nie załamał i nie sprzeniewierzył się tajemnicy spowiedzi.

– O czym ty mówisz? – Młody kapłan nic z tego nie rozumiał. – Co z chłopcem? Zrobiłeś mu krzywdę?

– Szymek jest cały i zdrowy – usłyszał w odpowiedzi. – To też musi ksiądz wiedzieć, żeby wszystko poszło po mojej myśli. Zostanie ksiądz oskarżony o jego porwanie. Ale proszę się nie martwić, jemu nic nie grozi.

– Mam ci wierzyć?! – podniósł głos na tyle, że starsza kobieta siedząca w ławce odwróciła się. – Więc nie masz nic wspólnego z porwaniem chłopca? To jakaś chora gra?

– Niech ksiądz posłucha do końca, wszystko wyjaśnię – odparł mężczyzna. Był opanowany. – Dokładnie to zaplanowałem. Najpierw musiałem sprawdzić, czy ksiądz dochowa tajemnicy spowiedzi. Dlatego przyszedłem tu pierwszy raz. Teraz już wiem, że mogę księdzu zaufać. Wiem, że nie powie ksiądz policji o moim istnieniu. Jednak w czasie przesłuchania od razu wyczują, że ksiądz coś wie na temat zaginionego chłopca. To rzuci na księdza podejrzenie. To i dowody, które znajdą, skupi na księdzu uwagę śledczych na wystarczająco długo, abym zdążył dokończyć to, co zaplanowałem. Teraz, kiedy przestali już szukać Szymka wokół sierocińca, muszę znów odwrócić ich uwagę. Nie są zbyt bystrzy, ale nie mogę ich lekceważyć. Pycha kroczy przed upadkiem, prawda? Zdaje się Salomon to napisał.

– Jakie dowody? – Ksiądz Piotr wciąż niczego nie rozumiał. – Nie mam nic wspólnego z zaginięciem tego chłopca. W życiu go nie widziałem!

– Dobrze, powiem jaśniej. – Chwilę się zastanawiał, od czego zacząć. – Spreparowałem dowody, które doprowadzą policję do księdza jako sprawcy porwania Szymona. Nieważne w tej chwili jakie. Oskarżą księdza o jego porwanie, molestowanie, a może nawet zamordowanie. Wsadzą do aresztu. Nie będzie się mógł ksiądz skutecznie obronić, bo musiałby złamać tajemnicę spowiedzi, a tego ksiądz nie zrobi, prawda? Czeka więc wszystkich długie śledztwo, a księdza areszt, publiczny ostracyzm, krytyka ze strony zwierzchników kościelnych, a może nawet suspensa. Ale jeżeli ksiądz to wytrzyma, to obiecuję, że czeka go słodka nagroda. Gdy tylko zrealizuję swój plan, oczyszczę księdza z zarzutów. Będzie ksiądz męczennikiem za wiarę. Wszyscy będą księdza przepraszać i nosić na rękach. Niech to da księdzu siłę w momentach słabości, których pewnie będzie wiele.

– Co ty chcesz zrobić? – Duchowny miał mętlik w głowie. – Wypowiadaj się szczerze, Chrystus pomoże ci wrócić na drogę dobra. Zaufaj mu!

– Nie wierzę w Chrystusa, ale chętnie wykorzystam wiarę księdza – odparł spokojnie. – Sam naprawiam świat, nie oglądając się na Boga. Nie mówię „do widzenia”, bo pewnie nigdy się już nie zobaczymy.

Mężczyzna sam zapukał w konfesjonał, przeżegnał się i wstał. Wyciągnął z kieszeni papierową torebkę i położył na drzwiczkach konfesjonału. Wyszedł spokojnym krokiem z kościoła.

Ksiądz Piotr otworzył torebkę i wyjął z niej telefon komórkowy. Był włączony, zdjęcie na ekranie przedstawiało postać piłkarza. Wybiegł z kościoła, chcąc oddać komórkę mężczyźnie. Ten jednak właśnie wsiadał do samochodu. Kapłan podbiegł, próbował otworzyć drzwi, ale auto ruszyło i spokojnie odjechało.

16

Proboszcz wszedł do zakrystii i stanął zdziwiony.

– A co ksiądz tu robi? Czego się ksiądz nie przebiera? – Rozłożył ręce. – Organiście się repertuar kończy, już dwadzieścia po pierwszej jest! – Spojrzał na telefon w dłoni wikarego. – Gdzie ksiądz dzwoni? Stało się coś?

Ksiądz Piotr podniósł na niego wzrok, potem spojrzał na komórkę, którą trzymał przed sobą.

– Niech proboszcz odprawi tę mszę – rzucił tylko i włożył telefon do kieszeni. – Źle się czuję.

– No, wyglądasz jak stara Kopciowa, jak jej ostatnie namaszczenia przedwczoraj dawałem, a jutro ją będziemy chować. Świeć Panie nad jej duszą. – Ruszył w stronę szafy z szatami liturgicznymi. – Tylko mi pomóż ornat włożyć, bo się w praniu skurczył.

Proboszcz uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał, widząc, że żart nie wywołał oczekiwanego efektu. Ksiądz Piotr przełożył ornat przez jego głowę i wyszedł z zakrystii.

Na kościelny dziedziniec akurat wjeżdżał samochód policyjny. Wsiadło z niego dwóch mundurowych i jeden policjant w cywilnym ubraniu. Zobaczyli kapłana i podeszli do niego.

– Komisarz Sudoł. – Paweł otworzył legitymację z policyjną odznaką i pokazał księdzu. Ta formalna czynność pozwalała mu uniknąć podawania podejrzanym ręki na przywitanie. – Gdzie możemy porozmawiać?

– W kancelarii parafialnej. – Duchowny nie był zaskoczony ich widokiem, co komisarz skrzętnie odnotował w głowie. – Tam nikt nie

będzie nam przeszkadzał.

Po paru minutach ksiądz Piotr powoli usiadł za biurkiem, dwaj policjanci usadowili się na krzesłach naprzeciwko, a trzeci w kącie pokoju.

– Przejdę od razu do rzeczy – komisarz nie tracił czasu, chciał jak najszybciej uwolnić chłopca. – Wiemy, że Szymon Gawroński jest na terenie kościoła. Albo nas ksiądz do niego zaprowadzi, albo zaraz wyprosimy ludzi z mszy i psy przeszukają kościół. Decyzja należy do księdza.

– Nie wiem, gdzie jest chłopiec – odparł duchowny, patrząc w biurko. – Nigdy go nie widziałem.

Drzwi otworzyły się i do kancelarii weszli Zuzanna i Grzegorz. Wyczuli napięcie wiszące w powietrzu, więc stanęli przy wejściu.

– Powtórzę pytanie. – Nikt nie przedstawił kapłanowi przybyłych osób. – Gdzie jest Szymon Gawroński?

– Nie wiem, gdzie jest. – Ksiądz Piotr podniósł wzrok. – I nigdy go nie widziałem.

Chwilę patrzyli sobie w oczy. Kapłan z nienaturalnym w tej sytuacji spokojem, policjant próbując wyczytać coś z jego źrenic.

– Dobrze, proszę się stąd nie ruszać. – Sudoł wstał i zwrócił się do mundurowego siedzącego obok drzwi: – Zostań tu i pilnuj, żeby nigdzie nie wychodził. A my idziemy, technicy powinni już być.

– Komisarzu... – Ksiądz Piotr wyjął z kieszeni telefon i położył go na biurku. – Proszę. To chyba telefon chłopca.

Policjanci spojrzeli po sobie. Sudoł wyciągnął z paczki jednorazową chusteczkę i wziął przez nią telefon. Zuzanna wyjęła z torebki foliowy woreczek ze strunowym zamknięciem i podała mu. Włożył do niego smartfona i spojrzał na ekran.

– Skąd go ksiądz ma? – spytał komisarz, podając aparat Zuzannie, która po chwili przekazała go Grzegorzowi.

– Nie mogę powiedzieć. – Znow utkwiał wzrok w biurku. – Ale zapewniam, że nie mam nic wspólnego z porwaniem chłopca.

– To się okaże. Pilnuj go! – burknął wkurzony już na poważnie Sudoł.

Policjanci, z wyjątkiem jednego mundurowego, wyszli z kancelarii. Technicy byli już na miejscu. Robili zdjęcia dziedzińca.

– Zabezpieczcie to – powiedział komisarz i przekazał im telefon. – To prawdopodobnie zaginionego.

Wydał polecenie przeszukania terenu kościoła, zwłaszcza pomieszczeń prywatnych księdza Piotra Ostrowskiego. Funkcjonariusze mieli wszystko sprawdzić i zabezpieczyć ewentualne ślady. Dodatkowo zarekwirować komputer. W kościele jeszcze odbywała się msza, więc postanowili zacząć od pomieszczeń plebanii i kościelnych salek.

– Jak się skończy msza, przeszukajcie kościół – rozkazał, po czym odwrócił się do policjanta w mundurze. – A ty zatrzymaj w zakrystii księdza, co odprawia mszę, a potem zadzwoń do mnie. Masz tu wizytówkę z moim numerem.

W kancelarii ksiądz Piotr sięgnął po różaniec wiszący na stojącym na biurku krzyżyku.

– Eee! – Posterunkowy uniósł się na krześle. – Tylko mi tu nic, kurwa, nie kombinuj, dzieciójebco...

Komendant zorganizował naradę zespołu śledczego wyjątkowo nie w swoim gabinecie, ale w pokoju Pawła. Było to wygodne ze względu na notatki sporządzone na dużych kartach rozklejonych na ścianie i tablicy. Policjanci zapisywali na nich różne wątki śledztwa, osoby kluczowe dla dochodzenia, daty i miejsca. Poszczególne zapiski łączyły strzałki, część była podkreślona, inne zaznaczone kółkiem. Na centralnym miejscu znajdowały się dwa wydruki twarzy: Szymona Gawrońskiego i księdza Piotra Ostrowskiego. Prowadzone w ten sposób notatki porządkowały codzienną pracę zespołu dochodzeniowego, a teraz pomagały komisarzowi Sudołowi zrelacjonować aktualną sytuację komendantowi.

– Księdza Ostrowskiego aresztowaliśmy dzisiaj rano. – Paweł przysiadł na stojącym w rogu pokoju biurku. – Adwokat z kurii nawet specjalnie nie protestował. Postawiliśmy mu zarzut uprowadzenia i pozbawienia wolności nieletniego. Dowody są mocne, ale oskarżony nie przyznaje się do zarzucanych mu czynów. Na jego ślad naprowadził nas sygnał telefonu zaginionego. Okazało się, że ksiądz miał go przy sobie. Sam go oddał, zanim zdążyliśmy go przeszukać. Telefon był cały czas włączony. Były na nim odciski palców oskarżonego i Szymona Gawrońskiego. Na ubraniu księdza, to znaczy na sutannie, technicy znaleźli kilka włosów zaginionego chłopca. Potwierdziło to porównanie materiału genetycznego z włosami zebranymi z pościeli w domu dziecka. Oskarżony nie potrafił wyjaśnić, skąd się wzięły na jego ubraniu. W koszu na śmieci obok kościoła znaleźliśmy gumę do żucia, którą żuł Szymon Gawroński, jak pokazało badanie, w tym samym dniu. Tego też oskarżony nie potrafił wytłumaczyć.

Z kolei w historii przeglądarki zarekwirowanego komputera, używanego na parafii tylko przez księdza Ostrowskiego, informatycy znaleźli strony z treściami pedofilskimi. Tu ksiądz wyjaśniał, że witryny otworzył nieumyślnie, odbierając maila. Ale to mało prawdopodobne, zważywszy na to, że było bardzo dużo wyświetleń z datami na przestrzeni dwóch ostatnich lat. Dodatkowo spotkaliśmy podejrzanego w sierocińcu w Durdach w czasie jednej z naszych wizyt. Aspirant Nowacka zwróciła uwagę na jego dziwne zachowanie. Unikał nas i szybko odjechał. Był więc na miejscu przestępstwa. Podobno mówił, że poszukiwania nie mają sensu, bo i tak chłopca nie znajdziemy. Biorąc to wszystko razem pod uwagę, dla mnie jest jasne, że mamy sprawcę – podsumował.

– Tak – włączyła się Zuzanna. – Ale jest kilka znaków zapytania. Kto włączył telefon chłopca? Jeżeli zrobił to ksiądz, to dlaczego? No i najważniejsze: gdzie jest Szymon Gawroński? Przeszukaliśmy teren kościoła i plebanii, lecz nie znaleźliśmy więcej śladów zaginionego. Psy nigdzie nie wyczuły jego obecności. Jeżeli żyje, a na pewno żył wczoraj rano i jest gdzieś uwięziony, to musimy szybko dowiedzieć się gdzie. Mamy mało czasu; nie wiemy, w jakich warunkach jest przetrzymywany. Czy teraz, kiedy ksiądz Ostrowski jest w areszcie, ktoś się nim zajmuje?

– Trzeba jak najszybciej zamieścić zdjęcie chłopaka w mediach – dodał Kulesza. Ustalili wcześniej, że to on powie o tym komendantowi. Sobczyk wciąż się wzbraniał przed rozgłosem, a Bogdan miał u niego największy autorytet. – Nie ma już na co czekać, bo jak chłopak umrze w jakiejś norze, to wtedy media dobiorą nam się do dupy, i to ostro.

– Poczekajcie z tym do jutra – odparł komendant po chwili namysłu. – Jak już go mamy na komendzie, to może coś ptaszek wyśpiewa. Szkoda, że w dzisiejszych czasach nie możemy mu podłączyć jaj do akumulatora...

Stara, dobra szkoła. Uczą jeszcze tego w akademii, pani aspirant? – spytał i uśmiechnął się głupkowato do Zuzanny.

– Zaplanowaliśmy dziś na dziesiątą badanie wariografem – powiedział Sudoł, podszedłszy do stojaka i zapisawszy na kartce informację o planowanym badaniu. Dopisał datę i godzinę. – To powinno wiele wyjaśnić. Po naszej naradzie mamy spotkanie z technikiem obsługującym urządzenie, ustalimy wtedy listę pytań. Ksiądz ewidentnie ukrywa prawdę i musimy ją z niego wyciągnąć.

– No to burmistrz się, kurwa, zdziwi! – W głosie komendanta zabrzmiała nutka satysfakcji. – Chciał sprawcę przed wyborami, to ma. Tylko że jego kościelnej partii to raczej nie pomoże. Coś mi się zdaje, że nie będzie już tak często wydzwaniał. Kutasina...

– Jeszcze jedna sprawa – przerwała mu Zuzanna. – W sierocińcu dowiedziałam się o regularnych, samowolnych wyjazdach chłopca. – Podeszła do tablicy, zdjęła z niej i przewiesiła na ścianę kartkę zapisaną przez Pawła. Na kolejnej napisała nagłówek: „czerwona taxi”. – Zabierała go zawsze ta sama taksówka. Zeznanie kierowcy może być kluczowe, może to naoczny świadek. Odnalezienie go nie powinno być trudne.

– Jeżeli woził dzieciaka do księdza – wtrącił się Grzegorz – to raczej wspólnik. Pojadę na postój taksówek i postaram się czegoś dowiedzieć.

Analizował wczorajszy dzień, upewniając się, czy nie popełnił jakiegoś błędu. Po rozmowie z księdzem zatrzymał się na rogatkach Sandomierza. Po kilku minutach obok niego przejechał, pędzący na sygnale, policyjny radiowóz. Spojrzał wówczas na zegarek. Odkąd włączył telefon Szymka, upłynęło trzydzieści jeden minut. Mniej więcej tyle, ile zakładał. Wszystko dobrze, nie ma powodu do niepokoju.

Zapalił silnik i ruszył z parkingu. Jechał powoli, jak zawsze zgodnie z przepisami. Nie chciał ryzykować przypadkowego zatrzymania, legitymowania czy zapisania w ewidencji punktów karnych. Każda z takich pozornie błahych rzeczy mogła pomóc policji w jego odnalezieniu.

Był spokojny, wszystko poszło po jego myśli. Starał się tak planować swoje posunięcia, aby inni nie mieli wyjścia i działali według jego scenariusza. Jak w dobrze rozgrywanej partii szachów, kiedy poszczególne ruchy lepszego gracza decydują, gdzie swojego pionka postawi przeciwnik. A on był dobrym graczem. Choć rozgrywał kilka partii jednocześnie, na wszystkich szachownicach miał przewagę.

Uśmiechnął się do siebie. Szybko się jednak zreflektował – zdawał sobie sprawę, że takie samozadowolenie może spowodować, że straci czujność. Nie lekceważył ich do tej pory i tak miało pozostać.

Dowody przygotował bardzo starannie już dawno temu. W górnej szafce w kuchni od jakiegoś czasu leżała gęsta szczotka, którą czesał chłopca niezbyt delikatnie. Była tam też paczka jego ulubionych gum do żucia. Obok telefon Szymka, podłączony do ładowarki. Bez większego problemu przygotował wiadomość z wirusem przekierowującym na pedofilskie

strony. Więcej czasu zabrało mu zatarcie za sobą śladów, aby policyjni informatycy nabrali się na jego sztuczkę. Wczoraj, tuż przed spotkaniem z księdzem, starannie ułożył włosy chłopca w konfesjonale. Zużytą gumę do zucia, którą zabrał Szymkowi przed śniadaniem, wyrzucił do kosza na śmieci przy kościele. Z telefonem też poszło gładko. Resztę załatwi zachowanie księdza. Policjanci nie są ślepi i bez trudu zauważą, że coś ukrywa. Wszystko razem stworzy obraz, który długo będzie przysłał im rzeczywistość.

Zjechał z asfaltowej drogi i po kilku minutach zaparkował na podwórku przed domem. Zabrał dużą reklamówkę z drogerii z siedzenia pasażera i wszedł do środka.

– Cześć! – zawołał na korytarzu i zaraz usłyszał szybki tupot małych bosych stóp. – Już jestem!

– Cześć! – Chłopiec przytulił się do niego. – Gdzie byłeś?

– W pracy... – Kucnął, objął małego i delikatnie go połaskotał. – A ty co dziś robiłeś? Może obroniłeś nasz domek przed ogrami? Albo ożeniłeś się z jakąś księżniczką? Co?

– Nie, posprzątałem mój pokój. Narysowałem psa na całą kartkę i znowu nabałaganilem – odparł i zaśmiał się słodko.

– Patrz, co mam. – Puścił chłopca i otworzył reklamówkę. – To twoje nowe okulary. Teraz cię już na play'u nie pokonam. I zrobimy sobie bal przebierańców wieczorem, z malowaniem włosów! Pomalujemy sobie na taki sam kolor, chcesz? I wypożyczyłem przebrania.

– No! – Chłopak był przejęty. – Pokaż okulary i przebrania.

– Takie jak Harry Potter – powiedział, wyjmując przedmiot z futerału. – Załóż i poszukaj kapci.

19

Grzegorz Chmielny podjechał na postój taksówek przy dworcu PKS w Tarnobrzegu swoim prywatnym audi. Zaparkował kilkanaście metrów dalej, pod sklepem, tak żeby dobrze widzieć postój. Rozejrzał się – nie było na nim czerwonego auta. Podeszedł do pierwszego pojazdu w kolejce.

– Dzień dobry – zagadnął do taksówkarza przez otwarte okno. – Mam problem. Żona jechała kilka dni temu taksówką i chyba zostawiła w niej torebkę. Tylko ani marki samochodu nie zapamiętała, ani numeru taksówki... nic! Tylko że czerwona była, tyle się od niej dowiedziałem. Pomoże pan?

– Żona blondynka, tak? – taksówkarz miał ubaw.

– Jeszcze jaka... – Policjant przewrócił oczami. – Ale ma inne zalety – dodał i mrugnął porozumiewawczo. – Jeździ tu taka taksówka z tego postoju? Bo nie widzę.

– Staszek ma czerwoną omegę, ale pojechał przed chwilą – odparł mężczyzna i rozejrzał się po postoju. – Nie wrócił jeszcze, ale zaraz powinien być. Daj pan numer telefonu, to zadzwoni. Najlepiej do żony...

Zaśmiali się obaj.

– Lepiej poczekam – rzucił Chmielny żartobliwym tonem. – W tym to ja pomocy nie potrzebuję.

Wsiadł do swojego samochodu i dalej obserwował postój. Kilka taksówek wyjechało, kilka wróciło na parking. Klientów nie było wielu. Tarnobrzeg to małe miasto, które praktycznie można przejść szybkim krokiem w ciągu pół godziny. Więcej kursów jest w nocy, kiedy żony holują pijanych mężów do domów.

Po około dwudziestu minutach na postój wrócił czerwony opel omega. Sądząc po modelu i stanie, mógł mieć kilkanaście lat. Chmielny poczekał, aż odjadą inne taksówki i omega stanie pierwsza w kolejce. Podeszedł, otworzył tylne drzwi.

– Można? – zagadnął.

– Można, niech pan wsiada. – Grzegorz trzasnął drzwiami, a taksówkarz włączył silnik. – Dokąd?

– Na komendę policji. – Policjant cały czas obserwował kierowcę w lusterku wstecznym.

– Na komendę? Ale to jest trzysta metrów stąd... – Taksówkarz zgasił silnik. – Pójdiesz pan w lewo, za basenem w prawo i już jest pan na miejscu.

– Tak, ale najpierw pojedziemy do Durd. – Ich oczy spotkały się w lusterku. – Powiem, gdzie się zatrzymać.

Taksówkarz znów zapalił silnik i nie włączając taksometru, ruszył bez słowa.

Wyjechali z miasta; w samochodzie panowała cisza. Policjant cały czas obserwował twarz kierowcy. Mężczyzna miał około sześćdziesiątki; wąsy, do tego szpakowate, ale gęste włosy, uczesane z przedziałkiem. Sprawiał wrażenie porządnego gościa. Ciekawe, ile mu ksiądz zapłacił za pomoc w wykorzystywaniu dziecka. Ile trzeba zapłacić człowiekowi, żeby zmienił się w takie bydle?

Taksówkarz spoglądał od czasu do czasu w lusterko przestraszonym wzrokiem. Czekał, aż pasażer zacznie rozmowę. Policjant jednak celowo przedłużał moment niepewności, żeby łatwiej było mu wyciągnąć informacje od mężczyzny. Po piętnastu minutach minęli tablicę z napisem „Durdy”. Chwilę później zobaczyli przy drodze małą kapliczkę z Matką Boską.

– Zatrzymaj się tam gdzie zwykle – Chmielny wydał polecenie stanowczym tonem.

Taksówkarz stanął za figurką. Chwilę trwało, zanim wyłączył silnik. Obie ręce trzymał na kierownicy i patrzył w dół.

– No to teraz mów. – Wrogość w głosie policjanta była aż nadto wyczuwalna. – Ale, kurwa, wszystko po kolei! A jak cię raz na kłamstwie złapię, to z pierdła nie wyjdiesz do końca życia. Już ja ci to, kurwa, załatwię.

– Co tu opowiadać... – odezwał się mężczyzna, nie podnosząc wzroku. – Woziłem chłopaka, a facet mi płacił. Taką mam robotę. Ale jak przeczytałem w gazecie, że młody zginął, to od razu wiedziałem, że będą z tego kłopoty...

– A nie przeszkadzało ci wcześniej, że dziecku się może krzywda dzieje? – warknął policjant. – Nie domyślałeś się, po co dorosły się z siedmiolatkiem potajemnie spotyka?

– Jaka krzywda, człowieku?! – Odwrócił się przez siedzenie. – Prawda, płacił dwie stówy za kurs, ale jakbym widział, że się dziecku krzywda jakaś dzieje, to od razu bym na policję doniósł. Ja wnuki mam! Pierwszy raz, jak odwoziłem chłopaka, to pojechał z nami. Cały czas się śmiali. W powrotnej drodze opowiedział mi, że to jego młodszy brat. Że rodzice chleją i ich im odebrali. Mało to takich historii? On ukradł sąsiadce pieniądze, z biedy i głodu, bo w domu tylko wóda była. Żeby sobie i bratu jedzenie kupić. Zamknęli go do poprawczaka. Mały tu do domu dziecka trafił, a on nie może dostać prawa do opieki, chociaż jest już pełnoletni, bo był karany, i dlatego zabiera go do siebie w tajemnicy.

– I ty mu tak, kurwa, po prostu uwierzyłeś? – Grzegorz przysunął się do taksówkarza.

– Jakby pan widział, jak chłopak się cieszył, jak go wiozłem do Tarnobrzegu. Jak się żegnali i jaki smutny wracał. Płakał w taksówce! To też by pan uwierzył. On mu nic złego nie robił, to niemożliwe.

– No to byś się, kurwa, zdziwił... – Chmielny oparł się na siedzeniu. – Zawracaj, jedziemy na komendę.

20

Chłopiec wreszcie usnął. Mężczyzna delikatnie zdjął mu okulary, schował do futerału i odłożył na szafkę nocną. W łazience posprzątał pudełka po farbach do włosów. Spojrzał w lustro. Trudno mu się było przyzwyczaić; dużo ciemniejsze włosy całkowicie zmieniły kształt jego twarzy, już nie była tak owalna. Dodatkowo od kilku dni zapuszczał wąsy i brodę. Poglądził się po twarzy; kępki na policzkach z dnia na dzień stawały się gęstsze. Ich nowy wygląd podobał się Szymkowi. Cieszył się, że są do siebie podobni. Pytał, czy jemu też wyrośnie broda.

Pozbierał zabawki chłopca w korytarzu i salonie. W kuchni odkręcił kran i pozmywał naczynia. Spojrzał na zegarek. Było po dziesiątej. Wziął z pokoju małego elektryczną nianię i wyszedł z domu.

Zamknął za sobą drugie drzwi w letniej kuchni i włączył światło. Jego więzień nie spał. Siedział nagi na krześle, tak jak go zostawił dwa dni temu. Przykuty kajdankami, z zaklejonymi ustami. Strasznie się namęczył, przenosząc jego bezwładne ciało z wózka inwalidzkiego, którym przetransportował go nocą z samochodu, na metalowe krzesło. Spojrzał na tłusty, zwalisty brzuch. Ważył ze sto kilogramów. Oczy ofiary powoli zaczęły przyzwyczajać się do światła. Patrzyła na swojego porywacza z nienawiścią, kiedy ten przechodził obok na tył krzesła.

Mężczyzna bez zagładania do środka spuścił wodę w sedesie stojącym pod krzesłem. Balcerzyk w pełni odzyskał świadomość. Przyglądał się swojemu porywaczowi, wodząc za nim wzrokiem. Próbował coś powiedzieć, ale przez taśmę wydobywał się tylko niezrozumiały bełkot. Jego oprawca stanął przed nim i szybkim ruchem zdarł knebel.

– Co ty, skurwysynu, robisz?! – Balcerzyk łapał oddech. – Puść mnie, bo cię zajebię! Ty chuju, zapierdolę cię! Rozkuj mnie! Kurwa! – wrzeszczał i szarpał kajdanki.

Mężczyzna usiadł w fotelu naprzeciwko swojej ofiary i czekał, aż się uspokoi.

– Ja cię, kurwa, poznaję... – więzień dyszał ciężko. – Ty pracujesz w gazowni. Co ty, kurwa, bandyto, kombinujesz? Czemu mnie zakułeś? Zajebię cię, zobaczysz... Już, kurwa, nie żyjesz! Nie wiesz, z kim zadarłeś, skurwysynu!

Jego twarz była nabrzmiąta i czerwona. Teraz wyraźniej odznaczały się na niej liczne, jaśniejsze, blizny. Szarpał kajdanki, zdzierając ręce aż do krwi. Rzucił się całym ciałem w bezsilnej wściekłości. Był silny, a wściekłość tę siłę potęgowała. Gdyby teraz Balcerzyk się uwolnił, zabiłby swojego porywacza gołymi rękami.

Młody mężczyzna wstał z fotela, włączył reflektory, uruchomił nagrywanie kamery i spokojnie zbliżył się do stołu. Wziął młotek, podszedł do Balcerzyka i szybkim, zamaszystym ruchem z całej siły uderzył go w lewe kolano. Więzień zawył z bólu. Na kolanie pojawiły się krwawe wybroczyny, noga zaczęła puchnąć w oczach. Nim ofiara odzyskała jasność umysłu, oprawca uderzył w to samo miejsce z jeszcze większym zamachem. Usłyszał trzask łamanych kości. Krzyk Balcerzyka przeszedł w skowyt, a później w szloch. Noga leżała nieruchomo, nienaturalnie wygięta. Kolano było całe strzaskane.

– Co ja ci, kurwa, zrobiłem...? – jęczał. – Za co...?

– No, już zaczynamy rzeczowo rozmawiać. – Mężczyzna stał przed swoją ofiarą z zakrwawionym młotkiem. – Wszystko ci wyjaśnię, tylko powiedz mi jeszcze, który palec ci zmiażdżyć. – Wskazał narzędziem na unieruchomioną nogę.

– Żaden! Wypuść mnie! – krzyczał Balcerzyk. – Ratunku! Ludzie, ratunku!

– Wybierz który, bo zmiążdżę ci wszystkie. – Przyklęknął na jedno kolano i uniósł młotek nad głowę. – Który?

– Pierwszy – jęknął, po czym zaczął prosić: – Nie rób tego...

– Ale pierwszy z lewej czy z prawej? – Opuścił młotek. – Musisz wyrażać się precyzyjnie. To który?

– Mały... Proszę cię, nie rób tego...

Mężczyzna wziął potężny zamach i uderzył. Z małego palca lewej nogi została krwawa miazga. Przerażliwe wrzaski cierpienia znów wypełniły pokój. Zwalisty facet przypięty do krzesła trząsał się, a po jego twarzy płynęły łzy. Olbrzymi ból sprawił, że zwieracze ofiary nie wytrzymały i porywacz znów musiał spuścić wodę w sedesie. Po linoleum przy nodze rozlała się kałuża krwi.

Włożył młotek do starej umywalki i odkręcił kran. Gąbką zmył krew z narzędzia i z rąk. Wytał ręce papierowym ręcznikiem. Odłożył przyrząd i wziął ze stołu pozytywkę. Usiadł wygodnie w fotelu, po czym zakręcił małą, delikatną korbką. Po chwili popłynęła melodia piosenki Lennona. Pomyślał, że jej słowa idealnie pasują do tego, co robi. Tyle tylko że on nie marzy, on realizuje swoje marzenie.

Po kilku minutach Balcerzyk, półprzytomny z cierpienia, usłyszał melodię i podniósł wzrok. W jego oczach były strach i błaganie, a po policzkach wciąż ciekły łzy. Jego oprawca uśmiechnął się. Wstał i wyłączył kamerę, zgasił światła reflektorów. Pilotem uruchomił telewizor, zapętlił odtwarzanie filmu i nacisnął „start”. Na olbrzymim ekranie pokazało się wnętrze pomieszczenia, w którym się znajdowali. Patrzyli obaj na ekran. Było na nim widać stół, fotel, w kącie krzesło i siedzącego na nim nagiego mężczyznę. Balcerzyk zrozumiał i zaczął cicho jęczeć... Osobą na ekranie

nie był on. Ten ktoś siedział na tym krześle wcześniej. Z głośnika telewizora rozległ się warkot wiertarki.

Porywacz zgasił światło i wyszedł z pomieszczenia, zostawiając włączony telewizor.

21

Policjanci stali za szybą pokoju przesłuchań i przyglądali się przygotowaniom do badania. Weneckie lustro pozwalało widzieć przesłuchiwanego, samemu pozostając dla niego niewidocznym.

Ksiądz Piotr siedział z prawą ręką wyciągniętą na stole. Zdenerwowany, patrzył przed siebie. Na klatce piersiowej i brzuchu opasany był przewodami zakończonymi elektrodami. Na trzech palcach prawej ręki przymocowane były kolejne czujniki. Wszystkie kable biegły do stojącego na stole laptopa. Technik kończył konfigurację urządzenia.

– Tyle ceregieli... kabli, kabelków... jakby parę razy pałą przez dupę dostał, to też by prawdę powiedział. – Komendant Sobczyk skrzywił się. – Jakos się nie mogę przekonać do tych nowoczesnych metod...

– Wykrywacz kłamstw to bardzo stara metoda. – Zuzanna nie odrywała oczu od kapłana. – Już tysiąc lat przed naszą erą Chińczycy w czasie przesłuchania wkładali podejrzanemu ryż do ust. Po przesłuchaniu miał go wypluć i jeżeli był suchy, znaczyło, że kłamał.

– To bardzo ciekawe, pani aspirant. – Sobczyk mrugnął do Pawła wymownie.

– A w afrykańskich plemionach po przesłuchaniu stary szaman wachał badanego. Sprawdzał, czy się spocił. – Nowacka wciąż przyglądała się zatrzymanemu, analizując każdy szczegół jego zachowania. – Tak samo jak współczesny wariograf sprawdzali reakcje fizjologiczne przesłuchiwanego.

– Komisarzu Sudoł – komendant uniósł brwi – zadzwonie po starego Kędzioreę, on w zeszłym miesiącu poszedł na emeryturę, to niech przyjedzie

i obwęża księdza pod pachami... I niech kupi po drodze kilo ryżu – skomentował i zarechotał.

W głośniku usłyszeli wreszcie dochodzący z pokoju przesłuchań głos biegłego obsługującego urządzenie:

– 12 sierpnia 2020 roku. Przesłuchanie Piotra Ostrowskiego w charakterze podejrzanego w sprawie zaginięcia Szymona Gawrońskiego. – Na ekranie laptopa wykresy opisywały zmiany fizjologiczne badanego: ciśnienie krwi, prędkość oddechu. – Czy podejrzany wyraża zgodę na przeprowadzenie badania przy pomocy wariografu?

To standardowe pytanie musiało zostać zadane. Tylko badanie przeprowadzone za zgodą przesłuchiwanego mogli bowiem później wykorzystać jako materiał dowodowy w sądzie.

– Tak. – Ksiądz Piotr patrzył przed siebie.

– Proszę więc odpowiadać na moje pytania, używając krótkich odpowiedzi: „tak” lub „nie” – pouczył go biegły, nie odrywając oczu od wyświetlacza. – Czy to jest zrozumiałe?

– Tak. – Głos kapłana lekko drżał.

– Czy ma pan na imię Piotr? – Technik kliknął myszką w górnej części zmieniającego się wykresu.

– Tak. – Znów kliknięcie myszą.

– Czy jest panu ciepło?

– Tak.

– Czy imię pana matki to Bronisława?

– Nie. – Po każdym pytaniu i każdej odpowiedzi mężczyzna zaznaczał coś na laptopie elektronicznym piórem.

– Czy imię pana matki to Halina?

– Tak.

– Czy uprowadził pan Szymona Gawrońskiego?

- Nie. – Głos księdza Piotra wciąż drżał.
- Czy imię pana ojca to Paweł?
- Tak.
- Czy wie pan, gdzie teraz jest Szymon Gawroński?
- Nie – odpowiedział łamiącym się głosem.
- Czy wie pan, co się dzieje obecnie z Szymonem Gawrońskim?

W pokoju zapanowała cisza. Biegły powtórzył pytanie tym samym beznamiętnym tonem:

- Czy wie pan, co się dzieje obecnie z Szymonem Gawrońskim?
- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.
- Przypominam, że zgodził się pan wziąć udział w badaniu, proszę zatem odpowiedzieć na pytanie „tak” lub „nie”. Czy wie pan, co się dzieje obecnie z Szymonem Gawrońskim?

– Wyraziłem zgodę, ale na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. – Ksiądz podniósł wreszcie wzrok i spojrzał w oczy policyjnego technika.

– W takim razie to koniec badania. – Jego rozmówca zerknął w stronę lustra weneckiego, wstał i zaczął odłączać czujniki i składać sprzęt.

Policjanci obserwujący przesłuchanie w sąsiednim pomieszczeniu byli zaskoczeni takim obrotem sprawy. Komendant z Sudołem wymienili spojrzenia. Wzrok Sobczyka mówił wszystko: „Spierdoliłeś, znowu spierdoliłeś”. Tylko aspirant Nowacka wpatrywała się w twarz przesłuchiwanego z najwyższą uwagą, rejestrując najdrobniejszy szczegół jego zachowania. Ksiądz Piotr był załamany – to nie był tani wybieg. Miotły nim emocje, był bliski płaczu.

– Kurwa! – Paweł wyszedł i za chwilę zobaczyli go po drugiej stronie lustra, wchodzącego z impetem do pokoju przesłuchań.

– Co wy sobie jaja robicie? – biegły zagadnął go w wejściu, zwijając kable. – Myślicie, że ja nie mam nic do roboty? Następnym razem się

dogadajcie, a nie dupę zawracacie!

– Co to, kurwa, ma znaczyć?! – Komisarz trzasnął drzwiami, podszedł do księdza i oparł się rękoma na stole. – Co ty odpierdalasz?! Zgodziłeś się, to teraz odpowiadaj na pytania!

– Zgodziłem się, bo chcę wam pomóc. – Kapłan odwinął rękaw koszuli.
– Ale na niektóre pytania nie mogę odpowiedzieć.

– Co ty bredzisz?! – Sudoł był wściekły. – Nie możesz, bo co?

– Bo świadomie złamałbym tajemnicę spowiedzi – odparł duchowny, podnosząc wzrok. – A tego nie mogę zrobić.

– No to lepiej sam się wyspowiadaj! – wycedził policjant przez zęby. – Bo w pierdłu tacy, co lubią dzieci, długo nie pożyją.

Było już dość późno. Siedzieli we czwórkę przy stoliku w kącie ogródka. Po wpadce z wariografem całemu zespołowi potrzebne było odreagowanie. Kulesza zaproponował, żeby poszli na piwo. Śledztwo znów utknęło w martwym punkcie, a do tego komendant się wściekł, kiedy usłyszał od adwokata, że zgodnie z kodeksem karnym duchowny może odmówić zeznań, jeżeli wiąże się to ze złamaniem tajemnicy spowiedzi.

– Gwarantuje to mojemu klientowi artykuł sto siedemdziesiąty ósmy, punkt drugi kodeksu i Konstytucja Rzeczypospolitej – poinformował go adwokat przysłany przez kurię. Choć był księdzem, potrafił być tak samo wkurwiający jak każdy inny prawnik. Patrzył triumfalnie na komendanta i z uśmiechem demonstrował swoją wyższość. Zupełnie nieświadomy tego, jak trudno Sobczykowi powstrzymać prawą rękę przed wymierzeniem mu soczystego strzała w ryj, który doskonale spuentowałby sytuację.

Policjanci byli zwyczajnie wkurwieni. W innych okolicznościach ten ciepły sierpniowy wieczór skończyłby się pewnie radosną popijawą. Ale nie dziś. Chcieli poprawić sobie samopoczucie, nie potrafili jednak przestać rozmawiać o sprawie. Tylko Zuzanna była pobudzona. Jej ta sytuacja nie przygnębiła, a już na pewno nie odebrała jej apetytu, bo zamówiła największego hamburgera z karty.

– Wytlumaczcie mi... – Paweł wychylił duży łyk żywca i skrzywił się. Nie lubił piwa, zawsze wolał drinki. – ...jak w świeckim państwie można ukrywać przestępcę, zasłaniając się religią? Normalnie to jest współudział, a tu co? Wszystko OK? Co to jest, do chuja, średniowiecze?

– On ma dylemat moralny. – Zuzanna z zadowoleniem patrzyła na hamburgera, którego właśnie postawiła przed nią kelnerka. – Chce nam pomóc, ale jego wiara i kościelne przepisy mu nie pozwalają. Ja mu wierzę.

– Mnie nie interesują jego dylematy! – Sudoł był już lekko wstawiony. – Tu chodzi o dzieciaka. Ma gadać wszystko, co wie. Przecież to się kupy nie trzyma, żeby chronić bandytę w imię zasad Kościoła, do tego kosztem życia dziecka! Co za pojebane prawo.

– Powiedział, że chce nam pomóc, tak? – Ukroiła solidny kawał wołowiny i trzymała na widelcu. – Daje nam sygnał: „znam prawdę, ale nie mogę powiedzieć. Nie mogę świadomie złamać tajemnicy spowiedzi. Znajdźcie sposób, a z radością wyjawię wszystko”. On niczego bardziej nie pragnie, niż powiedzieć nam to, co wie. Widziałam to w jego oczach. Nieprzypadkowo użył słowa „świadomie”.

– Ale ja mam w dupie jego subtelne gierki! – Broniła go, więc Paweł na niej skupił swoją złość. – Nie mamy czasu na jakieś szarady.

– Dobrze powiedziałeś tam w pokoju przesłuchań – wtrącił się Kulesza i zapalił papierosa. – Jakby go posadzić do grypsujących i szepnąć pod celą o zaginionym chłopaku, to szybko by mu język rozwiązali. Sobczyk by się zgodził.

– Tak nie można... – Zuzanna przełknęła kęs. – Jeszcze go zabiją. Chcecie go mieć na sumieniu?

– Klawisze przypilnują, jak się im powie, żeby samosądu nie było. – Kulesza zaciągnął się dymem. – To może być nasza jedyna szansa, żeby szybko wyciągnąć z niego zeznanie. A że on dużo wie, to się zgadzam.

– Tak jest! – dodał Chmielny i pokiwał głową. – Może trzymają chłopaka gdzieś w piwnicy, a my będziemy czekać z założonymi rękami.

– Możecie przestać? – Nie dawała za wygraną. – Przypominam wam, że stoimy na straży prawa, a to są bandyckie metody. Poza tym wiara katolicka

opiera się na męczeństwie, więc złamać księdza może być bardzo trudno. Tyle zyskamy, że całkiem stracimy świadka. Zamiast knuć, lepiej skupmy się na tym, jak umożliwić księdzu powiedzenie prawdy. Musi być jakiś sposób.

– Stracimy świadka? – Paweł cofnął rękę i odstawił piwo. – To już go całkiem oczyściłaś z zarzutów? Nie za szybko? Jest kupa dowodów, które na niego wskazują. Na pewno jest umoczony. A ta historia z tajemnicą spowiedzi to może być zwykła ściema, żeby uniknąć badania. Niby, że się zgadza, a nic nie mówi. Bogdan ma rację, zapuszczajmy go, a jak mu z dupy zrobią jesień średniowiecza, to sam do nas przyleci.

– Widać, że on nie działał sam. Ten mężczyzna z portretu pamięciowego taksówkarza to może być jego wspólnik. – Grzegorz też nie ufał księdzu. – Albo stręczyciel, który dostarczał mu dzieciaka. Pewnie przywoził go na plebanię, a księżulo zabawiał się i płacił kasę. To oczywiste, że go kryje. Sprawdziłem historyjkę, którą facet opowiedział taksówkarzowi. Matka chłopca rzeczywiście chła, ale żyje i ma się dobrze. Mieszka w Ożarowie; sąd pozbawił ją prawa do opieki nad Szymonem i dwójką młodszych dzieci. Tamta dwójka została umieszczona w domu małego dziecka w Kraśniku. Mamusia nie za bardzo się przejęła, jak powiedziałem jej o zniknięciu syna. Może dlatego, że nawet przez chwilę nie była trzeźwa. Tak że opowieść o starszym bracie możemy między bajki włożyć.

– Też myślę, że facet z portretu jest kluczowy. – Zuzanna wytarła usta chusteczką, zdjęła gumkę z koka i rozpuściła włosy. – Pewnie to jego ksiądz spowiadał. Sprawdziłeś tych pedofili z rejestru? To żaden z nich?

– Sprawdziłem z portretem pamięciowym, nie ma go w krajowym rejestrze – odpowiedział Kulesza i zgniótł dokładnie papierosa w popielniczce. – W ogóle dziwna sprawa, bo w ostatnim czasie dwóch groźnych pedofili z rejestru zniknęło bez śladu. Przestali się meldować na

komendzie. Lokalna policja ich szuka, ale bez skutku. Powiedziałem, żeby informowali mnie, jak się znajdują, ale nie dzwonili. Może to zniknięcie to zbieg okoliczności, a może mają coś wspólnego ze sprawą chłopca i zaszyli się gdzieś, jak zrobiło się głośno. Jutro pojedę do Gliwic, tam był zameldowany jeden z nich. Spróbuję się czegoś więcej dowiedzieć.

– Skąd był ten drugi? – zapytał Grzegorz. – Pojadę, rozpytam się o tego drugiego.

– Czekał, sprawdzę. – Kulesza wyciągnął notes. – Z Ustrzyk, twoje okolice.

– O, zajebicie. Wpadnę do domu i sobie gacie zmienię – zażartował, ale nikt się nie zaśmiał.

– OK, idę do łazienki – powiedziała Zuzanna, zakładając torebkę na ramię. – I wezmę sobie jeszcze piwo. Chcecie coś z baru?

– Ja nie, dopijam i spadam. – Sudoł podniósł kufel. – Muszę iść do domu.

– Serio już musisz iść? – Wstała i ruszyła do środka knajpki, żeby poszukać toalety. – Zaraz wracam.

Pozostali siedzieli, nie odzywając się do siebie, pogrążeni we własnych myślach. Byli sfrustrowani swoją bezradnością. To było główniane uczucie.

– Zrób tak, Paweł. – Kulesza przerwał ciszę i spojrzał na Sudoła. – Zapuszczaj chuja z grypserą i trzymaj się blisko. To stary, sprawdzony sposób na złamanie pedofila.

– Ksiądz ma wybór, a chłopak nie... – dodał Grzegorz, który też był za. – Nie ma co żałować.

– Dobra – odparł komisarz po chwili namysłu i kiwnął głową. – Załatwię to z komendantem. Tylko nic jej nie mówcie...

23

Kilka miesięcy temu znalazł Balcerzyka w rejestrze najgroźniejszych przestępców seksualnych w kraju. Tak jak swoje wcześniejsze ofiary. Lista jest ogólnie dostępna, zamieszczona w Internecie przez prokuraturę do publicznej wiadomości. Ma ostrzegać ludzi przed bandziorami przebywającymi na wolności. Z listy mógł się dowiedzieć o nich bardzo wiele. Były tam zamieszczone informacje na temat tego, z jakiego paragrafu zostali skazani, gdzie popełnili przestępstwo i gdzie aktualnie mieszkają. Jego interesowali tylko ci, którzy dopuścili się najcięższych przestępstw. Artykuł 197 punkt 4 kodeksu karnego – gwałty na nieletnich ze szczególnym okrucieństwem i morderstwa dzieci na tle seksualnym.

Większość pedofili z listy odsiadywała wyroki, niektórzy jednak przebywali na wolności. I tych miała dopaść sprawiedliwość wymierzona jego ręką. Nie miało znaczenia, że to inne dzieci gwałcili i mordowali. Nie miało znaczenia, że nigdy ich nie spotkał. To byli zwyrodnialcy, którzy dopuścili się strasznych czynów, którzy zasłużyli na karę. Prawdziwą karę, a nie tę, którą wymierzały im sądy. Bo czy piętnaście lat więzienia to wystarczająca kara za zgwałcenie, pobicie i w końcu zamordowanie dziewięcioletniej dziewczynki? No raczej, kurwa, nie.

Swoją drogą nie mógł zrozumieć, jak ojciec dziecka może znieść, że takie bydle chodzi po tej samej ziemi, w której jest pochowana jego córeczka. Ale słabość rodziców to nie była jego sprawa. Gardził nimi, ale to nie ich miał karać, w końcu też byli ofiarami.

Brał więc sprawy w swoje ręce. Kiedy wybrał ofiarę, zagłębiał się w historię zbrodni. Wyszukiwał archiwalne artykuły w lokalnej prasie, czasem

nawet sprzed wielu lat, a także notatki zamieszczone w Internecie. To były prawdziwe opisy ich bestialstwa. Nie cyfry paragrafów czy prawniczy bełkot uzasadnienia wyroku. Szczegółami karmił swoją wyobraźnię i rosła w nim nienawiść. Czytał, jakich okropności się dopuścili, oglądał miejsca zbrodni i stąd czerpał siłę i motywację, aby później zadawać im niewyobrażalne katusze. Odkrywając historię ich czynów i patrząc na zdjęcia ofiar, zawsze w końcu jego myśli trafiały do pokoju z zielonymi ścianami, z materacem w kącie. Do miejsca, gdzie leżał związany, nagi, ze strachem nasłuchując kroków. Dziś role się odwróciły i to jego kroki wywoływały u nich ataki panicznego strachu. I to była sprawiedliwość.

W ciągu sześciu dni Balcerzyk zmienił się nie do poznania. Jego oprawca siedział w fotelu i patrzył na swoje dzieło z satysfakcją. Jak malarz na dopiero co ukończony obraz. Na metalowym krześle wisiał wrak człowieka, ludzkie ścierwo. W niczym nie przypominał butnego, pewnego siebie osiłka sprzed kilku dni. Nie wrzeszczał już, nie groził. Wydawał z siebie tylko żalosne pojękiwania. Od dnia porwania nie dostał nic do jedzenia, więc w miejscu brzucha wisiał mu fałd skóry, opadający na uschnięte uda. Zamiast palców u nóg miał tylko krwawe strzępy mięsa wymieszanego ze zmiażdżonymi kośćmi. Policzki zapadły mu się do wewnątrz, a powybijane zęby poniewierały się wokół krzesła. Tułów pokryty był śladami od przypalania żelazkiem – wszędzie miał czarne strupy po oparzeniach trzeciego stopnia. W lewym kolanie miał wkręconą dużą śrubę. Jego porywacz uderzał w nią z całej siły młotkiem, kiedy chciał pobudzić wycieńczoną ofiarę. Naturalny zastrzyk adrenaliny dawał wtedy więźniowi siłę, żeby przez krótką chwilę krzyczeć z bólu. Ale trwało to tylko minutę, może krócej. Później znów jęczał cicho i tracił świadomość. Teraz nie można było już z nim nawiązać kontaktu. Mózg w wycieńczonym,

skatowanym ciele nie był już w stanie funkcjonować. Był jak zepsuta zabawka.

Jego kat wstał z fotela, wziął ze stołu kluczyk i otworzył kajdanki. Najpierw krępujące nogi, później ręce. Wyszedł z pokoju, zostawiając za sobą niedomknięte drzwi. Bezwładne ciało z głuchym uderzeniem zważyło się z krzesła na podłogę. Pośladki i uda miał całe owrzodzone od odleżyn, wdało się zakażenie. Upadając, Balcerzyk uderzył głową o podłogę i odzyskał przytomność. Rozejrzał się błędnym wzrokiem, zaskoczony nagłą zmianą. Jego oczy zatrzymały się na uchylonych drzwiach. Nie rozumiał, co się dzieje, kierowany instynktem i wolą przeżycia, jęcząc, zaczął czołgać się w stronę wyjścia. W końcu zdołał złapać palcami lewej ręki próg drzwi; próbował podciągnąć ciało. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, było trzaśnięcie drzwi. Bólu miażdżonych palców już nie poczuł, wycieńczone serce nie wytrzymało.

24

Okienko w drzwiach celi otworzyło się gwałtownie. Strażnik zajrzał do środka.

– Wszyscy na swoje wyra! – Więźniowie usiedli na pryczach, tak aby mógł ich widzieć. – Macie świeżaka.

Zasuwa przesunęła się z metalicznym dźwiękiem, w zamku zazgrzytał klucz. Ciężkie stalowe drzwi otworzyły się i w progu celi stanął ksiądz Piotr. W żółtawym drelichowym ubraniu, z literami ZK na kieszeni bluzy. Przed sobą w obu rękach trzymał koc, a na nim blaszaną miskę, kubek i łyżkę zakończoną z drugiej strony tępym widelcem. Rozejrzał się niepewnie, starając się omijać wzrok wpatrujących się w niego więźniów.

– Co, kurwa? Czerwony dywan mam ci rozwinąć? – Strażnik wepchnął go gwałtownie do środka. Miska z hukiem spadła na cementową podłogę, kubek potoczył się pod nogi najbliższego siedzącego osadzonego. – Patrz, jaka łajza! Od razu widać, że ksiądz. Ale dzieci poruchać lubi...

Więźniowie wymienili spojrzenia. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, co spotęgowało jeszcze ciszę, która zapanowała w celi. Kapłan powoli podniósł miskę i schylił się po kubek. Zanim zdążył po niego sięgnąć, chudy, łysy mężczyzna kopnął garnuszek. Naczynie potoczyło się z łoskotem i uderzyło w metalową nogę łóżka.

Ksiądz Piotr wyprostował się powoli. Nie wiedział, co robić. Stał przerażony, ze ściśniętym gardłem i wzrokiem utkwionym w podłogę. Coś w nim pękło, oczy zaszły mgłą. Próbował nie mrugać, ale nie wytrzymał i po twarzy popłynęły mu łzy. Wróciło dawno zapomniane uczucie z podstawówki, kiedy dostawał złą ocenę. Bardzo nie chciał płakać, nie

chciał, żeby wszyscy widzieli jego słabość. Wiedział, że będą się z niego śmiali. Nic jednak nie potrafił na to zaradzić. Był wtedy na siebie zły i było mu wstyd; teraz panicznie się bał.

– E no, nie becz... – Starszy, siwiejący już facet leżał na łóżku obok okna. Podniósł się i usiadł na brzegu pryczy. – Siwy jestem. Kładź mandzur, to łóżko na dole będzie twoje. Pająk, co się wygłupiasz, podaj księdzu ten kubek – dodał i kiwnął głową do chudego.

– Bóg zapłać – wymamrotał ksiądz Piotr i spojrzał na niego z wdzięcznością. – Dziękuję – powiedział już głośniej.

Położył miskę i łyżkę na stole pod oknem. Schylił się, żeby rozłożyć na łóżku koc. Ucisk w gardle zelżał.

Znów wróciły wspomnienia. Przypomniawszy mu się pierwszy dzień w seminarium. Przyjechał z małej wsi do Warszawy i też czuł się zagubiony. Starsi klerycy na każdym kroku go poniżali. Wyśmiewali jego fryzurę i wiejski akcent. Ale wszystko się poukładało, znalazł przyjaciół i wpasował się w tę zamkniętą społeczność. Wiedział, że tu także da radę. Przecież to też ludzie. Poblądzili w życiu, ale przecież mają uczucia.

Nagle poczuł, jak czyjeś potężne dłonie łapią go z tyłu za bluzę i z ogromną siłą ciskają na metalowy stelaż łóżka w drugim końcu celi. Pchnięcie było tak niespodziewane i tak mocne, że nie zdążył zasłonić rękami twarzy i uderzył w ramę łóżka. Upadł na podłogę z ustami zalanymi krwią. Miał rozbity nos i rozciętą dolną wargę. Jak przez mgłę słyszał śmiech siwego.

– O ty kurwo! Cwelu jebany! Na moje kojo się wpierdalasz?! – Potężnie zbudowany mężczyzna w koszulce na ramiączkach, z nabrzmiałą ze wściekłości twarzą, nachylał się nad nim, wrzeszcząc. – Przyjdiesz w nocy do koja, jak pan Byku będzie miał życzenie poruchać! A nie się wpierdalasz jak dzik w pomidory! Flekujemy śmiecia!

Wszyscy z celi oprócz stojącego z boku młodego więźnia rzucili się na księdza. Kopali go gdzie popadnie: w plecy, brzuch, głowę. Instynktownie zwinął się i zasłonił rękami twarz. Niewiele pomagało. Ciężkie więzienne buty zadawały bolesne razy, a jego jęki tylko pobudzały ich zaciętość. Przepychali się między sobą, kopali z góry, chcąc zadać jak najwięcej ciosów. Młody mężczyzna w zawiązanej na brzuchu bluzie wszedł na pryczę i dopingował ich piskliwym głosem.

– Dobra, Byku! – Siwy, łapiąc oddech, odciągnął osiłka za ramię. – Na chrzest starczy. Żeby nam za szybko nie wykitował.

– Do sracza, śmieciu! Wypierdalaj na gier! Tam twoje miejsce. – Byku, dysząc ciężko, sięgnął po butelkę oranżady. – Ale się, kurwa, zmachałem... Jakbym trzy serie na klatę pierdolnął.

Ksiądz Piotr wciąż leżał skulony, w szoku. Bał się otworzyć oczy. Gdyby nie przeszkadzali sobie wzajemnie, pewnie połamaliby mu kręgosłup. Na szczęście mógł poruszać nogami. Ból był wszędzie, ale skulone nogi ochroniły narządy wewnętrzne, a ręce głowę.

– Ale żeś go, Tadziu, wypuścił... – Młody więzień śmiał się, zasłaniając usta ręką. Miał całą twarz w krostach i piskliwy głos. – Bykowi chciał kojo zajmować! O ja pierdolę!

– Zamknij ryj, Krzysiu – zgasił go stary. – Bo też obskoczysz. Zawołaj burasa i powiedz, że się świeżak zepsuł. Żeby jutro na apelu afery nie kręcił.

– Sam sobie wołaj! Ja go biłem? – sztucznie strzelił focha, ale poszedł do drzwi i zaczął w nie uderzać obiema rękami. – Panie strażniku! Wypadek!

– A ty zbieraj mandzur i wypierdalaj. Do sracza! – Siwy przewrócił duchownego na plecy nogą. – Tam będziesz garował.

25

Zuzanna stanęła przed biurkiem komendanta. Miała szybki, płytki oddech.

– Niech go pan natychmiast uwolni! – Jej pierwsze słowa zagłuszyło trzaśnięcie drzwi, które pchnęła z impetem, wchodząc.

– Po pierwsze to do mnie się puka, a po drugie to kogo mam uwolnić? – Uniósł brwi. – Barabasza?

– To nie jest śmieszne – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Popełnia pan ogromny błąd. Pomijam fakt, że to niehumanitarne, bo to pewnie pana niewiele obchodzi, ale pozbawia nas pan najważniejszego świadka.

– Nie wydaje mnie się... – Sobczyk bujał się na biurowym fotelu. – Niech pani usiądzie i przestanie na mnie syczeć, bo mi pani moją żonę przypomina. I to nie jest komplement.

Zuzanna stała jeszcze chwilę, w końcu wzięła głęboki oddech i usiadła na krześle przy stole będącym przedłużeniem biurka. Przez moment patrzyła na blat, próbowała się uspokoić i zebrać myśli. Zreflektowała się – to nie była odpowiednia taktyka w rozmowie z tym człowiekiem. Stara, jeszcze milicyjna gwardia, więc najpierw służalczość, a może później argumenty.

– Proszę wydać nakaz przeniesienia księdza Ostrowskiego do naszego aresztu i pozwolić mi z nim pracować. Zanim go zabiją i będzie pan miał krew na rękach.

Twarz komendanta stężała. W ciszy usłyszeli stuknięcie w sekretariacie. Sobczyk wstał, podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie do środka. Do gabinetu wpadła Danka.

– O Jezu... – Zaskoczona straciła równowagę i wygięła sobie kostkę w szpilce. – Pan komendant mnie wołał? – Poprawiła włosy.

– Tak, chciałem cię, Danusia, grzecznie prosić, żebyś poszła do swojego biurka, usiadła sobie dupą na krześle i zajęła się w końcu jakąś robotą.

Danka fuknęła coś i pokuśtykała nadąsana, pojękując cicho z bólu.

– Na jednej nóżce! – rzucił za nią złośliwie. – I nie ma mnie dla nikogo.

Zamknął drzwi, wrócił na swoje miejsce i spojrzał zimno na Zuzannę.

– Pani aspirant, proszę mnie nie straszyć. Nie tacy próbowali.

– Ja pana nie straszę, ja panu uświadamiam konsekwencje – powiedziała już spokojniej. – Trzeba temu zapobiec, może jeszcze nie jest za późno i uda mi się to odkręcić. Ksiądz chciał współpracować, dawał jasny przekaz. Chciał, żebyśmy znaleźli sposób na obejście tajemnicy spowiedzi. Wręcz prosił nas o pomoc w znalezieniu sposobu, żeby mógł powiedzieć, co wie. A ci głupcy wszystko zepsuli! Byliśmy po jednej stronie barykady, a teraz jesteśmy wrogami.

– Nie mam czasu na pani psychologiczne gierki. Będzie tam siedział, aż zacznie gadać – oświadczył, splótł dłonie, nachylił się nad biurkiem i popatrzył jej w oczy. – Ja nie wierzę, że jest niewinny. A jak ty wierzysz i chcesz mu pomóc, to znajdź innego sprawcę.

– Innego? Czy prawdziwego?! Właśnie ksiądz jest jedyną osobą, która może pomóc nam znaleźć rzeczywistego porywacza i uratować chłopca! – Znów traciła nad sobą kontrolę. To nie było w jej stylu.

– Skończyliśmy, pani aspirant. – Sobczyk oparł się na krześle. – Proszę się odmeldować.

– Czyli tak tu działacie, tak? Jest kozioł ofiarny i bilans się zgadza?! Wykrywalność sto procent! – Szybkim ruchem założyła opadające włosy za ucho. – Nie liczy się prawda i sprawiedliwość, tylko stołek i święty spokój?!

– Dość! – Sobczyk uderzył dłonią w stół, aż podskoczyła. – Wyjdź stąd, dziewczyno, zanim stracę cierpliwość!

Wstała i wyszła z gabinetu, nie zamykając za sobą drzwi. Bliska płaczu, prawie przebiegła przez sekretariat. Danka odprowadziła ją przestraszonym wzrokiem.

Na korytarzu siedział Paweł. Koniec rozmowy słyszeli wszyscy i nie było wątpliwości, jaki był jej przebieg. Minęła go bez słowa.

– Zuza! – Wstał, chciał iść za nią.

– Spierdalaj!

26

Komisarz Kulesza stał pod bramą kamienicy przy placu Grunwaldzkim w Gliwicach. Przed nim majaczył stary, zaniedbany budynek z odpadającym tynkiem. Rozejrzał się wokół i zadarł głowę do góry, lustrując kolejne okna. W większości nie było firanek, w niektórych zamiast szyby wstawiona była dykta. Z mieszkania po lewej stronie, na parterze, spoglądała na niego jakaś kobieta. Ich oczy się spotkały. Chwilę to trwało, jak w dziecięcej zabawie – kto pierwszy odwróci wzrok, ten przegrywa. W końcu Kulesza skinął głową, mówiąc bezgłośnie „dzień dobry”. Kobieta nie odpowiedziała, dalej przyglądała mu się z beznamiętną twarzą. Spojrzał jeszcze raz w okno na trzecim piętrze i ruszył w stronę klatki schodowej.

Wewnątrz niechlujny napis sprayem informował komisarza, co kibice Piasta Gliwice wsadziliby jemu i jego kolegom z pracy w dupę. Drewniane schody skrzypiały, lamperia odpadała płatami. Ściany były osmalone zapałkami, a w kątach poniewierały się kiepy. Między drugim a trzecim piętrzem, wśród drobnych mysich odchodów, dumnie prezentowała się okazała psia kupa. Miał nadzieję, że psia. Drzwi do mieszkania Balcerzyka nie odbiegały wyglądem od otoczenia. W miejscu dzwonka wystawał ze ściany zaizolowany niedbale kabel.

Zapukał; nikt nie otwierał. Po chwili nacisnął chyboczącą się klamkę i drzwi uchyliły się, skrzypiąc. Zdziwiony pchnął je mocniej i zajrzał do środka. Wiedział, że miejscowa policja nie zastała nikogo w mieszkaniu, ale czemu nie weszli do środka? Tak wynikało z policyjnego raportu. Nie sprawdzili nawet, czy drzwi były otwarte. Durnie. Może to i lepiej, bo zatarliby wszystkie ślady.

– Halo! – Stał chwilę przed wejściem. – Jest tu kto? Policja!

Nikt nie odpowiedział. Usłyszał na dole dźwięk otwieranych drzwi. Spojrzał w dół klatki schodowej, ale nikogo nie zauważył. Wszedł do mieszkania. Wyjął z kieszeni gumowe rękawiczki i zakładając je, rozglądał się po przedpokoju. Bród, smród i ubóstwo. Niczego innego się nie spodziewał. Na ławie w pokoju i na stole w kuchni leżały puszki po konserwach, puste słoiki po ogórkach, brudne kubki i talerze. Z szafki pod pełnym nieumytych naczyń zlewem wydobywał się odór starych śmieci i zepsutego jedzenia. Otworzył szufladę.

– Jezus Maria! – Odskoczył z krzykiem, gdy gdzieś za szafki uciekła mysz. – Kurwa mać...

Wszedł do pokoju. Pod oknem stał mały stolik telewizyjny, ale telewizora nie było. Na podłodze leżał przewód od kablówki, z wyrwaną wtyczką. Niepościelona wersalka, sterta ubrań na krześle, obok rząd kilkunastu puszek po piwie. Podniósł jedną, była pełna. Pod wersalką leżał pilot od telewizora taniej marki.

Komisarz ostrożnie otworzył szafę. Były w niej ubrania. Jego uwagę przykuła skórzana kurtka, była prawie nowa. Jeden z nielicznych elementów garderoby gospodarza, który miał jakąś wartość.

– Porządna kurtka... znudziła ci się? – wyszeptał pod nosem, po czym zamknął szafę i rozejrzał się po pokoju.

Wciągnął zestaw do pobierania odcisków palców. Posypał proszkiem fluorescencyjnym pokryty politurą blat ławy. Zaświecił latarką UV. Na stole, wśród puszek po pasztecie i okruchów, było pełno odcisków palców. Zebrał kilka z różnych stron stołu przy pomocy specjalnego, podręcznego zestawu.

W kuchni z trudem odnalazł kawałek w miarę czystej powierzchni, ale i tu udało się pobrać kilka odcisków.

Przeszedł do przedpokoju. Spojrzał na podłogę. Pod drzwiami stały dwie pary butów: wysłużone adidasy i sandały zapinane na rzepy. Nie było domowych trepeków. Na haczyku wisiała łyżka do butów i klucz. Zdjął go i przekręcił w zamku – klucz był od drzwi do mieszkania. Odwiesił go z powrotem. Chciał pobrać odciski palców z łyżki do butów, ale proszek wypadł mu z ręki i rozsypał się po podłodze.

– Kurwa mać! – Kucnął i zaczął niezgrabnie zbierać pył pokrywką do pudełka. Włączył latarkę UV, żeby ułatwić sobie sprzątanie w ciemnym przedpokoju.

Nagle zastygł w bezruchu. Coś przykuło jego uwagę. Dmuchnął mocno i proszek rozsypał się po całym przedpokoju. Na podłodze było tylko kilka śladów butów. Podniósł nogę do góry, wysypał w jej miejsce zebrany przed chwilą proszek fluorescencyjny i poświecił latarką. W przedpokoju były wyłącznie ślady jego butów. Sprawdził resztę mieszkania. W pokoju i w kuchni było pełno innych śladów, w łazience i przedpokoju – tylko jego.

Zdjął rękawiczki, by umyć ręce z talku, lecz gdy odkręcił wodę, piecyk niebezpiecznie buchnął płomieniem. Zakręcił szybko kran i wyszedł z mieszkania, stawiając kroki jak najbliżej ścian. Po drodze zabrał klucz z haczyka i zamknął drzwi.

Zszedł po schodach. Zatrzymał się pod drzwiami mieszkania numer dwa. Na blaszanej tabliczce wygrawerowane były dane mieszkańców: „Eugenia i Zenon Wąsikowie”. RODO tu jeszcze nie dotarło. Nacisnął dzwonek.

– Pan do kogo? – usłyszał, ledwo zwolnił przycisk. – O co chodzi?

Wiedział, że w takich miejscach policja nie jest lubiana i raczej nikt z policjantami nie chce rozmawiać. Przez chwilę zastanawiał się, jaki fortel zastosować i za kogo się podać. Po krótkim namyśle zrezygnował. Kobieta i tak pewnie domyślała się, kim jest. Może nawet słyszała, jak wołał na górze. Ale otworzyć mu musi.

– Możemy chwilę porozmawiać? – ściszył głos. – Jestem z policji kryminalnej.

Nie pomylił się, po dłuższej chwili usłyszał zgrzyt zamka i kilku zasuwek. Drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha i Kulesza zobaczył w nich kobietę, którą wcześniej widział w oknie. Wyjął odznakę.

Wpuściła go do mieszkania. Usiadł przy stole bez zaproszenia.

– O co się rozchodzi? – spytała. Stała nad nim z wrogą miną. – Nic nie powiem, bo nic nie wiem.

– Jeszcze nie zapytałem, a pani już nic nie wie? – Już wiedział, że to nie będzie łatwa rozmowa.

– Z domu nie wychodzę... – Kobieta patrzyła w bok. – Chora jestem, tylko do kościoła chodzę.

– Kiedy ostatni raz widziała pani pana Balcerzyka?

– Nie znam – odburknęła. – Nie widziałam.

– Sąsiad z trzeciego piętra – odparł, próbując zachować spokój i być miły. – Kawał chłopa, łysy, mieszka sam.

– No może i wiem który – szła w zaparte. – Ale nie pamiętam, kiedy go widziałam. Mogę nie pamiętać?

Kulesza zrezygnowany rozejrzał się po pokoju. Miał już wstać, kiedy jego wzrok zatrzymał się na telewizorze. Był tej samej marki co pilot w mieszkaniu Balcerzyka. Poczul się jak pokerzysta, który dostał karekę z ręki.

– Może pani włączyć telewizor? – Spojrzał na nią i już wiedział, że ma rację.

– Po co? – mruknęła, patrząc spode łba. – Teraz nic nie ma.

– No to skoro w telewizji nie ma nic ciekawego, to pani opowie mi jakąś ciekawą historię – wyjął notes i długopis – o Balcerzyku albo o tym

telewizorze. To już niech pani wybiera, pani Eugenio. Mnie wszystko jedno.

Kobieta zacisnęła usta. Miał ją w garści.

– Balcerzyka widziałam ostatnio tydzień temu, w zeszły czwartek... – Patrzyła, jak notuje. – Chyba rachunków za gaz nie płacił, bo przyjechali z gazowni odcinać.

– Gaz w mieszkaniu jest – wtrącił, przypomniawszy sobie piecyk. – Dlaczego pani myśli, że chcieli mu odciąć gaz? Słyszała pani?

– Nie – odburknęła. – Ale po co by go zabierali? Wsiadł do samochodu gazowni i pojechał. Od tamtej pory go nie było. Uciekł chyba, bo pewnie długów narobił. Mieszkanie miasta, komunalne, to urząd zapłaci.

Kulesza wyciągnął telefon i odszukał zdjęcie portretu pamięciowego poszukiwanego, sporządzonego przez taksówkarza.

– Jak mi pani prawdę powie, to się może jeszcze pilot do tego telewizora znajdzie, a mnie też pani więcej nie zobaczy – powiedział i pokazał jej zdjęcia poszukiwanego i księdza Piotra. – Czy widziała pani któregoś z nich?

Ksenię Cadres obserwował już od dwóch tygodni. Zaczął zaraz po pozbyciu się ciała Balcerzyka. Ustalił, że od czasu wyjścia z więzienia siedem miesięcy temu mieszkała z matką na wsi pod Częstochową. W małym drewnianym domku. Porwanie jej okazało się jednak niełatwym zadaniem. W tak małej miejscowości wszyscy się znali. Już samo pojawienie się obcego samochodu stałoby się nie lada sensacją. Nie było możliwości pozostać niezauważonym. Na widok pracownika gazowni zbiegłaby się pewnie cała wieś. Musiał być kreatywny.

Na potrzeby przygotowań kupił więc motocykl. Jazda w kasku z ciemną szybą pozwalała pozostać anonimowym mimo ciekawskich spojrzeń miejscowych. Poza tym motocykl trudniej opisać świadkom niż samochód. Dla większości ludzi motocykle różnią się tylko kolorem, nie są w stanie podać ich marki czy modelu. Choć nigdy nie marzył o motorze, okazało się, że jazda sprawia mu ogromną frajdę.

„Przyjemne z pożytecznym” – podsumował w myślach.

Głośny silnik motocykla zwracał jednak na siebie uwagę, nie zatrzymywał się więc w pobliżu jej domu. Zostawił pojazd w lesie za wsią, przedzierał się przez krzaki na skraj drogi i obserwował podwórko przez lornetkę.

Ksenia nie pracowała. Żyła z matką, prawdopodobnie z jej emerytury, co wywnioskował z radości, z jaką obie przywitały listonosza. Większość dnia spędzała na ławce przed domem, paląc papierosy, popijając kawę i gapiąc się w telefon.

Szperając w Internecie w poszukiwaniu informacji na jej temat, znalazł anons o możliwości kupna zaciągniętego przez nią niespłaconego kredytu. Chwilówka, razem z odsetkami karnymi trochę ponad sześć tysięcy złotych, w windykacji od pięciu miesięcy. Złożył ofertę zakupu online, proponując niewiele mniej niż kwota zadłużenia. Następnego dnia otrzymał wiadomość, że jego oferta została przyjęta i po zapłacie zadeklarowanej kwoty zostanie szczęśliwym posiadaczem zadłużenia pani Kseni Cadres. Zrobił przelew, a wraz z potwierdzeniem nabycia długu otrzymał dane adresowe kredytobiorczyni i co ważniejsze, jej numer telefonu. Jak się okazało, aktualny.

Szybko namierzył jej konto na Facebooku, założone pod fałszywym nazwiskiem. Z oczywistych względów nie mogła podać prawdziwych danych. Zdjęcie profilowe w weneckiej masce, dodanej w jakiejś aplikacji, wyglądało tajemniczo i seksownie. Pomimo trzydziestu dziewięciu lat, z których osiem spędziła w lubelskim więzieniu, zachowała figurę i była atrakcyjną kobietą. Jej wyuzdanie i seksualne upodobania, opisane w internetowych relacjach dziennikarzy, pobudzały wyobraźnię napalonych prymitywów. Nic więc dziwnego, że często trafiał w komentarzach pod artykułami na obleśne propozycje wielbicieli. A wszystko mimo całego okrucieństwa jej czynów.

Dziesięć lat temu jej historią żyła cała Polska. Razem z kochankiem, byłym gangsterem oskarżonym w procesie mafii papierosowej, zwabiali podstępem dwunasto-, trzynastoletnie dziewczynki do wynajętego mieszkania. Dzieci z biednych rodzin wabili drogimi prezentami. Tam odurzali je narkotykami, we dwójkę gwałcili na wszystkie możliwe sposoby i nagrywali filmy porno. Szantażem i biciem zmuszali do kolejnych spotkań i przyprowadzania następnych dzieci. Oboje wiedzieli, że są nosicielami HIV, i świadomie zarazili większość dziewczynek. Dwie, które chciały o

wszystkim poinformować policję, zamordowali, trzecia popełniła samobójstwo. Kochanek Kseni uciekł, a ona została skazana na dwanaście lat więzienia, z czego odsiedziała osiem. Teraz przyszła pora na sprawiedliwy wyrok i wymierzenie odpowiedniej kary.

Dzięki opublikowanym analizom sądowych psychologów, znał jej słabe punkty: seks i pieniądze. Opracował więc plan i mógł przystąpić do działania.

Teraz przydały mu się kilkumiesięczne oszczędności. Przy jego niewielkich codziennych wydatkach i pokaźnej pensji, nawet po zakupie motocykla, na koncie została jeszcze pokaźna suma. W wypożyczalni o wdzięcznej nazwie sexiCars w Krakowie wynajął na tydzień białe BMW z ciemną skórzaną tapicerką. Zupełnie nowym doświadczeniem były zakupy w drogich sklepach z męskimi ubraniami: Calvin Klein, Hugo Boss, Massimo Dutti. Wszędzie witały go miłe ekspedientki, uśmiechające się na widok grubego pliku gotówki. Kupił dwa drogie garnitury, kilka modnych koszul, krawatów, dwie pary butów i zestaw sportowy do jeansów. Markowe ciemne okulary kosztowały ponad tysiąc złotych, zegarek – pięć. W całym swoim dotychczasowym życiu nie wydał tyle na ubrania, ale – jak zapewniła go śliczna sprzedawczyni – było warto. Wszystkie te rzeczy nie stanowiły dla niego jednak żadnej wartości. Traktował je jak przebranie i gdyby pieniądze były dla niego ważne, pewnie zwróciłby większość następnego dnia, kiedy już przestały być mu potrzebne. Ale pieniądze nigdy nie były istotne, więc miał to gdzieś. Wizytę u fryzjera potraktował jak kolejny przykry obowiązek, chociaż pozbycie się zarostu sprawiło mu dużą przyjemność.

Następny dzień spędził, przechadzając się w swoich nowych ciuchach po krakowskich kawiarniach i restauracjach. W ciągu kilku godzin zrobił sobie kilkaset zdjęć. Drogi garnitur, restauracja, krewetki, białe wino. Następnie

elegancka marynarka, apaszka, *night club*, szklanka whisky i cygaro. Kolejna stylizacja, kolejna scenografia, kolejna fotka. Na koniec sesja z białym BMW.

Wieczorem portfolio było gotowe. Swoje najlepsze zdjęcia uzupełnił kilkoma fotkami znalezionymi w Internecie: narciarz na tle Alp, nurek wśród koralowych raf i kilka zdjęć ekskluzywnych hoteli. W ciągu dwóch godzin stworzył na Facebooku konto mężczyzny sukcesu, który w dzisiejszych czasach jest szczytem marzeń większości kobiet. Dla Kseni był księciem z bajki. Przynęta była gotowa.

28

Ksiądz Piotr siedział w kucki na pomalowanej brązową farbą betonowej podłodze, obejmując podciągnięte pod brodę nogi. Ramieniem opierał się o metalową muszlę klozetową. Był zziębnięty i obolały. Cały się trząśł. Ostatnie dwie doby spędził w kącie celi obok ubikacji, z którego nie pozwalali mu wychodzić. Znudzeni więzienną rutyną skazani wykazywali się wyjątkowym okrucieństwem. Miskę z jedzeniem stawiali na podłodze koło kibla i kazali mu jeść bez użycia rąk, jak pies. Wodę musiał pić z sedesu. Ubranie miał przesiąknięte potem i moczem.

Wczoraj Siwy, tak nazywali najstarszego więźnia, załatwiając potrzebę, odwrócił się i obsikał go ku uciechu pozostałych. Spodnie księdza były na dodatek ubrudzone krwią. Pierwszej nocy gwałcili go po kolei. Staremu nie stanął, więc ze złości włożył mu w odbył kij od szczotki, raniąc przy tym boleśnie. Ksiądz Piotr nawet nie próbował się bronić, był sparaliżowany strachem. Byku, na wolności bokser, co jakiś czas wołał go do siebie i bił pięścią w twarz.

– Zgaduj, kurwa! Lewa czy prawa?

Wymierzał mu krótkie, błyskawiczne ciosy, po których robiło mu się ciemno przed oczami i tylko jak z oddali słyszał świński rechot oprawcy. Tego zwyrodnialca bał się najbardziej.

Drugiej nocy Byku kazał mu położyć się obok siebie na pryczy. Ksiądz Piotr robił, co tamten chciał. Pozostali onanizowali się, patrząc ze swoich łóżek.

Teraz siedział cicho i błędnym wzrokiem, szeroko otwartymi oczami, obserwował śpiących więźniów. Pełen strachu pragnął, żeby żaden się nie

obudził. Każdy ich ruch, przekręcenie się na drugi bok, wywoływały u niego wybuch paniki i bezgłośny, wewnętrzny krzyk przerażenia. Wiedział, że kiedy wstaną, jego koszmar rozpocznie się na nowo. Nigdy wcześniej nie doświadczył tak straszego uczucia: panicznego strachu zaszczutego zwierzęcia. Był na granicy utraty zmysłów.

Z letargu wyrwał go metaliczny dźwięk otwieranej zasuwki w drzwiach celi. Jęknął przerażony i odruchowo przyłgnął do ściany.

– Ostrowski! Na przesłuchanie!

Głos strażnika obudził pozostałych, patrzyli nieprzytomnie. Pora jak na przesłuchanie była bardzo wczesna. Chwilę trwało, zanim obudzeni nagle więźniowie otrząsnęli się ze snu.

– Tylko się, kurwa, nie rozpruj! – Siwy oprzytomniał najszybciej. – Bo my będziemy wiedzieć, że sypiesz, jeszcze zanim pod celę wrócisz.

Ksiądz Piotr patrzył na niego przerażonymi oczami, nie wiedząc, czy może wstać. Co ma robić, żeby nie narazić się na ciosy współwięźniów?

– Ostrowski, do chuja! – Strażnik schylił się i zajrzał przez otwór w drzwiach. – Wstawaj i daj tu łapy! Muszę ci założyć kajdanki!

Ksiądz Piotr wstał powoli i wsunął ręce w otwór w drzwiach.

– Co za zjeb... – Mężczyzna szarpnął go za jedną rękę. – Tyłem się, kurwa, odwróć! Nie nauczyli cię jeszcze?! Dawaj drugą łapę!

Skutego wyprowadzili z celi. Szedł przed nimi wolnym krokiem. Jego chód były nierówny, ciało dziwacznie powyginane. Bolało go wszystko, rany powodowały męczarnie przy każdym kroku, przy każdym oddechu. Jednak ból nie docierał do jego świadomości. To, co mu zrobili, wprowadziło go w rodzaj szoku, trauma sparaliżowała pracę mózgu. Zastraszony, automatycznie wykonywał wszystkie polecenia, aby uniknąć tortur. Nie rozróżniał już, kto jest kim, wszyscy wokół byli dla niego zagrożeniem.

– Ale śmierzdi – skomentował jeden z mężczyzn, po czym obaj strażnicy zostali kilka kroków z tyłu. – Może by go szybko wziąć pod prysznic? Nie będzie problemu, jak takiego przyprowadzimy?

– Co ty się przejmujesz? Myślisz, że policja nie wie, co jest grane? Myślisz, że go przypadkiem tu wsadzili? – Starszy stopniem wyciągnął pałkę i pchnął nią więźnia. – No idź, kurwa!

Weszli do pokoju przesłuchań. Za stołem siedziała Zuzanna, przeglądając coś w telefonie.

– No nareszcie... – Jej głos ucichł nagle.

Funkcjonariusz posadził księdza Piotra na metalowym, przytwierdzonym do podłogi, krześle. Więzień skurczył się w sobie, jakby szykując się na przyjęcie uderzenia.

– Wyjdźcie stąd. – Zuzanna była wstrząśnięta wyglądem mężczyzny. – Rozkuć go i wyjdź! – Klawisz spojrzał na nią urażony, ale zdjął kapłanowi kajdanki.

Strażnicy wyszli z pokoju, zostawiając ich samych.

Zuzanna patrzyła na księdza Piotra i nie wiedziała, co powiedzieć. Jego twarz wyglądała strasznie, była cała opuchnięta. Prawe oko zakrywała nabrzmiała fioletowa powieka. Na czole miał ogromnego guza, pokrytego strupem. W brudnym, śmierdzącym, pochłapanym krwią drelichu wyglądał okropnie. Osowiąły, patrzył w podłogę przed sobą.

– Proszę księdza... – Drgnął. – Proszę na mnie spojrzeć... Piotrze, popatrz na mnie.

Podniósł powoli głowę. Zrobiła mu zdjęcie i bez słowa zaczęła klikać coś w telefonie. Po chwili przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Wysłałam ci zdjęcie księdza Ostrowskiego – powiedziała cicho. Głos jej drżał. – Możesz być z siebie dumny. Będę tu siedziała, aż przyjedziesz z nakazem przeniesienia go do naszego aresztu. Jeżeli nie będzie cię do

dwunastej, wyślę zdjęcie prasie i opowiem im, jak do tego doszło. Adwokatowi księdza też. Przekaż to Sobczykowi – dodała i na chwilę zamilkła. Słuchała. Oparła głowę na rękę i przeczesała włosy dłonią. – Gównu mnie to obchodzi. I wiesz co? Wszyscy za to odpowiecie przed prokuratorem.

29

Jechał drogą numer 43, omijając drogi wokół Częstochowy. Ostrożności nigdy za wiele.

Było już ciemno. Nawigacja pokazywała, że będzie na miejscu za niecały kwadrans. Telefon znów zawibrował. Nie musiał sprawdzać, kto to. Od wczorajszego wieczoru, kiedy zaproponował Kseni wspólny weekend w eleganckim hotelu w Zakopanem, jego telefon co chwila pokazywał przychodzące wiadomości. Nawiązanie z nią intymnej relacji zajęło mu nie więcej niż godzinę.

Tak jak przypuszczał, Ksenia miała dość klepania biedy na wsi, ciągnęło ją do starego życia. Niestety jej dawny kochanek nie odezwał się po jej wyjściu z więzienia. Próba poderwania nadzianego faceta w jednym z częstochowskim klubów skończyła się szybkim numerkiem w bramie i powrotem do domu pierwszym porannym autobusem, na dodatek w podartych rajtuzach. Nic więc dziwnego, że przystojny biznesmen, do tego w trakcie rozwodu, od razu wzbudził jej zainteresowanie. Wystarczył dwuznaczny komentarz pod jej profilowym zdjęciem.

Już w trakcie przeglądania jego facebookowego konta zrobiło jej się ciepło między nogami. Oczyma wyobraźni widziała siebie u jego boku, wylegającą się w seksownej pozie nad basenem w pięciogwiazdkowym hotelu w Egipcie. Z kolorowym drinkiem w dłoni. Przez chwilę zaniepokoiła się, czy ta suka, jego żona, nie zabierze czasem przy rozwodzie białego BMW. Szybko odegnała jednak mroczne myśli, patrząc na kolejne zdjęcie na Facebooku, przedstawiające pędzącą motorową łódź. Ich SMS-owa rozmowa prędko przerodziła się z pełnej erotycznych

podtekstów pogawędki w wulgarne obietnice ostrego seksu. On przedstawiał fantazje jako niespełnione marzenia, ona marzyła, żeby te fantazje spełnić.

Dziś był już zmęczony ciągłymi powiadomieniami w telefonie. Teraz, kiedy wiedział, że osiągnął swój cel, nie miał najmniejszej ochoty na miłosne pogaduchy. Nie dawała mu jednak spokoju. Musiał zatrzymywać się co chwila i odpisywać na jakieś kretyńskie, infantylne SMS-y. Jadąc, wybrał numer z ostatniej wiadomości i połączył się przez zestaw samochodowy.

– No heeej... – usłyszał jej głos w słuchawce. – Gdzie jest mój pan i władca...? Bo ja tu stygnę...

– Zaraz cię rozgrzeję – silił się na zmysłowy ton. – Czekasz tam, gdzie ustaliliśmy?

– Mhm... czekamy...

Zaniepokoił się. Na przystanku, na którym się umówili, o tej porze nie powinno być nikogo. Sprawdził dokładnie rozkład jazdy. Ostatni autobus odjechał ponad godzinę temu.

– Czekacie? Ty i kto?

– Ja i moja cipka... – wyszeptała.

– Mam dla ciebie prezent – odparł, bo napięcie zniknęło. Uśmiechnął się do słuchawki i zniżył głos. – Ale będziesz musiała poprosić na kolanach... Zaraz będę.

Rozłączył się. Uśmiech zniknął. Twarz mu momentalnie stężała. Sięgnął ręką za oparcie fotela pasażera. Wyciągnął paralizator i ostatni raz sprawdził baterię. Wszystko było w porządku, wskaźnik wskazywał prawie maksymalny poziom naładowania. Schował go z powrotem. Spróbował wyjąć, nachylając się w kierunku fotela pasażera, i znów schował. Powtórzył to kilka razy. Na tylnym siedzeniu leżała reklamówka, w niej

koc, czapka z daszkiem i kilka rolek taśmy. Wszystko było gotowe. Komunikat nawigacji poinformował go, że za trzysta metrów będzie u celu.

Zauważył ją z daleka, ona jego auto też. Stała na starym przystanku autobusowym na końcu wsi. Zwolnił i zatrzymał BMW tuż obok niej.

Ksenia otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

– Cześć! – Uśmiechnęła się kokieteryjnie. – Jaki przystojniak... Lepiej niż na zdjęciach. – Wsiadła do samochodu. – Jestem Ksenia.

Była trochę spięta. Bardzo zależało jej na tej znajomości, więc obawiała się, czy go nie rozczaruje. W końcu miała już swoje lata, a on z tą wypasioną bryką i kasą mógł mieć każdą.

– Nareszcie się spotykamy, jestem Paweł. – Uśmiechnął się tajemniczo i pocałował ją w usta, jednocześnie wkładając jej rękę między nogi.

Westchnęła cicho. Objęła go i wsunęła mu do ust język, rozchylając uda. Nie miała majtek.

Po chwili się uwolnił. Wiedział, że HIV nie przenosi się przez ślinę, ale sama świadomość, że jest zarażona, nie była miła. Pocałunek nie sprawił mu zresztą żadnej przyjemności. Ściągnął jej ramię ze swojej szyi i oparł się w fotelu. Oblizwała usta.

– No to zapoznanie mamy już za sobą – skomentował i położył ręce na kierownicy. – Nikomu o nas nie mówiłaś?

– Nie... – Wciąż patrzyła na niego maślanymi oczami, pocierając udami.

– Wiesz, że moja była żona przed sprawą rozwodową nie może się o niczym dowiedzieć, prawda? – Spoważniał. – Adwokat tej szmaty tylko czeka, żebym dał mu pretekst do udupienia mnie w sądzie. Jeżeli komuś cokolwiek wspomniałaś, to mi lepiej teraz powiedz, bo jej detektyw cały czas mnie sprawdza.

– Nikomu nie powiedziałam ani słówka – odpowiedziała i pokręciła głową. – Umiem trzymać język za zębami.

Wierzył jej. Więżenie na pewno ją tego nauczyło.

– Czyli ruszamy na spotkanie z przygodą? – Rozchmurzył się.

– Z tobą na koniec świata! – Napięcie zniknęło z jej twarzy, zastąpiła je radosna ekscytacja.

Wcisnął przycisk „start” i włączył silnik.

– Może być na koniec świata, ale najpierw gdzieś w krzaki na szybki numerek – powiedział stanowczo i spojrzał jej w dekolt, po czym nie odrywając oczu, ruszył z piskiem opon. Nie patrzył na drogę.

– Wariat! – zaśmiała się, a pęd wcisnął ją w fotel.

30

Narada miała się zacząć godzinę temu, ale wciąż wszyscy czekali na Kuleszę. Wracał ze Śląska, dzwonił z drogi, że się spóźni. Sobczyk kazał się zawołać, gdy tylko policjant zjawi się na komendzie.

Atmosfera w zespole była fatalna, jeżeli można było jeszcze w ogóle mówić o zespole. Kontakt Zuzanny z pozostałymi ograniczał się do zdawkowych służbowych rozmów w oficjalnym tonie. Szczególnie złe były jej stosunki z Sudołem, którego obwiniała za umieszczenie księdza w więzieniu. Wiedziała, że pozostali też to zaakceptowali, a komendant podpisał rozkaz, ale to zdrada Pawła naprawdę ją zabolowała. Myślała, że coś ich łączy, jakaś nić sympatii. Może nawet coś więcej niż koleżeństwo. Nie mogła mu wybaczyć.

Nie zmieniła jej nastawienia ani skrucha Sudoła, ani fakt, że złożył rezygnację ze służby. Napisał oficjalne pismo zaraz po przewiezieniu księdza Ostrowskiego do aresztu komendy. Sobczyk rezygnacji nie przyjął. Nie było jednak z Pawła żadnego pożytku dla śledztwa. Wczorajszy dzień spędził na beczynnym przesiadywaniu za biurkiem, unikając wzroku Zuzanny, co nie było trudne, bo ta traktowała go jak powietrze.

– Jest Bogdan. – Chmielny od piętnastu minut siedział w oknie i obserwował parking. – Idę po Sobczyka.

Parę minut później siedzieli już w komplecie. Danka przyniosła Kuleszy kawę i kilka kanapek.

– Jak już napisałem w mailu – powiedział, gdy przełknął ostatni kęs kanapki – w śledztwie pojawił się nowy wątek. W kamienicy, w której mieszkał zaginiony pedofil, którego zniknięcie sprawdzałem, świadek

rozpoznał naszego poszukiwanego. Z oględzin mieszkania jasno wynika, że zaginiony opuścił je nagle. Nie był to na pewno zaplanowany wyjazd ani nawet pospieszna ucieczka. Świadczą o tym rzeczy pozostawione w mieszkaniu. Dodatkowo sąsiadka widziała, jak zaginiony wsiada do samochodu oznakowanego napisami zakładu gazowniczego. Kierowcą był nasz poszukiwany. W gazowni oczywiście nic nie wiedzą o wizycie w tej kamienicy. W mieszkaniu, w przedpokoju i w łazience, ktoś dokładnie wytarł wszystkie ślady butów. Reasumując, nasz figurant przebrał się za pracownika gazowni, okleił odpowiednio auto, poszedł do mieszkania zaginionego i przekonał jakoś stukilogramowego bandziora, żeby wsiadł do jego samochodu, a potem go uprowadził. Wrócił następnego dnia do mieszkania i wytarł ślady swoich butów, które były jedynym tropem łączącym go ze sprawą. Obcych odcisków palców nie było nigdzie. Albo niczego nie dotknął, albo działał w rękawiczkach. Najciekawsze, że podobnie wyczyszczone było mieszkanie drugiego zaginionego pedofila w Ustrzykach, które sprawdził Grzegorz.

– W Ustrzykach około sześć tygodni temu zaginął groźny pedofil recydywista. – Chmielny wstał i rozdał wszystkim ksero ze zdjęciem i danymi zaginionego Macieja Adamka. – Niestety tam nie było świadków zniknięcia. Mieszkanie było jednak wyczyszczone dokładnie w ten sam sposób. Stąd pewność, że sprawca zniknięcia Adamka to ten sam człowiek co w Gliwicach, czyli nasz poszukiwany.

– Obaj pedofile zostali prawdopodobnie wywiezieni w nieznanym kierunku, wbrew swej woli, przez obcą im osobę. – Kulesza odstawił kubek po kawie. – Zniknęli bez śladu. Mieszkali w oddalonych od siebie o czterysta kilometrów miastach, prawdopodobnie nigdy w życiu się nie spotkali; odsiadywali wyroki w różnym czasie, w różnych więzieniach.

Jedyne, co ich łączyło, to rodzaj przestępstwa, za które zostali skazani: zabójstwo nieletnich na tle seksualnym.

– I to, że obaj znajdują się w Rejestrze Sprawców Przestępstw na Tle Seksualnym... – Zamilkli, a Zuzanna odwróciła laptopa w ich stronę. Na ekranie były zdjęcia obu zaginionych pedofili. – Można tu też znaleźć miejsce ich aktualnego pobytu.

– Czyli mamy pomocnika... – Chmielny przyglądał się zdjęciom na ekranie laptopa. – Facet wyrywa chwasty.

– Ale co to, do kurwy nędzy, ma wspólnego z naszym dzieciakiem? – Komendant z trudem nadażał za ich analizą. – On też jest w tym rejestrze?

Zapadła cisza. Porwanie Szymona Gawrońskiego nijak miało się do tej układanki.

– Może go schował, żeby go przed nimi chronić... – powiedział Paweł, a wszyscy spojrzeli na niego.

Sudoł niepewnym wzrokiem popatrzył na Zuzannę. Pokiwała głową.

31

Ksiądz Piotr pakował swoje rzeczy do dużej sportowej torby. Miał na sobie dzinsy, flanelową koszulę i trampki. Zamknął opróżnioną z ubrań szafę; została w niej tylko sutanna. Cała powaga i autorytet kapłana zniknęły za drzwiami starego dębowego mebla. W pokoju stał zwyczajny chłopak. Sprawdził półki komody, czy nic na pewno nie zostało. Odsunął szufladę w szafce przy łóżku. Leżała tam ładowarka do telefonu, Pismo Święte i różaniec, który dostał na komunię. Różaniec towarzyszył mu przez większość jego życia, zawsze dawał mu siłę. Miał go ze sobą na pierwszej pielgrzymce, na maturze i podczas świąceń kapłańskich. I na pogrzebie matki. Wyjął ładowarkę i zamknął szufladę. Przypomniawszy sobie, że telefon zabrała policja. Zrzucił torbę na ramię i wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Dzień był słoneczny i ciepły. Na ławce przed zakrystią proboszcz wygrzewał stare kości. Piotr zatrzymał się na chwilę obok niego z oficjalną miną. Nie podał mu ręki.

– Do widzenia! – Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę bramy kościoła.

– Zaczekaj! – Proboszcz przesunął się na brzeg ławki. – Usiądź przed drogą.

Chłopak wahał się chwilę, unikając wzroku starego. W końcu podszedł do ławki, zrzucił ciężką torbę z ramienia i usiadł obok niego, patrząc przed siebie. Nie był ciekawy, co ma mu do powiedzenia, zrobił to raczej odruchowo, przez grzeczność. Nie miał wprowadzić proboszczowi nic do zarzucenia, bo jako jego szef zawsze był w porządku. Kiedy Piotra

aresztowała policja, a całe miasto żądało jego skalpu, stanął w jego obronie. W kurii powtarzał, że to nieporozumienie, że młody duchowny nie zrobił nic złego. Nawet ogłosił z ambony, że jedna z niedzielnych mszy świętych będzie odprawiona w intencji rychłego oczyszczenia z zarzutów księdza Piotra; poprowadził ją w prawie pustym kościele. Osobiście zamalował napis „PEDOFIL” na świątynnym murze. Chcieli go wyręczyć starsi ministranci, ale uparł się, że zrobi to sam, bez niczyjej pomocy. Kiedy przechodzili ludzie, odwracał się, zastygał z pędzlem i patrzył im w oczy, jakby szukał zaczepki.

Proboszcz wyciągnął zza pazuchy piersiówkę, odkręcił i pociągnął spory łyk.

– Jeszcze księdza proboszcza ktoś zobaczy – Piotr i spojrzał w stronę kościoła.

– Najwyżej coś na płocie napiszą. Żeby tylko „żul”, a nie „moczymorda” – odparł spokojnie starszy duchowny i podał nalewkę byłemu wikaremu – bo nie wiem, czy mi farby na zamalowanie starczy.

Napięcie trwało chwilę, w końcu uśmiechnęli się obaj i chłopak wziął piersiówkę. Zamyślił się. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz miał alkohol w ustach. Oczywiście oprócz mszalnego wina. Chyba dwa lata temu, w ostatnie wakacje przed święczeniami.

– Wiem, że jest ci ciężko – stary ksiądz wyrwał go z zadumy. – Chociaż pewnie nie jestem w stanie pojąć, jak bardzo. Obwiniasz Boga o to, co się stało. Masz do tego prawo po tym, co przeszedłeś. Ale to nie Jezus cię zdradził, to ludzie cię zdradzili... On wystawił cię na próbę i przeszedłeś ją pięknie, nie złamałeś tajemnicy spowiedzi, nie zawiodłeś go.

– Nie przeszedłem – odpowiedział smutno i pociągnął duży łyk mocnej wiśniowej nalewki. Skrzywił się i oddał proboszczowi piersiówkę. – W każdej chwili, tam w celi, byłem gotowy złamać tę tajemnicę. Gdyby dali

mi możliwość, powiedziałbym wszystko, żeby tylko mnie stamtąd zabrali. Tam nie było Boga, jego przykazań, krzyża. Tam był tylko strach.

– Nie zdradziłeś! – Stary miał łzy w oczach. – To najważniejsze. Nieważne, co myślałeś, to tylko gdybanie. Najważniejsze, że możesz być dalej księdzem, służyć Bogu, ludziom, bo nie sprzeniewierzyłeś się świętej zasadzie.

– Jak?! Jak mogę być dalej księdzem po tym wszystkim, co tam robiłem? – Piotr wstał gwałtownie z ławki. – Jak mogę spowiadać ludzi? Jak mogę podnosić hostię do ust?!

– To nie ty robiłeś! – Proboszcz prawie fizycznie czuł jego ból. – To tobie zrobili. Jak Chrystusowi!

– Robiłem, co mi kazali... – Łzy popłynęły po policzkach młodego mężczyzny. – Wszystko. Nie walczyłem, nie byłem nawet bierny. Staralem się robić to jak najlepiej, żeby byli zadowoleni i mnie nie bili. Bałem się. Bóg mi nie pomógł... Nie było go w celi. W godzinie próby okazałem się małym tchórzem, bez zasad i wartości. Straciłem tam wiarę.

– Nie obwiniaj się, bo nie ma w tym twojej winy – powiedział spokojnie starszy ksiądz i złapał go za rękę. – Zapamiętaj sobie na zawsze, że złe uczynki nie kalają ofiar, ale sprawców. Odnajdziesz Jezusa. Łaskę wiary jest trudno zyskać, ale i trudno stracić.

– Pójdę już – rzucił Piotr i szybko otarł oczy mankietem, jakby wstydził się łez. – Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

– Z Bogiem – odpowiedział proboszcz i puścił jego rękę. – Powiem ci tylko, że nikogo na twoje miejsce nie przyjmę. Będzie czekało na ciebie. Będę się codziennie modlił dwa razy. Za siebie i za ciebie. Nie zostawię cię samego. No, a teraz idź już, skoro musisz, idź...

Ksenia siedziała naga na krześle, z zaciśniętymi udami, i patrzyła na niego ze strachem w oczach. Oddychała przez nos, szybko i nieregularnie. Z zaklejonych taśmą ust wydobywały się ciche jęki. Zwróciło jego uwagę, że jeszcze wczoraj tak chętnie rozkładała nogi, a dziś stara się ukryć waginę, zaciskając uda jak święta męczennica z obrazu włoskiego malarza. Waginę, tak w myślach nazywał jej intymne narządy. Nie było dla niego nic podniecającego w tej związanej nagiej kobiecie zdanej na jego łaskę.

Staął tuż przed nią. Położył palec na ustach i odczekał chwilę, aż ucichła. Powoli odklejał taśmę, obserwując, jak deformuje się na moment jej twarz. Najpierw prawy policzek, potem górna warga, dolna i lewa część twarzy. Spojrzał jej w oczy, odwrócił się i usiadł na fotelu.

– Była taka święta męczennica, Agata Sycylijska. Nie będę opowiadał ci szczegółowo jej historii, bo mi się nie chce. W skrócie, najpierw za karę umieszczono ją w domu publicznym i zmuszono do nierządu, potem obcięto piersi, a na koniec rzucono na rozżarzone węgle, żeby umarła. – Brzmiał jak znudzony nauczyciel, który czeka na dzwonek kończący lekcję bardziej niż jego uczniowie. – Nie staram się być oryginalny, więc zrobię ci to samo. Oczywiście oprócz tej pierwszej części, bo dla takiej kurwy jak ty pobyt w burdelu to byłaby przyjemność, a nie kara. Ale piłą utnę ci piersi, a żelazko zastąpi węgle.

Zaczęła cicho szlochać. Tłuste włosy przyklejały się do jej mokrej od potu i łez twarzy. Ostatnie dwa dni spędziła w ciemnym pomieszczeniu, oglądając film z torturami wcześniejszych ofiar. Szybko pozbawiło ją to złudzeń, że ta sytuacja to rodzaj miłosnej gry, zaaranżowanej przez

bogatego, perwersyjnego kochanka. Długimi godzinami patrzyła w ekran telewizora, głośno płacząc, doprowadzona na skraj załamania nerwowego.

– Nie rób mi krzywdy – wydukała. Szarpnął nią bezgłośny szloch. – Proszę... wypuść mnie... błagam...

– Ciiii... – Zamknął oczy i przyłożył palec do ust. – Zapewniam cię, że nie ma sensu się wysilać. Nie powiesz mi nic, czego w tym pokoju nie słyszałem. Z próśb, które te ściany słyszały, można by ułożyć najbardziej bolesną z bolesnych litanii, ale mnie to zupełnie nie rusza. Wręcz przeciwnie.

– Za co mi to robisz? – Włosy wchodziły jej do ust.

– Pośród wielu wad masz jedną zaletę: umiesz słuchać. Ta cecha jest bardzo rzadka i przez ludzi niedoceniana. Wszyscy usiłują mówić jak najwięcej, chcą pokazać swoją elokwencję, ale zupełnie nie ma komu słuchać. Ty umiesz słuchać, więc ci odpowiem. Robię ci to, ponieważ na to zasłużyłaś. Bo robiłaś bardzo złe rzeczy dzieciom. Gwałciłaś i mordowałaś, a za to należy się kara.

– To nie ja, to mój narzeczony – uchwyciła się kłamstwa jak brzytwy. – On mnie tak samo zmuszał jak te dziewczynki, bałam się go.

– Nie kłam, zwłaszcza w godzinie śmierci. – Wstał i oderwał kawałek taśmy z rolki leżącej na stole. – Rozczarowałaś mnie.

Stanął przed nią, przyłożył taśmę do lewej strony jej ust.

– Mam dziecko! – Popatrzyła na niego błagalnie. – Nie zabijaj mnie... mam małe dziecko.

Cofnął rękę zaskoczony.

– Łżesz, suko. – Przyglądał się jej bacznie. – Obserwowałem cię i twój dom, nie było tam żadnego dziecka. W gazetach też nic o nim nie było, znowu kłamiesz.

– Mam córeczkę, ma dziesięć lat – mówiła szybko, cały czas patrząc mu w oczy. – Jest niepełnosprawna, opiekuje się nią moja siostra. Mieszkają w Opolu. Możesz to sprawdzić. Ulica Dąbrowskiej dwadzieścia dziewięć przez piętnaście.

Miał mętlik w głowie. To niemożliwe. Czy mógł to przeoczyć? Nie, ona kłamie... Jest sprytna, chce się ratować. Gra na zwłokę. Zakleił jej usta i wyszedł bez słowa.

Zuzanna właśnie wróciła z prokuratury. Na spotkaniu przekazała dokumenty potrzebne do oczyszczenia księdza Piotra Ostrowskiego z zarzutów współdziałania w uprowadzeniu Szymona Gawrońskiego. Głównym argumentem był raport specjalistów z Komendy Głównej. Wynikało z niego, że pierwsze strony pedofilskie pojawiły się w historii przeglądarki komputera parafialnego prawie dwa lata temu. Ksiądz Piotr był jeszcze wtedy w seminarium. Zaczął posługę w sandomierskiej parafii dziewięć miesięcy później, czyli nie mógł ich przeglądać. Po wnikliwej analizie informatyków okazało się, że treści pedofilskie zostały umieszczone w przeglądarce przy pomocy zaawansowanego wirusa. To podważyło pozostałe poszlaki, takie jak guma do żucia z DNA poszukiwanego czy włosy na ubraniu kapłana. Stało się jasne, że z jakiegoś powodu ksiądz został wrobiony w sprawę zaginięcia chłopca.

Na spotkaniu w prokuraturze byli też przedstawiciel kurii i adwokat księdza Ostrowskiego. Zażądali oczyszczenia duchownego z zarzutów, publicznych przeprosin i zadośćuczynienia finansowego na rzecz kurii za szarganie dobrego imienia Kościoła katolickiego. Nie interesował ich zupełnie los młodego duchownego. Zuzanna była przybita ich chciwością i hipokryzją. Dużo mówili o cierpieniu księdza Piotra, używając wielkich słów, takich jak „męka”, „krzywda”, „piekło na ziemi”. Na końcu, wznosząc oczy do nieba i załamując ręce, zażądali w imieniu kurii okrągłej sumki, proponując w zamian zamiecenie sprawy pod dywan.

Prokurator szybko ostudził ich zapędy, kładąc na stole przed nimi teczkę z aktami jakiejś sprawy. Zuzanna nie wiedziała, o co chodzi. Widocznie

jednak sprawa była kościelnym prawnikom znana, bo wymienili między sobą spojrzenia i dalsza rozmowa potoczyła się już w duchu przyjaźni i wzajemnego wybaczenia. Oczywiście każdy ma prawo do pomyłki... policjanci zostali wprowadzeni w błąd... Postanowiono dla dobra sprawy zapomnieć o wszystkim. Na koniec zabrali z biurka tajemniczą teczkę z aktami i wyszli.

Całą drogę powrotną na komendę Zuzanna myślała o księdzu. Miała ogromną dziecięcą potrzebę wynagrodzenia mu jego krzywdy. Obiecała sobie, że nie zostawi tej sprawy w ten sposób i doprowadzi do publicznego oczyszczenia dobrego imienia Piotra Ostrowskiego. Ale to musiało poczekać. Teraz trzeba odnaleźć chłopca.

Weszła do pokoju, gdzie siedzieli pozostali policjanci z zespołu dochodzeniowego.

Sudoł podniósł się na jej widok. Zrelacjonowała im przebieg spotkania w prokuraturze, ograniczając się do suchych faktów. Bez żadnych emocjonalnych wstawek. Chwilę trwała męcząca cisza.

– Co się stało, to się nie odstanie – Kulesza przerwał milczenie. – Popełniliśmy błąd. Nie czas się biczować, trzeba dobrać się temu cwaniakowi do dupy. To jego wina, to on wrobił księdza. A my daliśmy się zrobić w chuja.

Podszedł do tablicy, zdarł ostatnią zapisaną kartkę i odrzucił ją ze złością na bok. Czarnym markerem na świeżym arkuszu napisał drukowanymi literami „ON”.

– Ustalmy, co o nim wiemy. Nie przejmujemy się porządkiem czy chronologią wydarzeń. Później to poukładamy. – Zamyślił się na chwilę, po czym zaczął ciągnąć: – Nasz poszukiwany to mężczyzna około trzydziestu lat, szczupły, jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Sądząc po tym, że często przed porwaniem spotykał się z Szymonem Gawrońskim

i tu wybrał księdza, mieszka na terenie Tarnobrzega, Sandomierza lub okolic. – Kulesza hasłowo wypisywał informacje na tablicy.

– Jest specem w dziedzinie informatyki. Prawdopodobnie studiował ten kierunek, bo takiej specjalistycznej wiedzy, jaką wykorzystał, żeby zaimplementować tego wirusa, nie zdobywa się w Internecie – dodała Zuzanna, zebrała włosy i spięła je gumką. – Ma pieniądze, stać go na samochód, podróżowanie i życie bez stałej pracy. Raczej trudno pogodzić obserwację ofiar i porwania z codziennymi obowiązkami w biurze.

– Uprowadził chłopca, wcześniej przez kilka tygodni zdobywając jego zaufanie. Gdyby chciał go po prostu porwać, mógł to zrobić już przy ich pierwszym spotkaniu, w mniejszym stopniu narażając się na rozpoznanie – powiedział Chmielny i sięgnął do ramoneski po paczkę papierosów. Wyjął jednego, otworzył okno i usiadł na parapecie.

– Z relacji taksówkarza wynika, że chłopiec bardzo lubił czy nawet kochał poszukiwanego – Zuzanna myślała głośno. – Takiej więzi nie buduje się bez zaangażowania emocjonalnego dorosłego, dziecko wyczuwa to instynktownie. Cokolwiek robił, dzieciak nie czuł się krzywdzony. Tego typu relacje nie towarzyszą zachowaniom pedofilskim. Wykorzystywane dzieci unikają swojego oprawcy...

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie przetrzymuje chłopca na siłę? – Paweł podążał jej tokiem rozumowania. – Że porwał go z innego powodu?

– Myślę, że jest coś w tym, co powiedziałaś ostatnio... – Po raz pierwszy od kilku dni zwróciła się bezpośrednio do niego. – On tego chłopca chroni, opiekuje się nim. Jest między nimi mocna więź, uczucie.

– Równolegle ze sprawą porwania chłopca pojawiły się przypadki zaginięcia dwóch groźnych pedofili... – Kulesza cały czas notował ich uwagi. – Obie sprawy na bank są ze sobą powiązane.

– Pedofile zostali uprowadzeni wbrew swej woli, na co wskazuje maskarada z gazownią – dodał Chmielny, pstryknął niedopałkiem i przymknął okno. – Porwał drugiego, co świadczy, że pierwszy pewnie nie żyje. A to, że zabił pierwszego, wskazuje, że drugi też pewnie jest już trupem.

– Żeby zabić człowieka, trzeba mieć konkretny powód... – Psychologiczne kwalifikacje skłaniały Zuzannę do głębszej analizy. – Obserwacje ofiar, przygotowania, porwanie i wreszcie morderstwa. To wszystko wymaga olbrzymiej motywacji. Taka determinacja nie bierze się z obejrzenia programu w telewizji. Albo jest niezrównoważony psychicznie, albo to musiało go osobiście dotknąć.

– Czyli bardzo prawdopodobne, że jest ofiarą pedofila. – Paweł wstał i zrobił kilka kroków po pokoju. – Ale którego? Balcerzyka? Czy Adamka?

– Żadnego z nich, a jednocześnie wszystkich. Pierwszy zaginął Adamek, tak? Drugi Balcerzyk. – Kulesza napisał pod sobą oba nazwiska, pogrubiając pierwsze litery. – To początek listy. On się mści na wszystkich.

Pod nazwiskami napisał dużą literę C. Spojrzał na Zuzannę. Nie musiał nic mówić, już otwierała stronę rejestru pedofili.

– Kto jest następny w kolejce? – W pokoju można było wyczuć rosnącą ekscytację. Szukali seryjnego zabójcy. – Jaki jest największy skurwiel w rejestrze na literę C?

– Cabasiński, nie przebywa na wolności; Cabak, nie przebywa na wolności; Cacyk, przebywa, ale Gdańsk, za daleko... – Aspirant Nowacka przesuwiała myszką, patrząc w ekran laptopa. – Cadres, powiat częstochowski... Skazany za wielokrotny gwałt na nieletnich i podwójne zabójstwo... A nie, skazana... to kobieta. Ksenia.

– Pamiętam tę sprawę. – Paweł nachylił się nad komputerem, żeby zobaczyć zdjęcie. Poczł zapach Zuzanny. Przyglądał się zdjęciu przez

dłuższą chwilę.

34

Piotr przyjechał do wiejskiego sklepiku na swoim starym składaku. Nic się tu nie zmieniło od czasów jego dzieciństwa. Nad wejściem odrapanego GS-owskiego budynku wisiał ten sam szyld, w zakratowanych oknach powkładane były wyblakłe reklamy lodów ze zdjęciami Dody. Za sklepem trzech lokalnych pijaczków raczyło się winem. Dawniej patrzył na nich z przyganą, dziś wydali mu się na swój sposób sympatyczni. Kucali z kolanami pod brodą, jak małe dzieci w piaskownicy. Rozpoznali go i jeden machnął ręką.

– Szczęść Boże! – krzyknął i posłał Piotrowi szczery szczerbaty uśmiech, mrużąc oczy pod słońce.

– Dzień dobry, panie Bednarz. – Młodzieniec zreflektował się, zanim odruchowo wpadł w duszpasterski ton, i powstrzymał się przed zapytaniem o zdrowie matki.

Próbował postawić rower na rozklekotanej stopce, ale zapadała się w piachu. Oparł więc składaka o sklep obok innych, otarł ręką spocone czoło i wszedł do środka.

Wewnątrz poczuł zaskakujący chłód. Czyli jednak coś się zmieniło, klimatyzacja pracowała pełną parą. Chwilę trwało, zanim przyzwyczał wzrok do panującego tu półmroku, na zewnątrz dzień był wyjątkowo pogodny. Na krześle w kącie sklepu siedziała gruba kobieta w berecie na głowie, z oranżadą w dłoni. Obok niej stały dwie torby wypełnione zakupami. W głębi drobny staruszek, chwiejąc się w tył i w przód, grzebał po kieszeniach, szukając drobnych na wino. Sklepowa oparła okazały biust

na ladzie, mieszała rozpuszczalną kawę „trzy w jednym” w duraleksowym kubku.

– Gienek, weź te ręce z kieszeni, bo ci chuj pazury poobgryza! – skomentowała sytuację, po czym wyjęła łyżeczkę z kubka i oblizała.

– Dzień dobry, pani Alu! – Piotr rozejrzał się po półkach. – Jest mielona woseba?

– A dzień dobry, jest. – Odwróciła się i zdjęła paczkę z półki. – Tę babcia pije. Co jeszcze będzie?

Dokończył zakupy i wyszedł ze sklepu. Powiesił siatkę na kierownicy roweru i prawie duszkiem wypił małą wodę mineralną.

Przed budynkiem zatrzymała się stara honda civic. Wsiadło z niej dwóch chłopców, a zza kierownicy dziewczyna. Zobaczyli go i podeszli się przywitać.

– Hej! – Dziewczyna przytuliła go po koleżeńsku. – Mama mi mówiła, że przyjechałeś.

– Cześć, Basia! – Odwzajemnił uścisk, choć trochę niezgrabnie. – Jestem od wczoraj, ale musiałem się rozpakować.

– Piotrunia! – Jeden z chłopców podał mu rękę na przywitanie. – Gdzieżeś ty był, jak cię nie było?

– No elo! – Drugi, potężnej postury, podszedł i też przybił mu piątkę. – Jak to gdzie? W pierdłu! Jak tam było we więźniu? – Zaśmiał się głupkowato.

– Kajtek... – Basia przewróciła oczami. – Jak ty coś pierdolniesz... Idźcie lepiej po te zakupy.

Chłopcy weszli do sklepu. Odwróciła się do Piotra.

– Sorki za tego głąba... – Wyglądała dziewczęco w letniej bawełnianej bluzce na ramiączkach. Krótkie dzinsowe spodenki podkreślały długość jej zgrabnych nóg.

– Nieważne... – Z trudem utrzymywał wzrok na wysokości jej twarzy. – Miło cię widzieć.

– Ja też się cieszę. – Uśmiechnęła się. – Słuchaj, na długo przyjechałeś? Może się jakoś spotkamy w dawnym składzie? Ognisko jakieś... Jak za dawnych czasów. Co ty na to? W lesie, na starym miejscu. Zdzwonimy się?

– Super. – Nie mógł od niej oderwać oczu; jej czarne włosy błyszcząły w słońcu. – Tylko że ja nie mam telefonu.

– To umówmy się od razu. Jutro o siódmej? Przyjedziemy po ciebie! – Kiedy kiwnął twierdząco głową, znów się uśmiechnęła. – No to do jutra! I koniecznie weź gitarę.

Zrobiła kilka kroków tyłem, odwróciła się i weszła do sklepu. Na łopatkę miała tatuaż, obrazek z książki – kolorową postać Małego Księcia z powiewającym na wietrze szalikiem, lecące ptaki unosiły go na sznurkach. To była jej ulubiona książka z dzieciństwa, często ją razem oglądali. Pamiętał, że bardzo nie lubiła Róży, kiedyś wyrwała kartkę z jej ilustracją, po czym położyła na stogu siana i podpaliła.

Spotkanie i wspomnienia wprawiły go w dobry nastrój. Tego właśnie było mu potrzeba. Pierwszy raz od wielu dni poczuł się dobrze.

Wsiadł na rower i poprawił reklamówkę na kierownicy. Trudno mu było utrzymać równowagę, ruszając, zwłaszcza że łańcuch w rowerze był zbyt długi. Za plecami usłyszał niski dźwięk nadjeżdżającego motocykla. Odruchowo spojrzął w tamtym kierunku. Motocykl skręcał w stronę sklepu, lecz nagle kierowca zahamował, gwałtownym manewrem wrócił na drogę i mocno dodając gazu, odjechał. Piotr patrzył za nim chwilę, ale nie miał pojęcia, kto to mógł być. Czarna szyba kasku zasłaniała twarz kierowcy.

35

Pierwszy raz nie miał planu. Na razie chciał się tylko dowiedzieć, czy córka Kseni naprawdę istnieje. Wydrukował jakąś ankietę z Internetu dotyczącą potrzeb dzieci niepełnosprawnych. Miała być pretekstem do rozmowy z opiekującą się dzieckiem siostrą. O ile oczywiście mała istnieje.

W nocy po rozmowie z Ksenią nie mógł zasnąć. I jeszcze to spotkanie z księdzem pod sklepem. Zauważył go w ostatniej chwili. O tym pomyśli później, jak wróci.

Zaplanował wyjazd na ósmą rano następnego dnia, po śniadaniu. Zmęczyło go jednak przewracanie się z boku na bok i wyjechał po piątej nad ranem. W krótkim liście napisał Szymkowi, że jedzie do pracy i będzie wieczorem. Mały był bardzo samodzielny jak na siedmiolatka. Nigdy nie protestował, kiedy musiał zostać sam, nawet na noc. Nie mazał się, nie robił scen. Potrafił zadbać o siebie i znaleźć sobie zajęcie. Nadrabiali czas rozłąki, kiedy wracał. Spędzali wtedy razem całe dni. Poświęcał chłopcu kompletną uwagę, grali w gry, kopali piłkę, a wieczorami oglądali razem telewizję. Zawsze to, co interesowało chłopca. W liście obiecał mu, że gdy wróci, dokończą kleić latawiec.

Nawigacja w komputerze pokazała prawie czterysta kilometrów do Opola. Przez chwilę miał ochotę pojechać motocyklem, ale zrezygnował. Inspektor ZUS-u w skórzanej kurtce i z kaskiem raczej nie wzbudziłby zaufania siostry Kseni. Poza tym nad ranem było jednak zimno, a na motocyklu temperatura odczuwalna jest o dziesięć stopni niższa niż rzeczywistość. Jechał więc dziewięćdziesiąt na godzinę prawym pasem swoim dostawczakiem, popijając kupioną na stacji kawę.

Ciągle wracała natrętna myśl: co zrobi, jeżeli historia o córce okaże się prawdziwa? Czy wtedy będzie potrafił zabić tę kobietę? Bardzo chciał, żeby to był blef, mógłby wówczas spokojnie ją zamęczyć. Ale zabić matkę? „Matka” to słowo dla każdej sieroty wyjątkowe. Tak jak tylko chory człowiek umie docenić zdrowie, tak tylko sierota naprawdę czuje, co znaczy matka. To słowo miało dla niego ogromny ładunek emocjonalny. Najgłębsze wspomnienie z dzieciństwa, jakie potrafił wydobyć z dna świadomości, to płacz i niewypowiedziana tęsknota za mamą. Długo trwało, zanim rozum przyjął do wiadomości, że jego rozpacz mu jej nie przywróci. Rodzice zginęli razem w wypadku, ale ojciec zupełnie zatarł się w jego pamięci. Za to wspomnienie matki towarzyszyło mu przez cały okres dzieciństwa i potęgowało uczucie samotności.

To był bardzo trudny czas w jego życiu. Najpierw płacze i ataki hysterii, potem nocne moczenie się. Ciągłe awantury z innymi dziećmi, wyśmiewającymi się z niego. Popadał w swego rodzaju letargi i kiwał się jednostajnie, w sposób charakterystyczny dla choroby sieroczej. Etykieta trudnego dziecka zniechęcała rodziny zainteresowane adopcją. Coraz bardziej zamykał się więc w sobie. Aż do dnia, kiedy w bidulu pojawili się pan Krzysztof z panią Adelą i zainteresowali się właśnie nim. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Wygłupiał się i stroił miny, aż lekko zażenowany wychowawca musiał go strofować. Pani Adela szeptała coś na ucho męża, ale pan Krzysztof śmiał się i machał ręką. Nie pogniewał się nawet wtedy, kiedy opluł małą Anię, gdy chciała dać pani Adeli zerwany na trawniku kwiatek.

Po pewnym czasie uzyskali status rodziny zaprzyjaźnionej i mogli zabrać go z sierocińca na weekend. Pierwsza wizyta w ich domu w Sandomierzu była spełnieniem marzeń. Spacer po starym mieście, naleśniki, lody, kino i wygłupy. Na straganie z pamiątkami pozwolili mu wybrać zabawkę.

Zdecydował się na małą pozytywkę, której mechanizm wygrywał dźwięczną melodyjkę. Pan Krzysztof pochwalił go za wybór. Też lubił się nią bawić. Ten mały przedmiot miał w sobie coś hipnotyzującego, trudno było przestać kręcić drobną korbką.

Kiedy odwieźli go do sierocińca, pan Krzysztof obiecał, że zabiorą go znów za tydzień. Pani Adela uśmiechnęła się i odwróciła wzrok. Czuł, że coś jest nie tak. Nie mógł spać, dwa razy zmoczył łóżko. Bał się, że się ktoś wygada.

W kolejną sobotę czekał z niepokojem, ledwo zjadł coś ze śniadania. Usiadł na ławce na dziedzińcu, tak żeby widzieć bramę i drogę. W kieszeni miał pozytywkę, z którą nie rozstawał się przez cały tydzień. Zobaczył ich auto z daleka i o mało nie eksplodował z radości. Pan Krzysztof dotrzymał słowa. Przyjechał co prawda sam, bo żona źle się czuła, ale zapewniał dyrektora, że to nic poważnego i chłopiec będzie miał dobrą opiekę. Nieobecność pani Adeli nawet go ucieszyła. Nie lubił jej i czuł, że ona też za nim nie przepada.

Całą drogę do Sandomierza śpiewali razem głupie piosenki. Pan Krzysztof nauczył go jednej nowej, pełnej brzydkich wyrazów. Śpiewali je ciszej, chichocząc, a mężczyzna czochrął jego czuprynę i szczypał policzek. Dzień spędzili we dwóch, dobrze się bawiąc. Pani Adela kaszlała i miała katar, więc mieli przenocować w domku kolegi pana Krzysztofa. Męski wieczór, jak kowboje. Wszystko już było przygotowane, czekały na nich pieczone kielbaski i niedostępna w domu dziecka coca-cola. Zjadł kilka kawałków i popił całą szklanką napoju. Po paru minutach zakręciło mu się w głowie i zrobił się okropnie senny.

Obudził się, kiedy było już ciemno. Nagi, zziębnięty i obolały. Leżał na posłaniu, w kącie zielonego pokoju paliła się stojąca lampa. Pod drzwiami sączyło się światło z sąsiedniego pomieszczenia. Słyszał było męskie

głosy, muzykę, szuranie krzeseł i brzęk szkła. Chciało mu się siku, ale nie widział nigdzie swojego ubrania. Owinął się jakimś kocem, nacisnął klamkę i wsunął głowę w uchylone drzwi. Oślepiło go światło. Po chwili jego wzrok przyzwyczyił się na tyle, że mógł rozpoznać postacie – w pokoju było kilku mężczyzn. Siedzieli przy stole, pili wódkę. Ich twarze ginęły w kłębach papierosowego dymu, na których załamywało się światło wiszącego nad stołem żyrandola z jelenich rogów.

– Kurwa mać! – Jeden z nich szybko odwrócił twarz. – Który idiota nie zamknął drzwi?!

36

Śledztwo nabrało tempa. Wyglądało na to, że wreszcie przejęli inicjatywę. Zgodnie z przewidywaniami Ksenia Cadres zniknęła. Początkowo wydawało się jednak, że to fałszywy trop. Miejscowa komenda potwierdziła, że zgodnie z zaleceniem sądu trzy dni temu pani Cadres zgłosiła się kontrolnie w wyznaczonym przez sąd terminie na posterunku w Częstochowie. Kulesza nie odpuścił jednak i na jego polecenie miejscowy policjant odwiedził jej dom. Co prawda nie zniknęła nagle, ale matka potwierdziła, że wyjechała z dnia na dzień, nie mówiąc dokąd. Miała już wrócić, a tymczasem nie ma jej i nie odbiera telefonu. Bez względu na okoliczności Ksenia zaginęła i to nie mógł być przypadek. Ostatecznie potwierdziła się słuszność ich teorii o serii uprowadzeń.

Mieli pełne ręce roboty. Kulesza pojechał do Częstochowy i zabrał się za sprawdzanie szczegółów z życia Kseni Cadres od czasu wyjścia z więzienia. Badał listę połączeń telefonicznych i miejsca logowań karty SIM do sieci komórkowej. W ciągu ostatniego tygodnia było mnóstwo połączeń, praktycznie z jednym tylko numerem. Pierwsze analizy wykazały, że to numer karty przedpłaconej, kupionej w Częstochowie na nazwisko jakiegoś miejscowego żula. Przesłuchał go. Pomimo dwóch promili w wydychanym powietrzu, a może właśnie dzięki nim, odpowiadał rzeczowo i precyzyjnie. Potwierdził, że mężczyzna z portretu pamięciowego dał mu „pięć dych” za kupienie w kiosku karty do telefonu. Analitycy musieli poczekać na nakaz prokuratorski, aby zabrać się za uzyskanie treści SMS-ów z obu numerów.

W międzyczasie Kulesza odwiedził wieś, w której mieszkała Ksenia. Rozmawiał z matką i rozpytywał sąsiadów. Większość z nich uważała, że

pewnie uciekła ze swoim dawnym kochankiem. Jakaś sąsiadka widziała, jak wsiadała na przystanku do eleganckiego białego samochodu. Komisarz upewnił się, że ten „elegancki samochód” to nie biały dostawczak, który wcześniej robił za auto z gazowni. Wnuczek kobiety był jednak dużo bardziej precyzyjny. Było to białe trzydrzwiowe BMW na krakowskich numerach, dość rzadki model. Policjant zlecił więc funkcjonariuszom z tarnobrzeskiej komendy sprawdzenie, ile takich samochodów jest zarejestrowanych w Krakowie i kim są ich właściciele. Dowiedział się też od sąsiadki, że Ksenia przygotowała się do wyjazdu. Stała na przystanku „wyfiokowana jak zdzira” i miała „całą dupę na wierzchu”.

Na komendzie w Tarnobrzegu też panowało poruszenie. Oprócz członków zespołu w pokoju Pawła pracowało jeszcze trzech przydzielonych im do pomocy policjantów. Zuzanna ściągnęła listy absolwentów wydziałów informatyki wszystkich uczelni od Warszawy na południe. Założyła, że poszukiwanego coś łączy z rejonem Tarnobrzega. Studenci stąd raczej nie studiowali w Gdańsku, Poznaniu czy Szczecinie. Wbrew obawom okazało się, że kończących ten trudny kierunek nie było aż tak wielu. W sumie z dziewięciu uczelni za okres ostatnich dziesięciu lat Zuzanna dostała około dziewięciu tysięcy nazwisk. Mniej więcej jedną trzecią stanowiły dziewczyny. Do sprawdzenia pozostało około sześciu tysięcy. Przekazała listę do analizy informatykom z komendy stołecznej. Portret pamięciowy i odpowiednie algorytmy statystyczne powinny zawęzić tę grupę do kilkuset osób. Reszta to żmudna policyjna robota. Nie czekając na wyniki, sama postarała się o zgodę od administratorów Facebooka na wysyłanie korespondencji seryjnej. Za pośrednictwem komunikatora i specjalnego programu rozesłała do wszystkich absolwentów z listy wiadomość z prośbą policji o pomoc w odnalezieniu osoby z załączonego portretu pamięciowego.

Komisarz Chmielny koordynował monitorowanie trzech pedofili z rejestru, wytypowanych na kolejne potencjalne ofiary. Kryminalni z lokalnych jednostek prowadzili obserwację ich domów. Grzegorz zadzwonił na podane w policyjnych notatkach numery i w rozmowach z obserwowanymi ustalił, że nie zniknęli i nic nadzwyczajnego nie wydarzyło się ostatnio w ich życiu. No może poza informacją z Jasła, gdzie figurant skarżył się, że pod jego domem trzech policjantów cały dzień gra w karty w oznakowanym radiowozie.

– Kurwa, Czesiu, jak w kabarecie, w makao sobie grają! – Chmielny wrzeszczał na komendanta z Jasła. – Weź ich tam zjeb porządnie, tak jak umiesz. Bo jak mi akcję spierdolą, to przyjadę i sam przyprowadzę tego pedofila, żeby ich w dupy wyruchał. I będzie kakao, i po kakale.

Paweł spędził ostatnie dwa dni w punkcie miejskiego monitoringu. Zebrał nagrania z kamer głównych skrzyżowań i stacji paliw w Tarnobrzegu. W następnej kolejności chciał zająć się Sandomierzem. Razem z przydzielonymi policjantami przeglądali zapisy w przyspieszonym tempie, na trzech komputerach naraz. Miał nadzieję namierzyć na nagraniach poszukiwany biały samochód dostawczy, nakreślić kierunki, w jakich się poruszał, i sprawdzając kolejne kamery monitoringu, wywnioskować, gdzie szukać podejrzanego. Żałował, że skupieni na aresztowaniu księdza Piotra nie sprawdzili nagrań z kamer z okolic kościoła z dnia aresztowania. Poszukiwany musiał tam wtedy być, choćby po to, żeby podrzucić gumę do żucia z DNA Szymona. Dziś już relacje z tamtego dnia były nadpisane następnymi nagraniami i stracili je bezpowrotnie. Znalezienie właściciela poszukiwanego auta w systemie rejestracji pojazdów okazało się niewykonalne. Białe dostawcze auta są bardzo popularne. W rejestrze były ich dziesiątki tysięcy, wiele w leasingu, zarejestrowanych w dużych miastach lub na firmę. Został więc rozesłany

komunikat po całym kraju, by wszystkie patrole drogówki zwróciły szczególną uwagę na białe auta dostawcze.

Ogólne poruszenie panujące na komendzie udzieliło się też Dance. Opuściła swoje bezpieczne gniazdko w sekretariacie i wyruszyła do pokoju Pawła na pierwszą linię frontu. Czujnie obserwowała, kiedy na jakimś biurku pojawiał się pusty kubek.

– Kawy, panie Grzesiu? – Pojawiała się nie wiadomo skąd.

– O, chętnie, pani Danusiu, poproszę rozpusz...

– Rozpuszczalną z dwóch łyżeczek, z mlekiem, bez cukru – recytowała i uśmiechała się triumfalnie.

Komendant kierował całą akcją, siedząc przed swoim komputerem. Co jakiś czas z jego gabinetu roznosiło się po całym piętrze soczyste „kurwa mać!”. Wówczas każdy, natychmiast i ze zdwojoną energią, brał się za wykonywanie przydzielonego mu zadania.

– No, jak to możliwe... – Sobczyk cały czerwony na twarzy patrzył w ekran swojego komputera. – Żeby pod rząd spadły cztery takie same klocki, co nigdzie nie pasują!

Piotr siedział na drewnianej ławce przed domem. Oparł o nią starą gitarę, a obok leżała reklamówka z ziemniakami. Dochodziła siódma.

Ojciec nie wrócił jeszcze z sadu. Zawsze ciężko pracował. Latem harował w polu, a zimą w lesie. Nigdy nie miał z tego powodu pretensji i nie oczekiwał od nikogo pomocy. Kiedy matka żyła, niepisany obowiązkami Piotra była opieka nad nią. Odkąd pamięta, zawsze chorowała. Całymi dniami leżała w łóżku. Zdarzało się, że miała lepszy dzień. Wtedy przesuwiała się do ściany, uśmiechała i wołała syna. Kładł się koło niej, a ona czytała mu „Quo Vadis”. Potem ubierała się i gotowała obiad. Bywały jednak dni, kiedy godzinami patrzyła w okno, od czasu do czasu wycierając dłonią łzy. Siadał wtedy w jej pokoju przy dużym, okrągłym stole i w ciszy odrabiał lekcje. Kiedy spała, a były takie dni, że przesyiała całe, bawił się z dziećmi z sąsiedztwa: Basią i jej braćmi. Był wtedy normalnym, wesołym chłopcem. Na stoliku obok łóżka mamy stał krzyżyk, a na nim wisiał różaniec. Lubił się z nią modlić, dawało jej to ukojenie i on to czuł. Ojciec do pokoju matki nigdy nie wchodził. Wczesnie rano robił sobie kanapki z białym serem albo jajkiem, zabierał termos z inką i zniknął na cały dzień w polu. Wracał wieczorem, mył się w zimnej wodzie przy studni i spoglądał w okna jej pokoju. Sprawdzał, czy matka coś ugotowała. Jeśli zasłony były zasunięte, wiedział, że tego dnia nie była w kuchni. Wówczas zabierał syna i szli razem do drewnianej chałupy stojącej tuż obok ich domu. Mieszkała w niej jego matka, ukochana babcia Stefania. Tam czekały na nich prawdziwe przysmaki: młode ziemniaki z koperkiem, kwaśne mleko albo ulubione pierogi z serem i zasmażką, ale na

słodko. Przynosili kolację mamie, lecz nie chciała nic jeść, wypijała tylko szklankę herbaty z cytryną i cukrem.

Mama zmarła, kiedy był w liceum, w drugiej klasie. Nie było go tego dnia w domu, mieszkał w internacie. Nigdy nie dowiedział się, na co była chora. Czasami miał wrażenie, że wymodliła sobie tę śmierć. Po prostu nic jej nie cieszyło na tym świecie. Na pogrzebie było sporo osób, jak to na wsi. Zwłaszcza gdy umiera osoba młoda. Nikt jednak nie płakał. Smutne zakończenie smutnej historii.

Dzięki mamie i babci zawsze był blisko Boga. Od małego co niedziela służył do mszy, rozumiał to, co czytał w kościele. Był wyjątkowo wrażliwy i miał dobre oceny z polskiego. Nikogo więc nie zdziwiło, kiedy w liceum na lekcji wychowawczej powiedział, że chce pójść do seminarium. Jedynie Basia stwierdziła, że jest pierdolnięty.

Podniósł głowę na dźwięk silnika samochodu; zza zakrętu wyjechało znajome auto. Wstał z ławki, wziął gitarę, ziemniaki i wyszedł na drogę. Szyby w samochodzie były opuszczone, nie miał klimatyzacji. Z daleka słyhać było jakiś hip-hopowy polski kawałek. Honda zatrzymała się, za kierownicą siedział Kajtek Czerwiński, młodszy z braci Basi.

– Siema, Piotrunia! – Starszy, Jacek, wystawił przez okno głowę w bejsbolówce. – Wbijaj z drugiej strony.

Piotr obszedł auto dookoła, przybijając po drodze przez okno piątkę z Basią. Włożył gitarę, ziemniaki i wszedł do środka.

– Jak za starych dobrych czasów... – Kajtek ruszył z piskiem opon. – Ekipa w komplecie.

Jak za starych dobrych czasów... Piotr zawsze czuł się w ich towarzystwie swobodnie. Zнали się od dziecka, mieszkali kilka domów od siebie. Każde wakacje spędzali razem. Wspólne spływy rzeką na dętce od traktora dziadka Czerwińskich czy budowa tajnych szałasów w lesie.

Beztraskie zabawy pozwalały mu oderwać się od gęstej jak smoła atmosfery w jego rodzinie. Tutaj w ciągu pięciu minut Basia mówiła więcej słów niż w jego domu można było usłyszeć przez tydzień.

W seminarium miesiąc wakacji klerycy musieli spędzać na posłudze w jakiejś parafii. Pozostały czas mogli wykorzystać według uznania, nikt ich nie kontrolował. Wtedy znów był częścią ich paczki. Zabawy się jednak zmieniły. Byli już dorośli, a raczej tylko pełnoletni, więc ich rozrywki były inne. Nie pił za dużo i trzymał się z daleka od dziewczyn. Coś tam zawsze nabroił, ale nigdy na tyle poważnie, żeby wyrzuty sumienia gnębiły go dłużej niż dzień. Bez przesady i skandali. Razem z kacem alkoholowym mijał też ten moralny. Po spowiedzi na początku roku szkolnego mógł bez przeszkód wrócić do zajęć w seminarium. Aż do następnych wakacji.

Po święceniach zniknął z ich życia zupełnie, wszystko się zmieniło. Był już księdzem, odpowiedzialnym i przekonany, że Bóg powierzył mu misję. Poprowadził co prawda na zaproszenie miejscowego proboszcza rekolekcje w swojej dawnej parafii, ale to był przyjazd służbowy i nawet ich nie zobaczył. W kościele zresztą też nie.

Cieszył się tą chwilą wolności. Jechali we czwórkę i chociaż tak długo się nie widzieli, nie rozmawiali. Nie musieli. Słuchali muzyki i gapili się przez okna samochodu, przekazując sobie skręta z kiepskim ziołem. Zbliżali się na stare miejsce, gdzie zawsze palili ogniska. Jego uwagę przykuł na chwilę kolorowy latawiec szybujący nad lasem.

– W starym domu Rewery ktoś mieszka? – spytał Piotr i oddał skręta Kajtkowi. – Latawca ktoś puszcza.

– No, jakieś letniki wynajęły z rok temu. – Kajtek zaciągnął się. – Kurde, Baśka, całego blanta uśminkowałaś! Po chuj ty się do lasu malujesz?

– Daj to, marudo... – Zmieszała się lekko, wepchnęła tytoń z marihuaną do środka i oderwała końcówkę bletki. – Jakiś młody facet z synkiem tam

mieszka. Ma zajebiste moto.

– Ja pauzuję na razie... – Piotr wziął skręta od Basi i od razu podał go Jackowi. – Miejscowi?

– Nie, obcy. Nie wiadomo skąd. Prawie nie ruszają się z domu, chyba chory ten dzieciak czy coś – wyjaśniła Basia i wyciągnęła wedlowskie ptasie mleczko. – Patrz, Kajtek, co mam.

– O, kurwa! Dawaj, opierdolimy!

– Nie teraz! – Schowała z powrotem. – To na gastrofazę.

Przejechali koło drogi dojazdowej do domu, nad którym fruwał latawiec. Piotrowi mignęło w głębi na podwórku białe dostawcze auto. Serce zabiło mu szybciej. Niemożliwe, przywidziało mu się. To tylko jego wyobraźnia. Wziął głęboki oddech i uspokoił tętno. Nieprędko uwolni się od wspomnień.

– Basia... – Nachylił się do przodu i wsunął głowę między siedzenia. – Daj jednak jeszcze macha.

Odwróciła się, zamknęła oczy i pocałowała go w usta, wdmuchując chmurę dymu. Piotrowi zakręciło się w głowie. W jednej sekundzie zapomniał o latawcu i aucie na podwórku.

Wrócił z Opolą z totalnym mętlikiem w głowie. Widział córkę Kseni, rozmawiał też ze starszą siostrą kobiety, opiekującą się dziewczynką. Mała miała zespół Downa. Była pogodna i bardzo bezpośrednia. W czasie „przeprowadzania ankiety” i rozmowy z ciotką ciągle zaczepiała go, ciągnąc za rękaw. Była wyjątkowo podekscytowana wizytą; rzadko miewały gości. Przynosiła zabawki i rysunki. Ciotka pokazała mu dokumentację medyczną. Dziewczynka miała wrodzoną wadę serca, częstą u dzieci z Downem.

– Lekarka powiedziała, że Oliwka powinna iść na operację – mówiła, kładąc przed nim kolejne dokumenty, przede wszystkim wyniki badań. – Serce ma chore. Ale to trzeba mieć grosza. Do specjalisty prywatnie pojechać... To są ostatnie wyniki. Napije się pan herbaty?

– Poproszę, jeśli to nie kłopot. – Chciał być miły.

Wziął do ręki dokumentację badań, była tam opisana wada serca dziewczynki: przerost prawej komory i zwężenie odpływu. Zalecenie leczenia chirurgicznego – niewykonanie zabiegu może spowodować nieodwracalne zmiany i uniemożliwić przeprowadzenie operacji na dalszym etapie leczenia. Tak brzmiało ostatnie zdanie diagnozy.

– Proszę się nie martwić – zawołał w stronę kuchni. – ZUS nie wstrzyma wypłat świadczenia dla pani.

– Dla mnie? – spytała zaskoczona i postawiła przed nim talerzyk z ciastem. Pozbierała ze stołu papiery, włożyła je do sfatygowanej teczki, wiązanej sznurkiem. – Wszystko z ZUS-u siostra bierze. Na nią przychodzi. Przyjechała z pół roku temu, zabrała badania, co były wcześniej, i

pojechała. Nawet z małą nie wyszła na spacer. Mówiła, że się spieszy na autobus, ale ja wiem, że się jej wstydzi. W następnym miesiącu już renta i zasiłek nie przyszły. Jak się poszłam zapytać, to mi w ZUS-ie powiedzieli, że matka sprawuje opiekę i jej świadczenia przysługują. Ja mu pokazałam Oliwkę i się pytam, jak matka sprawuje opiekę, skoro jest w Częstochowie, a dziecko ze mną mieszka? To mi powiedział, że urząd interesują dokumenty, a nie dziecko.

– Z czego się w takim razie utrzymujecie? – Mała przyniosła kolejny rysunek, a on wziął go do ręki. – Ładny, to konik? – W odpowiedzi dziewczynka pokiwała energicznie głową.

– Szyję dla ludzi. Na dole, w piwnicy, mam mały zakład krawiecki, bo tu bym się nie pomieściła. – Rozejrzała się po małym mieszkanku. – Przeróbki... Coś trzeba skrócić albo zwęzić, to przychodzą ludzie z sąsiednich bloków. Jakoś wiążemy koniec z końcem.

– Niech mi pani napisze swój numer konta bankowego – powiedział i wyrwał kartkę z ankiety, po czym podsunął jej długopis. – Postaram się porozmawiać w biurze i coś zaradzić.

– Lepiej nie... – Czajnik zaczął gwizdać, więc wstała. – Jak zabiorą Kseni pieniądze, to jeszcze tu przyjedzie i będzie awantura. Dzwoniła do mnie po tym, jak byłam w ZUS-ie, i groziła, że zabierze Oliwkę i odda do domu dziecka. To jest zły człowiek. Nie powinnam tak mówić, bo to moja siostra, ale tak już jest. W kogo się ona wrodziła, to nie wiem. Jak się zezłości, to lepiej uciekać. Matkę też pobiła, jak nie chciała jej pieniędzy dać. Od małego taka była; jak coś było nie po jej myśli, to nawet z nożem ganiała. Niech już lepiej tak zostanie, jak jest. Oliwka będzie ze mną, jakoś sobie poradzimy.

– A leczenie Oliwii? Zrobimy przelew, siostra o niczym się nie dowie. Potrzebne wam pieniądze.

– No pewnie, że potrzebne. – Postawiła przed nim herbatę i usiadła na krześle. – Ja konto mogę napisać, ale... niech się pan nie obrazi, wygląda pan na dobrego człowieka... ja już nie wierzę. Ani w lekarzy, ani w ZUS. W Boga jeszcze tylko, że po mojej śmierci się Oliwką zaopiekuje.

– Niech mi pani zaufa. – Trudno mu było opanować emocje. Chciał im pomóc. Najchętniej powiedziałby jej, że nie musi się już siostry obawiać, bo ta długo nie pożyje. Zabijając Ksenię, nie tylko odpłaci jej za wcześniejsze grzechy, ale i nie pozwoli jej dalej krzywdzić ludzi. Dostał odpowiedź na swoje pytanie. – Na mnie już czas.

W przedpokoju podeszła do niego Oliwka. Kucnął, żeby się z nią pożegnać.

– Co tam chowasz? – Uśmiechnął się do niej. – Pokaż.

– To moja mama. – Dziewczynka trzymała wymięte od częstego oglądania zdjęcie. Przedstawiało młodą, roześmianą Ksenię. – Jest bardzo piękna. Powiedz mojej mamie, że ją bardzo Kocham i tęsknię.

Wracał w paskudnym nastroju. Poznał jeszcze jedną smutną opowieść, chociaż wcale tego nie chciał. Jakby mało ich znał. Na chwilę zatrzymał się na czerwonym świetle. Wyobraził sobie, że przekazał Kseni słowa córki. Opowiedział jej o małej. Jaką jest, pomimo swojej choroby, a może właśnie dlatego, wrażliwą i wspaniałą osobą. I wtedy w tej nieczulej kobiecie coś się zmieniło. Obiecała, że się poprawi, zaopiekuje córeczką i podziękuję siostrze za jej poświęcenie i trud. A on ją wypuścił i zapłacił za operację małej. Ale to się, kurwa, nie wydarzy, bo Ksenia jest wredną, zepsutą suką bez sumienia, której nic nie uratuje. Wiedział jednak, że nie będzie łatwo, bo tym razem, zabijając, nie będzie miał przed oczami ciał ofiar, ale małą dziewczynkę ze zdjęciem mamy.

Usłyszał klakson za sobą; światło zmieniło się na zielone. Otarł twarz, włączył pierwszy bieg i ruszył.

Komisarz Nowacka siedziała sama w pokoju. Analizowała portret psychologiczny poszukiwanego, nadesłany mailem z komendy stołecznej. Było w nim wiele niewiadomych. Opierał się na szczątkowych danych zebranych w dotychczasowym śledztwie. Materiały wysłane do psychologów przedstawiały wszystkie informacje, jakie udało im się zgromadzić, ale konkretów było tam naprawdę mało. Sposób zachowania poszukiwanego opisany przez taksówkarza, stosunek do Szymona Gawrońskiego i wzajemne relacje z chłopcem. Cała sytuacja z księdzem Ostrowskim i skierowanie śledztwa w ślepy zaułek. Zaplanowane i szczegółowo wykonane porwania kolejnych zaginionych. Akta były dość pokaźne, ale brakowało kluczowych informacji. Co się stało z uprowadzonymi? Czy żyją? Jeżeli nie, to jak zostali zamordowani? Gdzie są ich ciała?

Z charakterystyki wynikało, że poszukiwany kieruje się silnym poczuciem krzywdy. Prawdopodobnie był ofiarą zachowań o charakterze pedofilskim. Nie działa impulsywnie, jest mocno i trwale zmotywowany. Cechuje go analityczny umysł i staranność w działaniu. Inteligentny, ma szeroką wiedzę z wielu dziedzin. Wykształcony w kierunku informatycznym. Jest cierpliwy i konsekwentnie realizuje opracowany plan. I nic nie wskazuje na to, żeby miał przestać.

W zasadzie nie dowiedziała się niczego nowego, ale opis porządkował ich spostrzeżenia i tworzył spójną całość. Wyłaniał się z niego obraz trudnego przeciwnika, który nie popełnia błędów. A bez tego nie uda im się go złapać.

Rzesłanie portretu pamieciowego przez Facebooka nie przyniosło oczekiwanego efektu. Inna sprawa, że wizerunek nie był szczególnie udany. Taksówkarz widział mężczyznę tylko z daleka lub w lusterku wstecznym samochodu. Rysownik nie miał więc łatwego zadania, a rezultat był dość mizerny.

Zuzanna usłyszała szybkie kroki na korytarzu i drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie. Do pokoju wpadł Paweł. Spocony, szybko oddychał.

– Mamy go. – Zabrał krzesło od stołu i przysunął do jej biurka. Włożył pendrive'a do stojącego na nim laptopa. – Opłacało się tam ślęczyć.

Aspirant Nowacka milczała, cała jej uwaga skupiona była na ekranie komputera. Chwilę trwało, zanim system znalazł dysk zewnętrzny. W końcu pojawił się, a w nim zapisane dwa pliki wideo. Sudoł kliknął drugi z nich.

– To nagranie z głównego skrzyżowania w Tarnobrzegu z wczoraj. – Plik się otworzył. – Patrz tu.

Pokazał palcem trzeci w kolejności samochód stojący na czerwonym świetle. Był to biały dostawczak. Po chwili światło zmieniło się na zielone i dwa pierwsze samochody ruszyły prawie natychmiast. Białe auto stało. Nagranie nie miało dźwięku, ale można się było domyślić, że klaksony samochodów zaalarmowały kierowcę. Ruszył gwałtownie, skręcił w prawo i zjechał ze skrzyżowania.

Zuzanna spojrzała na Pawła, czekając na wyjaśnienia. Wiedziała, że na nagraniu musi być coś więcej. Sudoł cofnął do momentu, kiedy dwa pierwsze auta ruszyły, zatrzymał i powiększył obraz. Kierowca dostawczaka zakrywał twarz dłońmi, jakby płakał. Kobieta przybliżyła się do ekranu i przymrużyła oczy.

– Nie widać twarzy. Skąd wiesz, że to on? – spytała.

– Jego zachowanie zwróciło moją uwagę i zacząłem szukać dalej, po rejestracji. – Zmienił nagranie. Na kolejnym filmie samochody poruszały się płynnie, przejeżdżając na zielonym świetle. W pewnym momencie Sudoł zatrzymał odtwarzanie i cofnął kilka klatek. – To na tym samym skrzyżowaniu, tego samego dnia, ale wcześniej rano. To samo auto, ten sam numer rejestracyjny. Jedzie w przeciwną stronę, czyli na tamtym nagraniu wracał.

Powiększył obraz i cały ekran laptopa wypełniła twarz kierowcy.

Nowacka wstała, zerwała wydruk portretu pamięciowego ze ściany i przyłożyła obok ekranu. Paweł zwiększył kontrast. Obraz był nadal trochę niewyraźny, ale rysy twarzy na komputerze były łudzaco podobne do tych z portretu pamięciowego ściągniętego ze ściany. Spojrzeli po sobie.

– To on. – Zuzanna uśmiechnęła się. – Sprawdziłeś tablice rejestracyjne?

– Tak, zadzwoniłem do wydziału ruchu drogowego od razu po obejrzeniu nagrania, ale to nie jego auto. Właściciel ma pięćdziesiąt trzy lata, nazywa się Antoni Rewera i mieszka w Lublinie.

– Ukradł go? – Przysunęła komputer w swoją stronę i zrobiła zrzut ekranu.

– Nie, nie zgłoszono kradzieży.

– Poczekaj, roześlę to.

Chwilę trwała cisza. Zuzanna otworzyła Messengera, wycięła z print screena zdjęcie kierowcy ze skrzyżowania. Załączyła do wiadomości dla wszystkich absolwentów, którzy wcześniej dostali portret pamięciowy poszukiwanego. Kliknęła „wyślij” i odwróciła się do Pawła.

– Czyli właściciel będzie wiedział, kto to, skoro dał mu samochód.

– Mam jego adres, możemy tam zaraz pojechać. Do Lublina jedzie się dwie godziny.

– Dobra, jedźmy! – Wyjęła z szuflady kluczyki od auta.

Teraz już im nie ucieknie.

Zrobiła telefonem jeszcze jedno zdjęcie twarzy z komputera i przesłała z krótką wiadomością do Kuleszy i Chmielnego.

Schodzili po schodach, kiedy telefon Zuzanny zasygnalizowały otrzymaną wiadomość. Od Natalia95. Otworzyła aplikację i przeczytała na głos:

– Dzień dobry, chłopak na tym zdjęciu to Adam Górecki.

40

Piotr siedział za stodołą na starej, zepsutej wersalce, w cieniu wielkiej papierówki. Ojciec nie przycinał tej jabłoni od lat. Pięła się swobodnie, a grube konary rozrastały się ku górze i na boki. Każdego roku rodziła owoce dużo wcześniej niż inne drzewa w sadzie, już w lipcu. Pewnie dlatego jabłka z niej tak smakowały. Najbardziej lubił te zerwane z drzewa, jeszcze niedojrzałe, twarde i trochę kwaśne. Teraz owoców zostało już niedużo.

– Hejka! – Basia przeskoczyła nagle oparcie wersalki i usiadła z impetem obok. Przybiegła ścieżką przez sad, prowadzącą między jej domem a podwórkiem Piotra.

– Jezu, chcesz, żebym zawału dostał? – Wytrąciła mu jabłko. Schylił się, żeby poszukać go w trawie.

– Jak tam po wczorajszym? Kaca masz? – Zdmuchnęła wpadającą jej do oczu grzywkę.

Mimo że wczoraj wrócili późno, wyglądała promiennie i świeżo. Miała krótką džinsową spódnicę i białą koszulkę na ramiączkach. Bose, umorusane stopy dodawały jej dziewczęcego uroku.

– Nawet nie... – Podniósł jabłko, ale ubrudziło się w ziemi, więc je wyrzucił. – Tej drugiej flaszki na szczęście już nie piłem.

Weszła na oparcie wersalki, przytrzymując się gałęzi. Przed oczami miał jej długie, smukłe nogi. Stała na palcach i wychyliła się, żeby zerwać duże jabłko. Jej uda nie dotykały się, mięśnie napięły krągłe pośladki. Bluzka przylgnęła do małych piersi. Młode ciało tryskało życiową energią. W tej bezpretensjonalnej, naturalnej pozie mogłaby się znaleźć na okładce każdego magazynu erotycznego na świecie. Usiadła i podała mu jabłko.

– Masz.

– No nie wiem... – Udawał, że się zastanawia. – Jak kiedyś facetowi kobieta dała jabłko, to się źle skończyło.

– Eee... wczoraj cię kusiłam i nic. Wolaleś Kajtka trzymać za rękę.

– Buty mi zarzygał.

– Dobrze mu tak. Sam zeżarł całe ptasie mleczko, powinien sraczki jeszcze dostać.

Śmiali się, wspominając wczorajszy wieczór. Nie obyło się bez tańców przy muzyce z auta. Jacek, dobrze już wstawiony, podjechał samochodem pod samo ognisko, manewrując tyłem przez las. Rano, trzeźwy, nie mógł wyjechać przodem, bo honda nie mieściła się w żaden sposób między drzewami.

– Jak on tam wjechał?! Musiał wrócić naokoło jeziora. – Spojrzała na niego; spoważniał. – Ej, co jest?

Chwilę milczał. Widać było, że bije się z myślami.

– Wczoraj, jak jechaliśmy na ognisko, na podwórku domu Rewery widziałem biały samochód. Taki sam miał porywacz tego chłopca, o którego uprowadzenie mnie oskarżyli – wyznał cicho.

– Pewnie ci się zdawało. – Po raz pierwszy rozmawiali o tamtych wydarzeniach. – Może masz ten zespół szoku pourazowego czy jakoś tak. Za dużo o tym myślisz i wyobraźnia płata ci figle. Musisz zapomnieć o tym wszystkim.

– Ja go spowiadałem... – Spojrzył na nią. – Tego porywacza. Był u mnie i przyznał się do porwania. Ale nie mogłem nic powiedzieć policji, bo zdradziłbym tajemnicę spowiedzi. Rozumiesz? Chciałem, żeby oni wymyślili jakiś sposób, żebym mógł im wyjawić, co wiem. No i wymyślili. Wsadzili mnie do więzienia i skazali na tortury. W celi było strasznie. Nie chcę o tym opowiadać, ale było nie do wytrzymania. Straciłem tam wiarę w

Boga. Już nie jestem księdzem, nie obowiązuje mnie tajemnica sakramentu spowiedzi. Mogę im teraz wszystko opowiedzieć, osiągnęli swój cel. Ale nie powiem. Niczego się ode mnie nie dowiedzą. Bo wiesz co? Bo to oni są naprawdę źli. Zabrali mi moją wiarę, coś, co było dla mnie najważniejsze i określało mnie jako człowieka. Kim ja teraz, Basia, jestem?

– Nie mów tak. Sam mi kiedyś powiedziałeś, że wiara to coś, na co nie mamy wpływu. Że nie można sobie nakazać wierzyć lub nie. Skoro ty nie masz na to wpływu, tym bardziej inni nie mają. Nie mogą cię jej pozbawić. Może tylko na chwilę straciłeś wiarę? Może musi minąć twój gniew?

– Kurcze, mówisz jak mój proboszcz.

– No widzisz, może powinnam zostać zakonnica? Zajebicie wyglądam w czarnym!

Zaśmiał się, atmosfera zelżała.

– A zniosłabyś celibat?

– No pewnie, i tak mam zamiar zostać starą panną. Faceci to głąby.

Od strony jej domu rozległo się wołanie.

– Muszę wracać, jadę z mamą do miasta. Idź do tego domu Rewery, przekonaj się, że to ktoś inny, bo inaczej będzie cię to męczyć – poradziła na odchodne.

– OK.

Patrzył za nią. Była już na ścieżce, kiedy się odwróciła i rzuciła:

– Ale ty nie jesteś głąb.

Siedział na fotelu przy łóżku Szymka. Nie był sobą w ostatnim czasie. Sprawa córki Kseni zupełnie go rozstroiła. Jego jasny plan działania w ciągu kilku dni rozsypał się jak domek z kart. Przewidział wszystkie techniczne aspekty swoich poczynań, ale okazało się, że nie docenił stopnia skomplikowania ludzkiej natury. Myślał, że jedyne uczucie, do jakiego jest zdolny, to hodowana latami nienawiść. W zasadzie już jego stosunek do małego powinien dać mu do myślenia. Tkwiły w nim pokłady wrażliwości, o których nie miał pojęcia. Chociaż do tej pory nie przeszkadzało mu to w realizacji planu. Do wczoraj z przyjemnością czekał na moment, kiedy mały zaśnie i będzie mógł pójść do letniej kuchni. Zemsta najlepiej smakuje na zimno, więc nigdy się nie spieszył. Czekał, aż chłopiec mocno zaśnie, w tym czasie karmiąc swoją nienawiść myślami o zbrodniach aktualnej ofiary. Tworzył własny swoisty akt oskarżenia.

Dzisiaj było inaczej. Nie miał ochoty tam iść, a świadomość tego jeszcze mocniej go przygnębiała. Wiedział, że Ksenia bardziej niż inni zasługuje na śmierć, ale od wczoraj nic już nie było proste. Gdzieś z tyłu głowy krążyło pytanie, czy jest sposób, żeby ją wypuścić. Żeby z tym skończyć. Zabrać chłopca i wyjechać już teraz. Początkowo miał zamiar zabić tylu zwyrodnialców, ilu się da. Aż go złapie policja. Później pojawił się w jego życiu Szymon i wszystko się zmieniło. Nie od razu, ale jednak.

Pierwszy raz spotkał chłopca kilka miesięcy wcześniej, w wiejskim sklepiku w Durdach, niedaleko sierocińca. Obserwował malca, jak wspinał się na palce, żeby wyrzeć ponad sklepową ladę. Z piłką pod pachą, umorusany jak nieboskie stworzenie. Brakowało mu na pączka, więc

dołożył mu parę groszy. Chłopak ugryzł duży kęs, w skupieniu sprawdził, czy jest w środku marmolada i dopiero wtedy uśmiechnął się do niego szeroko. Wyszli ze sklepu. Ten i wiele innych dni spędzili razem. Ze swoich potłuczonych świateł skleili jeden wspólny i wypełnili go najpierw przyjaźnią, a później miłością.

Od tamtej pory był jak doktor Jekyll i pan Hyde. W ciągu dnia czerpał radość z przebywania z chłopcem, z ich wspólnych zabaw. Trochę jak nadrabianie straconego czasu. Wieczorem wizje z dzieciństwa zmieniały go w potwora. Wspomnienia odwiedzin kolejnych przyjaciół pana Krzysztofa wywoływały wrzenie w jego mózgu i wprowadzały w morderczy, niemal hipnotyczny trans. Cofał się w czasie do chwil spędzonych w zielonym pokoju. Leżał tam goły i zmarznięty, przykryty kocem śmierdzącym wymiocinami i nasieniem. Odurzony jakimiś tabletkami. Wiązali go za nogę do kaloryfera, bo próbował uciec przez okno. Gwałcili pojedynczo i parami. Zabierali go tam wiele razy, więc wszystko mu się mieszało, zlewało w jedną całość, ale pamiętał ich opasłe brzuchy i śmierdzące oddechy. Owłosione uda i spocone łapy. Drapiący zarost na twarzach.

Teraz też o tym myślał. Budziła się w nim żądza zemsty, ale poczuł coś jeszcze. Coś, do czego nie chciał się przyznać nawet przed samym sobą. Czego się wstydził, bał i nie rozumiał. Uczucie, z którego zdawał sobie sprawę, ale nie przyjmował go do wiadomości. Napięcie wywołane seksualnym podnieceniem. Pierwszy raz poczuł to około miesiąca temu. Było to chwilowe uczucie, które szybko minęło. Kilka myśli, które przemknęły przez głowę. Z czasem były częstsze i bardziej intensywne. Łapał się na tym, że nagość Szymka wytrąca go z równowagi i wprowadza w niepokojący stan. Nigdy chłopca nie dotknął w taki sposób, ale zdawał sobie sprawę, że coś złego się z nim dzieje. Czuł, że to narasta. Poczuł to też teraz, silniej niż wcześniej. Z przerażeniem zrozumiał, że ma wzwód.

Był zdruzgotany. Nie wiedział, czy ten stan wywołały wspomnienia gwałtów, czy widok śpiącego chłopca. Czuł paniczny strach. Zrobili z niego potwora! Zarazili go! Te skurwysyny zniszczyły mu nie tylko dzieciństwo, ale całe życie. Wściekłość zawładnęła nim bez reszty. Zerwał się z fotela, nie zważając na to, że może obudzić chłopca.

Wybiegł z domu. Dopadł drzwi letniej kuchni. Chwilę szamotał się z kluczami.

– Skurwysyny... skurwysyny... – powtarzał przez zaciśnięte zęby.

Otworzył pierwsze i drugie drzwi. Zaświecił światło. Ksenia zmrużyła oczy zaskoczona, próbując przyzwyczaić wzrok do światła.

Wpadł do pomieszczenia, porwał ze stołu młotek, podbiegł do niej i uderzył z całej siły w głowę. Potem drugi raz i trzeci. Krew i fragmenty mózgu ochlapały mu całą twarz. Już pierwsze uderzenie było śmiertelne. Zszokowana, nie zdążyła nawet jęknąć.

42

Wrócili z Lublina rozczarowani – nie dowiedzieli się niczego nowego. Antoni Rewera nie miał pojęcia, że jest posiadaczem białego dostawczego volkswagena. Był nie mniej zaskoczony niż policjanci.

– Jak to możliwe? – Chmielny też był szczerze zdziwiony, kiedy słuchał relacji Pawła. – To jak go zarejestrował?

– No właśnie, że nigdy nie rejestrował. Musiał go zarejestrować ktoś inny.

– Jak to ktoś inny? Da się tak?

– Tak. – Zuzanna siedziała na biurku. – Przy zakupie auta Górecki prawdopodobnie podał dane Rewery. Nikt go nie legitymował, bo kupował za gotówkę. Dał kasę, więc nie było co sprawdzać. Potem złożył w wydziale komunikacji fakturę jako Antoni Rewera. Do tego dał kartę pojazdu, stary dowód i zarejestrowali auto. Nawet nie musiał pokazywać dokumentów tożsamości. Zapłacił podatek i jeździ autem na nazwisko Rewery bez jego wiedzy.

– Ja pierdołę, po chuj taki rejestr prowadzić?

– Raczej rzadko funduje się komuś samochód bez jego wiedzy, więc procedury tego nie przewidują.

– Ale to jest jednak dziwne... – Paweł podniósł głowę znad komputera. – W fakturze sprzedaży samochodu jest numer dowodu i PESEL nabywcy. Trzeba podać prawdziwy, bo system wyrzuci błąd. Faktura naszego auta ma wszystkie dane prawidłowe. Skąd on miał te numery, skoro Rewera zarzeka się, że nigdy go nie widział? Z Internetu wyciągnął?

– Spryciarz jest, to może i wyciągnął.

– A sprzedający co mówił?

– Samochód jest z komisju na Śląsku. Sprzedają takich poleasingowych dostawczaków dziesięć w miesiącu. Auto nie było drogie. Pracownik komisju nie miał prawa zapamiętać transakcji sprzed prawie pół roku.

Sudoł zjął kartkę z podajnika drukarki. Był to wydruk mapy okolic Tarnobrzega. Przyczepił do ściany obok innych zapisanych informacji i czerwonym pisakiem zakreślił w miarę regularny okrąg.

– Słuchajcie, kilku policjantów z drogówki prześledziło zapisy kamer, na których nagrał się samochód naszego podejrzanego. W sumie w ciągu ostatniego miesiąca monitoring w Tarnobrzegu zarejestrował go siedem razy, kamery w Sandomierzu – cztery. Sprawdzali nagrania z kolejnych ulic na jego trasie, zgodnie z kierunkiem poruszania się. Skąd przyjeżdżał i w którym kierunku wyjeżdżał z miasta. Z analizy wynika, że mieszka gdzieś w okolicach Gorzyc. Pewnie gdzieś na zadupiu, w jednej z okolicznych wsi.

– Może rozkleić po tych wsiach jego zdjęcie, na przykład w sklepach? Na pewno go ktoś rozpozna – zaproponował Chmielny, otworzył okno i przestawił bliżej stojącą na parapecie puszkę po pepsi, służącą jemu i Kuleszy za popielniczkę.

– Nie, on to może zobaczyć i go spłoszymy. – Nowacka uchyliła jeszcze okno obok swojego biurka. – Za dużo o nim już wiemy, żeby to teraz zepsuć.

– Racja. – Sudoł przyglądał się wydrukowanej mapce. – Teraz mamy nad nim przewagę. Jeśli się zorientuje, jak blisko jesteśmy, to ucieknie, zaszyje się gdzieś na drugim końcu Polski i będziemy od nowa szukać. Znamy jego nazwisko, wiemy, gdzie pracuje, jakim jeździ autem i gdzie mniej więcej mieszka. Jutro dostaniemy szczegółową historię rachunku bankowego,

zestawienie bankomatów, z których korzystał, i płatności kartą. Złapanie go to teraz kwestia najbliższych dni, a może godzin. Nie ma co ryzykować.

– Nie można go po prostu z pracy zawinąć? – Grzegorz walczył z dymem papierosa, który uparcie wpadał do pokoju. – Co on tak w ogóle robi?

– Nie siedzi w biurze. Jego firma zdalnie serwisuje systemy informatyczne na całym świecie. Pracuje o różnych porach, kiedy w Stanach czy w Bangkoku jest noc i tamci mają zamknięte biura. – Zuzanna dostała z komendy stołecznej szczegółowy raport dotyczący korporacji zatrudniającej Adama Góreckiego. – Pytaliśmy, nigdy go nie wzywali do centrali. To byłoby podejrzane; zbyt duże ryzyko, że się zorientuje.

– Musimy być cierpliwi – powtórzył Paweł, a Zuzanna się z nim zgadzała. – Długo czekaliśmy, żeby zdobyć przewagę.

– Swoją drogą nieźle kutafon zarabia, nie? – Chmielny uśmiechnął się kwaśno. – Więcej niż my we trójkę, i to z nadgodzinami. Gówniarz, dwadzieścia osiem lat. Kurwa, i nawet do roboty nie musi chodzić. Odpali browara i dziobie sobie na kompie...

– Tylko że zna kilka języków programowania – skomentowała Zuzanna, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa. Luźna rozmowa absorbowiała ją w niewielkim stopniu.

– Taki szpenio? – włączył się Kulesza. – Ciekawe, czy ma lepszy rekord w tetrisy od naszego komendanta. – Zaśmiali się z Pawłem. Chmielny zgasił papierosa i wrzucił niedopałek do puszki.

– Jego szef się bardzo zmartwił, kiedy dowiedział się, że go szukamy. Podobno jest świetnym pracownikiem. Sumienny, dyspozycyjny i ma dużą wiedzę – nie odpuszczała Nowacka.

– Pracowity to jest na pewno, ciągnie dwa etaty. Drugi jako Batman – odparł Chmielny.

43

Piotr obserwował ich od dobrych piętnastu minut. Wyglądało na to, że miło spędzali razem czas. Grzebali przy motocyklu, mężczyzna przyskał łańcuch jakimś smarem. Mały kuczał obok z otwartą buzią, z rękami na kolanach. Kiedy dorosły dał mu spróbować sił w tym zadaniu, upaśćkał sobie smarem całe buty. Skończyli, poskładali narzędzia. Mężczyzna odpalił motocykl, założył chłopcu na głowę swój, zdecydowanie za duży na malca, kask i podniósł w nim ciemną szybę. Usiadł z przodu, a mały wgramolił się na siedzenie za nim i mocno przywarł do niego całym ciałem. Widać było, że chłopiec obejmował mężczyznę nie tylko z obawy, że spadnie. Przytulał się do niego. Ruszyli wolno, zrobili kilka rundek wokół podwórka. Mały nie posiadał się z radości.

– Na jednym kółku, Adam! – starał się przekrzyknąć silnik motocykla. – Na jednym kółku!

Mężczyzna wcisnął sprzęgło, dodał gazu i przechylił się całym ciałem mocno do tyłu. Motocykl wciąż turlał się powoli do przodu, ale ryk silnika i napór kierowcy na małego pasażera dawały chyba wrażenie, że przód motocykla podnosił się do góry. Chłopiec piszczał i śmiał się wniebogłose. Musiał się mocno trzymać, żeby nie spaść na trawę.

– Jeszcze raz! Na jednym kółku!

Piotr wyszedł z lasu, stanął na skraju podwórka. Mężczyzna zobaczył go prawie w tej samej chwili i wyraz jego rozbawionej twarzy zmienił się w ułamku sekundy. Zaskoczony, zatrzymał gwałtownie motocykl. Mały krzyczał coś, ale on nie zwracał już na niego uwagi. Patrzył w oczy byłego

księdza tak jak przed kilkoma tygodniami na dziedzińcu kościoła w Sandomierzu.

Obaj mieli jednak poczucie, że wiele się zmieniło. To Piotr miał teraz zdecydować, co wydarzy się dalej.

Mężczyzna rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem ukrytych za drzewami policjantów, ale nie zobaczył nikogo. Napięcie na jego twarzy zelżało; pozbierał myśli. Odwrócił się do chłopca i kazał mu zejść z motocykla. Malec marudził, ale kiedy dostrzegł obcego, zsiadł posłusznie, bez dalszych protestów. Mężczyzna oparł maszynę na stopce i podszedł do Piotra.

– Widziałem cię przedwczoraj w sklepie, ale nie spodziewałem się, że tak szybko się spotkamy. Jestem Adam Górecki. – Stali tak chwilę, mierząc się wzrokiem. – Wejdiesz? Szymon się boi, jak tak stoimy.

Przez chwilę wahał się, czy podać swoje prawdziwe nazwisko, ale chciał przełamać lody. Doszedł do wniosku, że jeżeli ksiądz chciałby go wydać w ręce policji, już by to zrobił. Czytał gdzieś, że w każdym kłamstwie musi być część prawdy, aby było wiarygodne. A jemu bardzo zależało, żeby jego wymyślane w tej chwili kłamstwo takie było. Poza tym to nazwisko już wkrótce będzie tylko przeszłością. Piotr wciąż trwał w bezruchu, nie odzywając się ani słowem.

– Chodź, wszystko ci wyjaśnię. – Górecki odwrócił się i ruszył w kierunku domu.

Po drodze podszedł do chłopca, wziął go za rękę i razem weszli na ganek. Zatrzymał się i odwrócił. Były kapłan bez słowa ruszył za nimi.

Weszli do domu, do kuchni. Szymon patrzył z niepokojem na nieznanego. Mały każdym porem skóry czuł wiszące w powietrzu napięcie.

– Szymek, idź do pokoju, chcę z kolegą pogadać.

Chłopiec wyszedł bez marudzenia. Usłyszeli, jak cicho zamknął za sobą drzwi. Piotr stał, choć mężczyzna podsunął mu krzesło.

– Czy ty wiesz, co mi zrobiłeś? – odezwał się wreszcie drżącym głosem.

– Wiem, że przeze mnie dużo wycierpiałeś... – Adam wyjął z szafki dwa kubki i włączył elektryczny czajnik. – Ale sam o to prosiłeś – dodał po dłuższej chwili.

– Ja prosiłem?! Co ty wygadujesz?

– Wiesz, dlaczego to ciebie wybrałem? – Górecki odwrócił się do niego i oparł tyłem o blat kuchennych mebli.

– Nie mam pojęcia. Oświeć mnie.

– Pamiętasz, jak przyjechałeś tu w marcu na rekolekcje? Świeżo upieczony ksiądz... – Piotr milczał. – Byłem tam wtedy, w kościele. Wynajmowałem już ten dom, jeszcze wtedy mieszkalem sam. Nie wiem, co mnie zaprowadziło do kościoła, bo nie chodzę tam nigdy. Ślepy traf czy może Bóg? Jak wolisz. Dużo opowiadałeś w swoich naukach o miłości do bliźniego, poświęceniu dla braci w wierze. Mówiłeś, że twoim największym pragnieniem jest nieść krzyż za innych. Mówiłeś szczerze i dlatego, na twoje nieszczęście, ci uwierzyłem. Pasja w twoim głosie zrobiła na mnie duże wrażenie. Zapamiętałem też tę historię o chorwackim żołnierzu. To ona zainspirowała mnie do działania. Pamiętasz? Zwiadowca znalazł niemowlę. W ostatniej chwili zauważył, że do ubranka był przyczepiony ukryty drut, który miał zdetonować ładunek wybuchowy. On i jego oddział o mały włos nie wylecieli w powietrze razem z dzieckiem. Skurwysyny, poświęcić niemowlę jako przynętę. Żołnierz uratował dziewczynkę i zaopiekował się nią po wojnie. Jego rodzina zginęła w bombardowaniu. Straszna historia, zwłaszcza że prawdziwa. Sprawdziłem w necie i rzeczywiście to się wydarzyło. Ale ja ci mogę opowiedzieć inną, równie straszną historię. Też prawdziwą, choć jej w Internecie nie

znajdziesz. O siedmioletnim chłopcu, który mieszkał w sierocińcu. Pragnął miłości, a dostał zło w najczystszej postaci. Brzmi to patetycznie, ale tak było. Osoba, której zaufał, okazała się wstrętnym stręczycielem. Jego zboczeni kumple więzili chłopca i gwałcili na zmianę całymi godzinami. Był atrakcją ich pijackich orgii. Wykorzystywany w obrzydliwy sposób, bity i faszerowany narkotykami. I tak co tydzień. – Patrzył w podłogę, mięśnie twarzy mu drgały. Spojrzał na Piotra i dodał: – Nie mogłem dopuścić, żeby Szymona spotkało to samo.

Piotr przesunął kubek z nietkniętą herbatą, który przed nim postawił. Siedział na krześle i milczał. Wysłuchał opowieści Adama ze wszystkimi strasznymi szczegółami. Nie czuł już gniewu, jego krzywda zeszła gdzieś na dalszy plan. Nawet było mu z tym dobrze. Po raz pierwszy od tygodni mógł komuś współczuć. Litować się nad kimś innym, a nie nad sobą. Ten naturalny dla duchownego stan przyniósł mu ulgę. Przywrócił wewnętrzną równowagę, jasność umysłu i pozwolił przejąć inicjatywę.

– Jak długo masz zamiar ukrywać się tu z chłopcem? Przecież wiesz, że prędzej czy później policja was znajdzie. Wsadzą cię do więzienia, a mały wróci do sierocińca.

– Tego się najbardziej boję. Nie o siebie. To będzie dla niego prawdziwy cios.

– To zgłoś się i oddaj go teraz. Ty dostaniesz niższy wyrok, a jemu zaoszczędzisz przynajmniej tej całej awantury z aresztowaniem.

– Nie mogę mu tego zrobić – powiedział ściszym głosem, chociaż chłopiec nie mógł go usłyszeć. – Wiesz, jak by się poczuł? Zdradzony i oszukany. Już lepiej niech oni go zabiorą.

Piotr zgodził się z nim w myślach. Lepiej, żeby chłopiec przeżył traumę rozdzielenia ich siłą, niż poczuł się odrzucony przez osobę, którą pokochał.

– Czyli co? Masz zamiar siedzieć tu, ile się da?

– Nie. – Adam upił łyk herbaty. Skrzywił się gwałtownie, była jeszcze gorąca. – Chcę wyjechać i zaopiekować się nim na zawsze.

– Zaopiekować się? Jak ojciec? – Piotr złapał się na tym, że chciał, by mu się udało.

– A czemu nie? – Znów podniósł kubek z gorącą herbatą, ale cofnął rękę od ust i postawił naczynie z powrotem na stole. Był zdenerwowany. – Jest za duży na adopcję. Zresztą nie wiadomo, na kogo by trafił... – Poczł ukłucie gdzieś w zakamarkach swojej świadomości. Kogo oszukuje? Jeszcze jego? Czy już siebie?

– Masz jakiś plan? Gdzie chcesz wyjechać?

– Do jakiegoś dużego miasta. Tam nikt nie zwraca uwagi na innych, będziemy anonimowi. – Ta wizja wyraźnie wprawiła Adama w lepszy nastrój. – Po jakimś czasie dadzą sobie spokój i przestaną szukać.

– No nie wiem. Gdyby tak prosto było się ukryć przed policją, to więzienia byłyby puste.

– Muszę spróbować, zresztą teraz Szymon ma jeszcze ciebie. – Uśmiechnął się. – Jeżeli mi się nie uda, musisz o niego zadbać.

– Co ty gadasz?! Nie wkręcaj mnie w to! Nie jestem twoim współnikiem. Już raz mnie wpakowałeś do więzienia!

– Nie bój się. – Podniósł rękę w uspokajającym geście. – Nic od ciebie nie chcę. Tylko żebyś się nim zainteresował, jeżeli mnie zamkną, a mały znów wyląduje w sierocińcu.

Siedzieli, popijając w ciszy herbatę. Prawie się nie znali, a milczenie w ogóle ich nie krępowało. Mimo całej sytuacji czuli do siebie coś na kształt sympatii. Piotr pomyślał, że w innych okolicznościach mogliby zostać przyjaciółmi.

– Jutro jadę do Warszawy na cały dzień. – Adam wstał i odsunął szufladę w kuchennych meblach. – Weź ten telefon. Jakby mi się coś przydarzyło, postaram się zadzwonić.

Piotr był zaskoczony, wahał się. Nie był pewien, co powinien zrobić. Górecki trzymał przez chwilę komórkę w wyciągniętej ręce, po czym położył ją przed nim na stole.

– Weź na wszelki wypadek, jak mi się coś stanie, to Szymek zostanie tu sam. W razie czego zadzwonię i zawiadomisz dom dziecka albo policję.

Piotr wziął telefon i leżącą obok ładowarkę. Spojrzał na mężczyznę, wstał i wyszedł bez pożegnania.

Szedł ciemnym podwórkiem w stronę drogi do wsi. Telefon zadzwieczał; zatrzymał się i wyjął go z kieszeni. Przeczytał SMS-a: „To mój numer, dzięki!”. Ruszył do domu, próbując poukładać sobie to wszystko w głowie.

Adam przez chwilę obserwował przez okno oddalającą się postać. Zdenerwowany, wyciągnął laptopa i uruchomił go. Tego nie przewidział. Nie przyszło mu w ogóle do głowy, że do jego kryjówki może zakraść się ktoś, kto nie ma przy sobie telefonu komórkowego. Kliknął na ikonę na pulpicie komputera i na ekranie wyświetliła się mapa pokazująca jego lokalizację. Budynek, w którym się znajdował, i najbliższą okolicę. Na mapie widoczne było kilka świecących się na czerwono punktów w domu i jeden migający, oddalający się w stronę głównej drogi. Program informował go o zlokalizowanych w pobliżu aparatów komórkowych. Sprawdził tę samą aplikację w telefonie. Pojawienie się włączonej komórki w kontrolowanym obszarze sygnalizowała przerywanym dźwiękiem. Migający punkt zniknął, kiedy Piotr doszedł do drogi i skręcił w kierunku wsi. Adam odetchnął z ulgą.

– Szymek, chodź na kolację!

45

Najnowsze rewelacje przyszły w ostatnim raporcie z komendy stołecznej. Zuzanna dostała go rano. Jak zwykle była w pracy przed czasem, zanim dotarli inni. Zaraz po siódmej wiadomość pojawiła się w skrzynce mailowej. Informacja z pierwszych stron raportu tak ją zaskoczyła, że z trudem zmusiła się do przeczytania dokumentu do końca w jako takiej koncentracji. Nie powstrzymała się jednak przed telefonem do Pawła, chociaż miał być na komendzie za piętnaście minut.

– Cześć, będziesz zaraz?

– Cześć, no będę. – Był lekko zdziwiony jej telefonem. – A co się dzieje?

– Dostałam życiorys Góreckiego ze stołecznej.

– No i, coś nowego?

– Paweł, on jest sierotą. Mieszkał jako dzieciak w sierocińcu w Durdach.

– Żartujesz... – W telefonie na chwilę zapadła cisza. – Zaraz będę.

Przeczytała raport jeszcze raz. Oprócz sensacyjnej wiadomości o pobycie poszukiwanego w domu dziecka w Durdach były też inne informacje, na które czekali. Kwoty i terminy wypłat gotówki z konta i płatności kartą. Lokalizacje bankomatów, z których Adam Górecki wybierał pieniądze. Porównała pobieżnie lokalizacje i daty z miejscami zamieszkania zaginionych pedofili. Wszystko do siebie pasowało. Formalne potwierdzenie tego, co już wiedzieli. Trzeba będzie zlecić pobranie nagrań monitoringu bankomatów, uda się pewnie uzyskać zdjęcie Góreckiego w lepszej jakości. A może też Szymka Gawrońskiego?

Wydrukowała dokument. Po chwili drugą kopię; bardziej, żeby się czymś zająć niż z rzeczywistej potrzeby. Nie mogła sobie znaleźć miejsca. Jak to

możliwe? Czemu nikt im nie powiedział? Nikt go nie rozpoznał? Czy to była jakaś zмова? W głowie snuła wizję jakiegoś zbiorowego spisku mieszkańców wsi. Powoli zaczęła jednak układać myśli. Z raportu wynikało, że Adam Górecki przebywał w Durdach przez szesnaście miesięcy, kiedy miał sześć–siedem lat. Prawie dwadzieścia lat temu. Pracownikom domu dziecka pokazywali portret pamięciowy. Mieli więc prawo nie dostrzec chłopca w dorosłym mężczyźnie z rysunku. Przecież koledzy ze studiów rozpoznali go dopiero po zobaczeniu zdjęcia, a widzieli go zaledwie trzy lata wcześniej.

Rozmyślenia przerwał jej odgłos otwieranych drzwi. Do pokoju wszedł Paweł, a za nim Kulesza.

– No to niezłe jaja! – Sudoł był podekscytowany. – Jeżeli ktoś to celowo zataił, to dobierzemy się mu do dupy.

– Poczekaj. – Zuzanna miała czas, żeby ochłonąć. – Mieszkał tam szesnaście miesięcy jako mały chłopiec. Raczej mało prawdopodobne, żeby ktoś go rozpoznał po tylu latach z naszego portretu pamięciowego.

– Zwłaszcza że był chujowy. – Kulesza jak zwykle mówił zwięźle, nie owijając w bawełnę.

– Jakoś nie chce mi się wierzyć, że nikt go nie poznał. – Paweł przeczytał stronę z raportu, gdzie była wzmianka o pobycie w domu dziecka w Durdach, i podał wydruk Kuleszy. – Przecież wszyscy tam od tygodni żyją tylko tym porwaniem.

– Pokazaliśmy portret pracownikom i mieszkańcom wsi – przyznała mu rację. – Setkom osób. Statystycznie ktoś powinien go rozpoznać.

Chwilę trwała cisza; czekali, aż Kulesza skończy czytać. Policjanci analizowali całą sytuację w świetle nowych wydarzeń. Czuli, że mają kolejny puzzel, ale wciąż nie mogli rozpoznać, jaki obraz przedstawia układanka.

– Czy były w przeszłości sygnały o pedofilii w tym sierocińcu? – spytała Zuzanna i spojrzała na Pawła.

– Nie, nigdy nie słyszałem nic takiego – odparł i przez minutę szukał odpowiednich informacji w pamięci.

– Ale coś musi być na rzeczy. Nie bez przyczyny porwał chłopca z tego samego domu dziecka i w tym samym wieku – myślała głośno. – Pewnie przypominał mu jego z dzieciństwa, czyli nie powinien go skrzywdzić.

– Nie bądź taka pewna – rzucił Kulesza, gdy tylko skończył czytać. – Nie wiadomo, co pojebowi po głowie chodzi. Różne rzeczy już w życiu widziałem.

– W każdym razie wiemy, dlaczego tu wrócił. Musi mieć to związek z jego pobytem w Durdach. Trzeba pogrzebać w przeszłości, może coś znajdziemy. Im więcej będziemy wiedzieć, tym szybciej go złapiemy – powiedziała z nadzieją w głosie.

– Przenieśli go aż pod Poznań? Dziwne, dzieci umieszcza się blisko wcześniejszego miejsca zamieszkania. – Bogdan przerzucał kartki raportu.

– Dlaczego go przenieśli? I to taki kawał drogi?

– Trzeba to wszystko sprawdzić. Jedziesz z nami do Durd? – spytał Paweł.

Kulesza złożył równo wszystkie kartki raportu i usiadł przy stole. Zaczął czytać od początku.

– Nie, jedźcie... – rzucił, nie odrywając oczu od papierów. – Spróbuję się dodzwonić do tego domu dziecka pod Poznaniem. Sprawdzę, czemu go przenieśli.

– Dobrze – odpowiedziała Zuzanna, po czym włożyła do teczki zdjęcie Góreckiego i kopię raportu. – Zadzwoń, jak się czegoś dowiesz.

Umówili się w hipsterskiej kawiarni na Pradze. Żeby tam dojechać, Adam musiał przebić się przez poranne warszawskie korki, ale motocyklem okazało się to całkiem łatwe. Samochody zjeżdżały na prawą stronę swojego pasa, tworząc swobodny przejazd.

Miejsce spotkania wybrał Gruby. Tak go nazywali na studiach, chociaż nie był otyły. Zawsze lubił pieniądze, markowe ciuchy i drogie knajpy. Mówił więc o sobie „Gruby kotlet”, znaczy taki waźniak z kasą. Trochę złośliwie kumple z roku skrócili to do „Gruby”. Nie brzmiało to już tak szpanersko, ale ksywy się nie wybiera. Im bardziej się z nią walczy, tym bardziej się do człowieka przykleja. O czym Gruby też się przekonał. W sumie i tak lepsze to niż „Kotlet”.

Adam próbował go sobie mocniej przypomnieć; sporo czasu minęło od zakończenia studiów. Zresztą na uczelni rzadko ze sobą rozmawiali. Kilka razy dał mu notatki, co na niewiele się zdało, bo i tak Grubego wyrzucili. Zaczął handlować, jeszcze kiedy był studentem, na drugim roku. Najpierw trawka i haszysz, potem amfetamina i ecstazy, rzadziej LSD. Zwłaszcza w czasie sesji towar dobrze mu schodził. Kilka egzaminów i kilkanaście zaliczeń: fizyka, chemia, informatyka. Na polibudzie ciężko to wszystko zdać, jeżeli nie pracuje się systematycznie przez cały rok. Każdy student to słyszy już na pierwszych wykładach. Nie jest to tajemna wiedza, ale co z tego. Przychodzi sesja i zawsze to samo. Zaczyna się panika. Zwłaszcza na pierwszym roku, kiedy sześćdziesiąt procent idzie do odstrzału. Najpierw kalkulacje, jak się tego wszystkiego nauczyć w tydzień. Kiedy już nie da się dłużej oszukiwać samego siebie, zaczynają się kombinacje, jak to ogarnąć,

żeby nie wylecieć ze studiów. Gdzieś na przełomie tych dwóch etapów wykonuje się telefon do Grubego. Najpopularniejsza była amfetamina, ale skutek raczej średni. Jakiś koleś z akademika nauczył się podobno w jeden wieczór całej książki. Na egzaminie wiedział dokładnie, na której stronie znajduje się odpowiedź na zadane pytanie, lecz nie potrafił jej podać. Ludzki mózg jest zagadką. W każdym razie Gruby znał ludzi z kryminalnego półświatka i mógł mu pomóc.

– Elo, mordo! – Gruby przysiadł się do jego stolika, spóźniony piętnaście minut. – Kopę lat.

– Cześć! – Adam przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć jego imienia. – Dzięki, Rafał, że przyszedłeś.

– Mów do mnie „Gruby”, już mnie to nie wkurwia. – Poprawił okulary przeciwsłoneczne; nie zdjął ich, wchodząc do kawiarni. – Teraz to już znana marka w Wawie.

– OK, mam do ciebie sprawę.

– No ja myślę, że nie przyjechałeś mi wyznać miłości po latach.

– Masz dojścia, tak jak na studiach? – spytał, a gdy podeszła kelnerka, przerwał na chwilę i zamówili dwie kawy. Adam czarną, a Gruby latte z mlekiem kokosowym.

– Chłopaku, czego ci potrzeba? – Uśmiechnął się. – Trawą co prawda już nie handluję, ale mogę ci podkopsać po znajomości z prywatnych zapasów. No chyba, że coś mocniejszego. Zawsze cię lubiłem, bo byłeś spoko. Chociaż nie z mojej bajki. Ale notatki dawałeś i to bez łachy. Nie tak jak te kutasy ze wsi, co, kurwa, żal im dupę ścisnąć, że pierdzieli na wykładach, kiedy inni żyli. Ja pierdolę, jak pomyślę, jak się człowiek tym wszystkim wtedy przejmował. Sesja, egzaminy... kurwa, żart jakiś.

– Nie chodzi o narkotyki. – Kelnerka postawiła na stoliku kawy z gratisowymi ciasteczkami. – Chodzi o lewy paszport. Masz kontakty z

ludźmi, którzy mogą to załatwić?

Gruby wziął ze spodka ciastko, włożył całe do ust i przyglądał mu się uważnie, powoli przeżuwając. Zaskoczyło go pytanie i potrzebował chwili na przeanalizowanie sytuacji. Życie nauczyło go ostrożności.

– Nie znam nikogo takiego – odparł, przełknął ciastko i oparł się na krześle. – A czym ty się teraz właściwie zajmujesz?

– Nie bój się, nie jestem z policji. Na pewno masz dojście do osoby, która może mi pomóc.

Gruby nie wiedział, że Górecki jest poszukiwany. Policja rozesłała zdjęcie tylko absolwentom, a on studiów nie skończył. Adam zastanawiał się, czy to dobrze, czy źle. Z jednej strony wiadomość uwiarygodniłaby go i potwierdziła, że nie jest z policji, z drugiej zwiększało to ryzyko dla fałszerza. W końcu zdecydował się pokazać wiadomość policji z jego zdjęciem.

– Za co cię szukają? – Gruby przeczytał anons i obejrzał załączone zdjęcie. Był szczerze zdziwiony. – Zaparkowałeś na miejscu dla inwalidy?

– Nieważne, muszę wyjechać z kraju.

– Ważne, kurwa. Takie zamówienie wymaga wyjaśnień. Jest różnica, dla kogo taką przysługę się robi. Różne ryzyko. No i różne koszty.

– O pieniądze się nie martw – szepnął Adam i uchylił leżący na stole kask motocyklowy, pod którym leżały pliki stuzłotowych banknotów. – Zapłacę.

– Schowaj to, kurwa! – Gruby rozejrzał się nerwowo. – Człowieku, pojebało cię!? Widzę, że na drugie imię masz „dyskrecja”.

– Koszt lewego paszportu to około sześć tysięcy, tak przeczytałem w Internecie – powiedział Górecki spokojnym głosem. Miał już uwagę Grubego. – Zapłacę dwadzieścia tysięcy, ale za dwa paszporty. Plus prowizja dla ciebie.

– Dwa? Co ty, kurwa, „Szakal” jesteś? – Zaśmiał się.

– Potrzebuję paszport dla siebie i mojego synka. – Adam pokazał mu na telefonie zdjęcie z Szymkiem; obaj byli uśmiechnięci, mały umorusany lodami. – Jego matka nie pozwala mi się z nim widywać. Mści się na mnie, bo za mało kasy dostała przy rozwodzie. Teraz twierdzi, że chłopak nie jest mój i chce mnie całkiem pozbawić praw rodzicielskich.

– A jest twój? Duży... kiedy zdążyłeś go machnąć?

Adam napił się łyk kawy, udawał zakłopotanie. Nie patrzył Grubemu w oczy. Zachowywał się tak, jakby wstydził się tej bardzo osobistej historii i zwierzenia sprawiały mu problem.

– Nie wiem... – Podniósł wzrok, w którym była udawana determinacja. – Ale to nie ma znaczenia, bo ja go kocham i nigdy go nie zostawię, rozumiesz? Szukają mnie, bo go nie odwozłem matce.

Gruby się wahał. Widać było, że nie do końca mu ufa. Jego instynkt samozachowawczy narkotykowego dealera nakazywał mu czujność, zwłaszcza w takich nietypowych sytuacjach. Przesiadł się na krzesło obok Adama, objął go po przyjacielsku i poklepał ręką po klatce piersiowej, jednocześnie przesuwając drugą rękę po jego plecach.

– Nie martw się, będzie git – powiedział.

– Nie mam podsłuchu. Jak chcesz, możemy pójść do toalety.

– Taaa, jeszcze mnie wyruchasz! – Zaśmiał się i wrócił na swoje krzesło.

– Pomogę ci. Nie wiem, ile tam masz w kasku, ale całość będzie kosztowała dwadzieścia pięć klocków. Po znajomości. Wyślij mi zdjęcia i dane, ale nie dzwoń do mnie. Ja się odezwę. Dzisiaj połowa kasy jako zaliczka.

– OK, mogę wybrać numer paszportu i nazwiska?

– Klient nasz pan. Napisz tutaj. – Wyciągnął z kieszeni jakiś stary paragon. – Będziesz jadł to ciastko?

Piotr siedział w swoim pokoju. Czuł niepokój. Od rana bił się z myślami. Dotarło do niego, że znów dał się wmanewrować w poważne kłopoty. Co gorsza, tym razem rzeczywiście złamał prawo, stał się współnikiem porywacza. Policja w każdej chwili może wpaść na ślad poszukiwanego, a właściwie na ich ślad, i zostaną aresztowani. Na samą myśl o powrocie do więzienia nachodziły go mdłości. Co mu strzeliło do głowy, żeby wziąć ten telefon?! Gdyby nie to, pewnie nikt by się nie dowiedział, że ma z tym cokolwiek wspólnego. A tak to dojdą po SMS-ie. Chociaż, nawet gdyby go pytali, tym razem wyprze się tego bez skrupułów, nic mu nie udowodnią. Ale w domku zostały jego odciski palców, a oni mają je w swojej bazie, bo wzięli przy aresztowaniu. Cholera! Co teraz?

Na biurku przed nim leżał telefon komórkowy od Adama. Najprostszym wyjściem będzie zadzwonić na policję i o wszystkim opowiedzieć. Przyjadą, zabiorą chłopca i aresztują jego porywacza. Później spełni jego prośbę, zaopiekuje się małym. Będzie go odwiedzał w sierocińcu, zadba o niego. Dopilnuje, żeby otrzymał wykształcenie, żeby wyrósł na dobrego człowieka. Opowie mu o Adamie. Powie, że go kochał i chciał się nim zaopiekować, jak ojciec. Góreckiemu też zresztą zaoszczędzi cierpień. Dzięki jego informacjom policjanci aresztują go z zaskoczenia, nie robiąc mu krzywdy. A potem trafi do więzienia i wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie.

Co za brednie! Chce ratować swoją skórę i dorabia do tego ideologię. A prawda jest taka, że jest tchórzem. A teraz jeszcze chce zostać zdrajcą. Jak Judasz. Tyle jest warta jego miłość do bliźniego. Przecież teraz, kiedy

poznał historię Adama, miał poczucie, że jego cierpienie w więzieniu nie poszło na marne. Wierzył, że im pomógł. Szymonowi też. Znów czuł się potrzebny, szlachetny. Wróciło powołanie, potrzeba posługi bliźnim i wiara w Boga. Znów chciał być księdzem. Wróci na parafię i podziękuje proboszczowi za wszystko. O ileż jego posługa będzie teraz pełniejsza, bardziej świadoma, kiedy doświadczył tego wszystkiego. Pomoże im, choć to ryzykowne.

Choć nie jest mu łatwo być odważnym po więziennych doświadczeniach. Wspomnienia gwałtów i pobić zalały mu mózg i spłynęły przez zaciśnięte gardło do brzucha, powodując skurcze. Teraz jego strach miał rzeczywisty wymiar, a wspomnienie bólu było fizycznie namacalne. Nie mógł zapanować nad chaosem w głowie.

Zmienne nastroje, od euforycznego, świątobliwego uniesienia do panicznego strachu, targały nim całe przedpołudnie. Gonił myśli przerwało wołanie dochodzące z zewnątrz. Piotr odsunął firankę i wyjrzał na podwórko. Stał tam Kajtek Czerwiński i patrzył w jego okno. Zobaczył go i machnął ręką na znak, żeby zszedł na dół.

– Cześć! – Piotr podał mu po chwili rękę na przywitanie.

– Cześć! – Kajtek ścisnął dłoń kolegi mocniej niż zwykle. – Widziałeś Baśkę?

– No, wczoraj.

– O której?

– Tak koło dziesiątej, przed południem. A co się stało?

– Baśka nie wróciła na noc. Myślałem, że może jest u ciebie...

– Dlaczego miałyby być u mnie?

– Nieważne. Napisała matce wczoraj SMS-a, że będzie nocować u Kaśki Draganowej. Matka kazała jej wracać, ale w końcu uprosiła, że lato, babski wieczór, i została. Jak nie wróciła dzisiaj do dwunastej, to matka

zadzwoiła do niej, żeby ją opierdolić. Ale nie odbierała, to się matka wkurwiła i zadzwoniła do starej Draganowej. I okazało się, że Baśka tam w ogóle nie była.

– To gdzie nocowała? – Piotr poczuł dziwne, nieznanne mu wcześniej ukłucie.

– No właśnie nie wiadomo, bo jeszcze nie wróciła. – Kajtek był przejęty.
– Ale matka jest taka wkurwiona, że lepiej niech nie wraca. Jeszcze ojcu nie powiedziała, nie kapnął się rano i pojechał do roboty.

– Nie wracała wcześniej na noc?

– Nie, pierwszy raz. Czasem gdzieś zabalowały z koleżankami, ale zawsze była, zanim ojciec wstał. Jacek objeździł wszystkie koleżanki i nic, kurwa. Zero. Matka płacze, bo wie, że jak powie ojcu, to jej wpierdol spuści.

– Może jej się coś stało? Dzwoniliście na policję?

– Napisała SMS-a, że rano zadzwoni, ale nie zadzwoniła. Teraz ma wyłączony telefon. Chciałem pojechać na policję, ale Jacek powiedział, że jest pełnoletnia i nic nie zrobią.

– Może z jakimś chłopakiem jest gdzieś? – Piotr uświadomił sobie, że jest zazdrosny. – Chodziła kiedyś z jednym z Sandomierza.

– Nie, już dawno z nim nie chodzi. Ona taka nie jest... – Kajtek był naprawdę przestraszony. – Piotrunia, nie wiem, gdzie jej szukać. Pomożesz?

48

Zuzanna nie zdążyła zapukać; Paweł energicznym ruchem nacisnął klamkę i otworzył drzwi do gabinetu Jakubka. Dyrektor siedział za biurkiem. Zaskoczenie i oburzenie nagłym wtargnięciem policjantów szybko zastąpił strach. Nowacka skrętnie odnotowała te zmiany na jego twarzy. Zawsze zgadzała się ze swoim profesorem psychologii z akademii, że uważnemu obserwatorowi często mowa ciała i emocje przesłuchiwanym są w stanie przekazać dużo więcej informacji niż same zeznania.

– Dzień dobry! – Jakubek wyszedł zza biurka. – Czemu zawdzięczam państwa wizytę?

– Nie taki, kurwa, dobry, a z wdzięcznością też bym się wstrzymał! – warknął Paweł.

Dyrektor nie wiedział, jak zareagować na te obcesowe, żeby nie powiedzieć chamskie, słowa komisarza.

Sudoł od razu wszedł w rolę złego policjanta. Technika stara jak świat, znana wszystkim z filmów kryminalnych. Ale działa, zwłaszcza jeżeli ktoś ma coś na sumieniu. Usiadł bez zaproszenia na krzesło przy biurku.

– Mogę? – spytała Zuzanna, przerywając krępującą ciszę i odsuwając krzesło stojące obok. Odgrywała swoją kwestię dobrego gliny. Rzuciła koło ratunkowe, którego Jakubek od razu się chwycił.

– Proszę bardzo. – Podsunął jej krzesło z wdzięcznością.

Poczekali, aż wróci na swoje miejsce i usiądzie niepewnie na krańcu fotela.

Sudoł teatralnym gestem położył na biurku dyrektora papierową policyjną teczkę z aktami sprawy i obrócił ją w jego stronę. Czarnym

flamastrem było napisane na niej nazwisko poszukiwanego.

– Adam Górecki. – Komisarz oparł się wygodnie i założył nogę na nogę.
– Słucham.

W oczach Jakubka wyraźnie była widoczna panika. Trafiony, zatopiony. Paweł był pewien, że tym razem nic przed nimi nie ukryje. Wyciśnie chuja jak cytrynę.

– Mieszkał tu osiemnaście lat temu – dodała Nowacka i przysunęła swoje krzesło do biurka. – Pamięta go pan?

Dyrektor chwilę na nią patrzył, jakby zastanawiał się, czy może jej zaufać. Podjął w końcu decyzję, poddał się. Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju rezygnacji, ale i ulgi. Odsunął szufladę biurka i położył przed Sudołem, obok policyjnych akt Góreckiego, starą teczkę z dokumentami.

– Zawsze trzymasz papiery dzieci sprzed dwudziestu lat w szufladzie biurka? – Paweł wziął dokumenty i podał Zuzannie, nie spuszczając oczu z Jakubka. Otworzyła teczkę i zaczęła przeglądać zawartość.

– Chłopiec przyjechał do nas w lecie dwa tysiące pierwszego roku. Pamiętam to dobrze, bo to był mój pierwszy rok pracy tutaj – zaczął dyrektor, wpatrując się w swoje splecione dłonie. – Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Zresztą to jest w dokumentach. Wracali z nad morza, z wczasów. Nad ranem ojciec zasnął za kierownicą. Chłopcu nic się nie stało, ale jego stan psychiczny był opłakany. Tak naprawdę to nigdy nie wrócił do normalności. Miał silne objawy choroby sierocej, bardzo mu brakowało rodziców. Zwłaszcza matki. – Przerwał na chwilę, jakby przeniósł się myślami w przeszłość. Nie przerywali mu. W końcu spojrzał na Nowacką. – Takie dzieci mają tu najtrudniej. Te z patologii cieszą się, że wreszcie mogą się najeść i nie muszą się bać pijanego ojca. Ale te, które tragedia wyrwała ze szczęśliwych domów, nigdy nie godzą się z tą niesprawiedliwością. Mają żal do wszystkich wokoło, a najwięcej pretensji

do siebie. Bez powodu. Podświadomie obwiniają siebie i to je niszczy od środka jak choroba. Jedyna szansa to szybka adopcja.

– Nie ma w dokumentach wzmianki o żadnym postępowaniu adopcyjnym – powiedziała Zuzanna. Zdążyła już przejrzeć teczkę Góreckiego.

– Ale było jedno – odparł Jakubek i znów spuścił wzrok. – Mniej więcej po roku pobytu Adama u nas zainteresowało się nim małżeństwo w średnim wieku. Zamożni ludzie. Początkowo cieszył się z ich wizyt w domu dziecka i z pierwszych wyjść na zewnątrz. Ale z czasem coś się zmieniło. Zmarkotniał i jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Początkowo myślałem, że smuci się po rozstaniu z nimi, że tęskni. Kiedy przed kolejnym wyjściem chował się pod łóżko, zrozumiałem, że coś jest nie tak. Powiedziałem o tym dyrektorowi. W tym czasie dyrektorem był pan Jan Gołąbek, teraz jest na emeryturze. Odwołał wyjście chłopca. Powiedział chyba, że jest chory. Poszliśmy do pokoju Adama i Gołąbek chciał sprawdzić, czy nie ma jakichś śladów bicia. Podniósł mu koszulkę. Wtedy mały wpadł w szal, ugryzł go i uciekł pod łóżko. Dopiero higienistce udało się go stamtąd wyciągnąć i obejrzeć. Nie miał śladów bicia, jedynie sine otarcie na kostce. Dyrektor zadzwonił do znajomego lekarza. Nie wiem, co ten stwierdził. Następnego dnia przyjechał Cholewiak – tak nazywał się mężczyzna, który starał się o adopcję. Był sam, często przyjeżdżał bez żony. Dyrektor zabrał go od razu do swojego gabinetu. W końcu otworzył drzwi i kazał mu wypierdalać. Dosłownie. Krzyczał na cały ośrodek. Groził, że go wykończy.

– I co? Nie domyśliłeś się, o co chodziło? – Sudoł nie odpuszczał. – Czemu nie wezwałeś policji?

– Zapytałem dyrektora, ale powiedział, żebym się nie wtrącał, bo sobie kłopotów narobię. Stwierdził, że młody jestem i świata nie znam, a on to

załatwi.

– Jakich kłopotów? Kim byli ci ludzie, którzy chcieli adoptować Adama Góreckiego i dlaczego nie ma o nich wzmianki w papierach? – włączyła się Nowacka.

– Potem Gołąbek powiedział mi, że to był jakiś były ubek, który miał mocne układy w starej i nowej władzy. – Jakubek zwrócił się do Pawła: – Wie pan, jakie to były wtedy czasy. Jeszcze komuch, a już solidarnościowiec. Cholewiak, dyrektor dużego banku w Sandomierzu.

– Dalej tam pracuje?

– On nie żyje, miał jakiś wypadek na polowaniu. Myśliwym był.

– Skąd wiesz, co się z nim potem działo? Przyjeżdżał tu jeszcze? – drążył komisarz.

Znów zapanowała cisza. Jakubek układał myśli lub zbierał się na odwagę.

– Pół roku temu był u mnie Adam Górecki. – Policjanci spojrzeli po sobie, ale nie przerywali. – Chciał obejrzeć swoje dokumenty. Pokazałem mu, ale nic w nich nie znalazł. Gołąbek musiał usunąć papiery dotyczące procesu adopcyjnego Cholewiaków. Opowiedziałem mu to, co wam. Potem zadzwoniłem do Gołąbka na prośbę, a raczej żądanie Góreckiego, i to on nam powiedział, że Cholewiak nie żyje. Powiedział też, gdzie jest pochowany. Więcej Góreckiego nie widziałem.

– I ciesz się, bo byś już nie żył – skwitował sucho Sudoł.

Basia kolejny raz rozejrzała się po pomieszczeniu. Ściany wokół wyłożone były styropianem, nie było żadnych okien. Nad jej głową wisiała goła żarówka w oprawce. Oświetlała jej twarz, na której zalegały rozmazane łzami pot i brud. Zachrypnięte gardło bolało ją od wołania o pomoc. Po pierwszym ataku paniki i przerażenia teraz się powoli uspokajała. Strach nie opuszczał jej, ale po kilku godzinach od odzyskania przytomności ochłonęła na tyle, że mogła już logicznie myśleć.

Siedziała skrępowana na metalowym krześle. Zdążyła się zorientować, że pod nim zainstalowany jest sedes. Obie nogi i prawą rękę miała przykute kajdankami do krzesła, ale lewa była nieskrępowana. Adrenalina opadła i Basia zaczęła odczuwać potrzeby fizjologiczne. Z trudem, wyginając się, zdjęła spodnie i majtki. Udało jej się też później nacisnąć spłuczkę umieszczoną za oparciem krzesła. Wcześniej uniosła się na krześle, żeby woda nie pochlapała jej ubrania. Była zziębnięta, w pomieszczeniu panował chłód i wilgoć. Po odzyskaniu świadomości przez pierwszą godzinę desperacko starała się uwolnić, ale okazało się, że pozbycie się kajdanek nie jest takie proste jak w filmach. Próbowwała nawet wybić kciuk ze stawu, lecz poobcierała tylko nadgarstek do krwi i połamała paznokcie. Majstrowanie przy zamku urwaną z rozporka džinsów blaszką też okazało się skazane na niepowodzenie. Dodatkowo komplikował je fakt, że wolną miała tylko lewą, mniej sprawną rękę. Ze złością stwierdziła, że trudność sprawiło jej rozpięcie guzika spodni, a co dopiero kajdanek. W zasięgu ręki nie było żadnych przedmiotów, których mogłaby użyć do oswobodzenia się.

Miała dużo czasu na dokładne obejrzenie pomieszczenia. Starannie zlustrowała wszystko, co znajdowało się przed nią. Stół, krzesło, telewizor. Obróciła się na tyle, na ile pozwalało jej skrępowane ciało, i spróbowała sprawdzić, co znajduje się za jej plecami. Pod ścianą obok starej umywalki stało wiadro, mop i środki czystości. Kątem oka zobaczyła zwinięty rulon z czarnej folii. Przekręciła się na krześle i spróbowała spojrzeć dalej. Musiała się mocno wygiąć, w tej pozycji mogła wytrzymać nie dłużej niż kilka sekund. Z rulonu wystawała chyba jakaś ścierka. Zerknęła jeszcze raz i opadła na krzesło sparaliżowana strachem. To nie była ścierka, tylko ludzkie włosy. Serce biło jej jak szalone. Wpadła w panikę. Wołała o pomoc i szarpała kajdanki, nie zważając na ból. Po mniej więcej kwadransie daremnych prób straciła nadzieję. Była głodna i osłabiona. Nie miała już nawet siły płakać. Zapadła w odrętwienie. Poddała się i czekała na cud.

Oprzytomniała, kiedy w zamku zazgrzytał klucz. Po chwili znów usłyszała charakterystyczny dźwięk otwieranego zamka i w drzwiach pokoju stanął młody mężczyzna. Przyniósł jedzenie. Trzymał je w jednej ręce, drugą zamknął drzwi i zostawił klucz w zamku. Pomyślała, że powinna była krzyknąć, kiedy drzwi były otwarte, ale zaskoczona nie wykazała się przytomnością umysłu. Nie miała już zresztą sił.

Bez słowa postawił przed nią krzesło, a na nim dwa waniliowe serki homogenizowane. Chwilę się rozglądał i wahał, po czym położył bagietkę na serkach. Z tylnej kieszeni spodni wyjął małą butelkę wody mineralnej i postawił obok. Cofnął się dwa kroki i przysiadł na pustym stole. Obserwowała każdy jego ruch.

– Wypuść mnie... – Głos jej się łamał.

Spojrzał na nią, ale się nie odezwał. Podeszedł i bez słowa otworzył serek, urwał kawałek bagietki, włożył do środka i podsunął tak, aby znalazły się w

zasięgu jej wolnej ręki.

– Wypuść mnie...

– Wypuszczę – oświadczył i odkręcił wodę mineralną, po czym ją też postawił na krześle w zasięgu jej dłoni. – A dokładniej rzecz biorąc, pozwolę policji cię uwolnić. Ale dopiero jutro.

Ich spojrzenia się spotkały. Nie wierzyła mu. Widział to w jej oczach. Strach, zwątpienie, ale też rodzaj zaczepki. Dziewczyna miała charakter. Nie zasłużyła na to wszystko. Choć podobno ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a ona była bardzo ciekawska. Aplikacja w telefonie wykryła jej obecność na jego terenie rano, przed jego wyjazdem do Warszawy. Ukryła się w krzakach obok płotu od strony drogi. Bez trudu zaszedł ją od tyłu. W ostatniej chwili zauważyła go, lecz nie zdążyła już uciec ani obronić się przed atakiem. Elektrody paralizatora wystrzeliły, kiedy był trzy kroki od niej. Nieprzytomną zaniósł na rękach do letniej kuchni. Była drobna i lekka, nie potrzebował nawet wózka. Kiedy otwierał drzwi, położył ją na chwilę i twarz ubrudziła jej się w ziemi. Teraz miała brud rozmazany na policzkach, czole i szyi. To był przykry widok, miał wielką ochotę umyć jej twarz. Nie chciał jej upodlić, nic mu przecież nie zrobiła. Dlatego posadził ją na krześle w ubraniu i zostawił jedną rękę wolną. Przyniósł jedzenie. Nawet przez chwilę miał zamiar zrobić jajecznicę, ale stwierdził, że odpuści sobie ten pusty gest. W tej sytuacji nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

– Jedz, jutro będziesz w domu. – Chciał, żeby mu uwierzyła. – Wszystko się dobrze skończy.

– Wypuść mnie teraz. – Zastanowił go jej ton. Nie mógł rozróżnić, czy była to prośba, czy żądanie.

– Teraz nie mogę. Jutro rano wyjadę i zniknę na zawsze. Wtedy zadzwonię na policję i powiem im, że tu jesteś. Oddam ci przed wyjazdem

telefon, na wszelki wypadek. Teraz zjedz. Potrzeba ci czegoś? Przyniosę ci papier toaletowy.

– Wypuść mnie. Obiecuję, że nikomu nie powiem.

– Przyniosę ci więcej jedzenia i koc – powiedział, ignorując jej słowa. Odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. – W nocy jest zimno, a musisz wytrzymać do rana.

Cały czas patrzyła na niego, a on unikał jej wzroku. Zamykając drzwi, pomyślał, że jest mu jej po ludzku żal. Ale wiedział, że musi to zrobić. Nie może teraz wypuścić świadka.

50

Piotr siedział na tylnym siedzeniu hondy zaparkowanej pod komisariatem w Gorzycach. Wciąż zachodził w głowę, co mogło się stać z Basią. W pierwszej kolejności podejrzewali wypadek. Objechali wszystkie szpitale w okolicy, ale nigdzie jej nie było. Dzwonili też na policję i do straży pożarnej. Żadnych informacji. Bali się, że ktoś ją napadł, kiedy wracała do domu. Ale gdzie była i po co kłamała, że nocuje u koleżanki? Najbardziej prawdopodobne wydawało się, że zniknęła z własnej woli. Zawsze była postrzelona i chciała brać życie garściami. To było w jej stylu. Może kogoś poznała? Zakochała się i rzuciła wszystko?

Znów poczuł to ukłucie. Złapał się na tym, że wolałby napad niż jej zniknięcie z jakimś facetem. Zawstydziło go to, próbował odgonić natrętne myśli. Rozmyślenia przerwał widok wracających chłopaków.

Bracia Czerwińscy wyszli z komisariatu. Jacek wyjął papierosa z pomiętej paczki. Próbował go przypalić, ale papieros miał nadłamany filtr.

– Kurwa! – Rzucił go na ziemię i sięgnął po następnego.

– Szybko wyszłicie. – Piotr wysiadł z auta. – Co powiedzieli? Będą jej szukać?

– Coś ty... – Jacek wypuścił dym. – Mają to w dupie. Co ten kutas powiedział? – Spojrzał pytająco na brata.

– Że nie ma podejrzenia zagrożenia zdrowia lub życia. – Kajtek był tak samo zły, ale jak zwykle bardziej opanowany.

– Kazał nam jechać do domu i się nie martwić. Że w najgorszym wypadku za dziewięć miesięcy trzeba będzie wózek kupić. – Chłopakowi

trzęsła się ręka, w której trzymał papierosa. – Się chuje ubawili... Jakby nie ta szyba, to bym mu jebnął.

– Czyli nic nie robią? – Złość udzieliła się Piotrowi.

– Nawet nie przyjęli zgłoszenia. Baśka jest pełnoletnia, a od ostatniego kontaktu minął dopiero jeden dzień.

– Co robimy? – Kajtek patrzył z nadzieją na kolegę. – Coś musimy zrobić.

Stali chwilę bezradni.

– Czekajcie. – Piotr sięgnął do kieszeni, wyjął portfel zamykany na rzep.

– Jak mnie wypuścili, wtedy, no, z więzienia, to jedna policjantka mnie przeproszała. Dała mi swój numer i powiedziała, żebym dzwonił, jak będę potrzebował pomocy.

Chwilę grzebał w portfelu, w końcu z jednej z przegródek wyciągnął wygiętą wizytówkę z logo policji.

– Aspirant Zuzanna Nowacka – przeczytał, wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer.

Czekali w napięciu. W ciszy słyszeli sygnał w słuchawce. Po kilkunastu sekundach, kiedy już chciał się rozłączyć, usłyszał damski głos.

– Halo, dzień dobry. Mówi Piotr Ostrowski. Pamięta mnie pani...? Ksiądz Piotr Ostrowski. Tak. Dała mi pani wizytówkę i powiedziała, że mogę zadzwonić, jak będę potrzebował pomocy... Tak. Zaginęła dziewczyna... Nie, nie moja dziewczyna. Znajoma, przyjaciółka... Byliśmy, ale nie chcę przyjąć zgłoszenia. Mówią, że za wcześnie, że się sama znajdzie. Ale ona nigdy tak nie znikwała i rodzina się boi, że coś jej się stało... Tak? Dziękuję... Krawce koło Gorzyc, numer domu dwieście siedemdziesiąt cztery... Z Tarnobrzega jedzie się jakieś pół godziny... Dobrze, będziemy czekać. Dziękuję pani.

Aspirant Nowacka rozłączyła się. Piotr włożył telefon do tylnej kieszeni spodni. Obaj bracia patrzyli na niego. Z przebiegu rozmowy zorientowali się, że policjantka przyjedzie, ale czekali na więcej szczegółów.

– Powiedziała, że wsiada w samochód i jedzie. Umówiłem się pod moim domem, bo nie wiedziałem, czy u was można – powiedział i schował wizytówkę do portfela.

– Dobrze zrobiłeś... – Jacek poczuł ulgę. Wreszcie jakiś konkret. – Będzie można pogadać spokojnie, bo w domu by się nie dało.

51

Zuzanna krążyła po wsi już kilka minut. Numery domów były pomieszane. Nawigacja w ogóle nie pokazywała wąskiej asfaltowej drogi, którą jechała. Pewnie wybudowali ją niedawno i jeszcze nie została naniesiona na mapę.

Zadzwoiła do księdza Piotra. Ustalili, że wyjdzie na główną drogę, żeby nie błdziła.

Minęła kilka luźno położonych gospodarstw. Po obu stronach blisko drogi ciągnęły się pola i łąki, w głębi pierwszymi kolorami jesieni malował się las. Pięknie tu było i spokojnie. Zabudowania skończyły się chwilę temu, ale księdza Piotra nie zauważyła. Chyba przejechała miejsce spotkania. Spojrzała we wsteczne lusterko, do najbliższego domu było kilkaset metrów. Cofanie tak wąską drogą było trudne, zwłaszcza na taką odległość. Postanowiła poszukać miejsca, gdzie będzie mogła zawrócić, jadąc do przodu. Toyota ma dość wysokie zawieszenie, wystarczyłby więc nawet zjazd na pole. Z przeciwka szedł starszy mężczyzna w gumowcach, flanelowej koszuli i sfatygowanej czapce Chicago Bulls, zsuniętej na tył głowy. Zszedł na zaorane pole, żeby przepuścić auto na wąskiej drodze. Z nieukrywaną ciekawością przyglądał się eleganckiemu samochodowi. Zuzanna zatrzymała się obok niego i opuściła szybę.

– Dzień dobry, szukam domu Ostrowskich. Mieszka tam Piotr Ostrowski, ksiądz.

Poprawił czapkę i zamyślił się, patrząc w las, a potem w stronę wsi. Już pożałowała, że się zatrzymała. Nie mogła jednak tak od razu odjechać. Po długiej teatralnej pauzie dziadek w końcu odezwał się skrzeczącym głosem:

– Trza zawrócić, a potem za krzyżem w prawo, z pińcet metrów i będzie żółty dom piętrowy, z mniejszym drewnianym domkiem z boku. Orzech jest duży koło niego.

– A gdzie tu można zawrócić? Będzie tam z przodu jakieś miejsce czy lepiej się cofnąć?

– Do lasu trza dojechać. Zaraz, na początku, będzie zjazd do domu Rewery, tam sobie panienka zawróci.

– Dziękuję panu, miłego dnia! – Uśmiechnęła się szczerze, zaskoczona rzeczowymi wskazówkami.

– Z Bogiem.

„Panienka. – Zaśmiała się w duchu. – Jeszcze się tak mówi?”.

Dojechała do lasu i zwolniła, żeby nie przegapić zjazdu. Błądziła myślami wokół spotkania z miłym staruszką, wypatrując owego „domu Rewery”. Po chwili zwolniła i zjechała w zjazd.

Spojrzała na podwórko i poczuła mocniejsze bicie serca. W głębi, przed domem, stało białe auto dostawcze. Wzięła kilka wdechów i uspokoiła tętno. Nagle uprzytomniła sobie, gdzie słyszała nazwisko Rewera. Tak nazywał się człowiek, na którego Górecki zarejestrował dostawczego volkswagena. To nie mógł być przypadek. Serce znów zaczęło jej łomotać, nawet nie próbowała się uspokoić. Ostrożnie wycofała samochód i wyjechała tyłem na drogę. Ruszyła, przejechała kilkanaście metrów i przyspieszyła. Zatrzymała się na przystanku, przy pierwszych domach. Wybrała przez zestaw głośnomówiący numer Pawła.

– No halo! – Odebrał prawie natychmiast. – Gdzie ty się podziewasz? Mieliśmy iść coś zjeść i pojechać do Cholewiakowej...

– Chyba go znalazłam – przerwała mu. – Wiem, gdzie ukrywa się Górecki.

– Jak?! Gdzie jesteś?

– We wsi Krawce koło Gorzyc. Na końcu wsi, pod lasem, jest ostatni dom. Jego właścicielem jest Rewera. Kojarzysz?

– No... czekaj... A tak, ten gość z Lublina tak się nazywał. Na niego było auto zarejestrowane.

– No, i na podwórku stoi białe dostawcze auto. Widziałam tylko tył, ale to nie może być zbieg okoliczności. Pewnie wynajmuje ten dom od Rewery, stąd znał dane do rejestracji samochodu.

– Jak ty go znalazłaś?

– Przyjechałam do księdza Ostrowskiego. O kurde... On tu mieszka, ksiądz. W Krawcach. Wszystko zaczyna układać się w całość...

– Jadę do ciebie, nic sama nie rób.

– Zaparkuję gdzieś i będę obserwować dom z bezpiecznej odległości.

– Nie podchodź za blisko. To jest lepszy cwaniak, może mieć jakiś monitoring. Żeby nie spierdolił...

– Będę ostrożna. Za ile przyjedziecie? Wiesz, gdzie to jest?

– Tak. Wezmę Grzeška i kilku mundurowych. Będziemy za jakieś pół godziny. Zadzwoń na posterunek w Gorzycach, wyślę miejscowych, żeby pomogli ci obstawić dom, zanim przyjedziemy. Poczekaj na nich.

Piotr stał obok figurki krzyża przy głównej drodze. Spóźnił się dosłownie kilka sekund, ale to wystarczyło. Nie zdążył zatrzymać policjantki. Dochodząc do skrzyżowania, rozpoznał przejeżdżającą białą toyotę. Pamiętał to auto, widział je na dziedzińcu sierocińca kilka tygodni temu. To był samochód aspirant Nowackiej. Obserwował, jak zatrzymała się i rozmawiała ze starym Drzazgą, a później skręciła na podjazd domu, w którym ukrywał się Adam Górecki. Po chwili gwałtownie wyjechała na drogę i zatrzymała pojazd kawałek dalej, na przystanku. Stała może minutę. Wybrał jej numer, ale telefon był zajęty. Spróbował ponownie i tym razem odebrała.

– Nie mogę teraz rozmawiać. – Była zdenerwowana. – Zadzwoń później, dobrze?

– A co z moją koleżanką? Tą zaginioną?

– Zadzwoń później, musimy porozmawiać. Teraz muszę kończyć, proszę czekać na mnie w domu, zrozumiał ksiądz?

– Tak.

Rozłączyła się. Widział, jak wysiada z samochodu i wchodzi do lasu po drugiej stronie drogi. Pochylona skierowała się w stronę domu Rewery. Po chwili wróciła i wsiadła do zaparkowanego auta.

Ruszył w jej stronę. Musi mu pomóc znaleźć Basię. Jeśli ona pomoże jemu, on pomoże jej. Był w domu Rewery, znał rozkład pomieszczeń. Dzięki tym informacjom mogą Góreckiego zaskoczyć.

Zuzanna zauważyła go, kiedy był jeszcze daleko. Nie czekała, aż podejdzie. Wyszła z samochodu.

– To zły moment! – krzyknęła w jego stronę, jednocześnie podnosząc rękę, jakby chciała go powstrzymać. – Proszę iść do domu, odezwę się.

Zawahał się na chwilę, ale ruszył dalej. Był już kilkanaście metrów od niej, gdy usłyszał za sobą nadjeżdżający samochód.

Radiowóz zahamował i zatrzymał się gwałtownie przed toyotą Nowackiej. Wysiedli z niego dwaj mundurowi. Rozmawiali gorączkowo. Wyjaśniła im sytuację i wydała krótkie rozkazy, pokazując w kierunku domu Rewery. Wbiegli całą trójką do lasu i zniknęli Piotrowi z oczu.

Zadzwoił telefon. Przez chwilę mężczyzna miał nadzieję, że policjantka zmieniła zdanie. Wyświetlił się jednak numer Kajtka. Piotr nie odebrał, bo i co miał mu powiedzieć? Począł, aż sygnał ucichnie, i napisał wiadomość. Przez moment trzymał palec nad komunikatem „wyślij”, w końcu go nacisnął.

Adam już dobre pół godziny próbował uszczelnić stary kran przy zlewie w kuchni. Usłyszał sygnał przychodzącego SMS-a. Oddał klucz francuski Szymkowi, który cały czas mu asystował. Wytarł dłoń o stare spodnie i sięgnął po telefon. Nie dostawał banalnych wiadomości, więc to musiało być coś ważnego. Spodziewał się informacji od Grubego w sprawie paszportów. Zaskoczyło go, że SMS przyszedł od księdza Piotra. Kliknął i wyświetliła się treść: „Uciekaj”.

Uderzenie adrenaliny w jednej chwili postawiło cały jego organizm w stan gotowości. Mózg gorączkowo analizował sytuację, napięte mięśnie były gotowe do działania. Co oznaczało to krótkie ostrzeżenie? Sprawdził aplikację w smartfonie, włączył laptopa. Nie było sygnału pokazującego telefony komórkowe w pobliżu. Czyli nawet jeśli znaleźli jego kryjówkę, to jeszcze ich tu nie ma. Ile ma czasu? Kilkanaście minut? Kilka? Nie było sensu tracić cennych sekund na wyjaśniające telefony. Wiedział, co ma robić. Byłby głupcem, gdyby nie przygotował się na taką ewentualność.

Nagle aplikacja aktywowała się i na ekranie komputera pojawiły się, jeden po drugim, trzy punkty zbliżające się do domu. Przez chwilę je obserwował. Rozdzieliły się. Chcą obstawić dom z kilku stron. Może jeszcze zdąży. Odwrócił się do chłopca.

- Szymuś, leć po nasz plecak wyprawowy. Jedziemy na wycieczkę.
- Suuuper! – Chłopak pobiegł do pokoju, uklęknął i wyciągnął spod łóżka spakowany już, nieduży plecak.

Uwielbiał ich wspólne wyprawy do lasu, wyruszali na nie średnio raz w miesiącu. Dla Szymona to była zabawa, dla Adama ćwiczenia. Chciał, aby

ewentualna ucieczka przebiegła sprawnie, bez niespodzianek. Dzięki temu nie musiał teraz niczego chłopcu tłumaczyć. Mógł zająć się swoją częścią przygotowań.

Wyjął z dolnej szafki kredensu plastikowy kanister, miednicę, świecę i zapałki. Ostrożnie wlał do miski benzynę, do wysokości narysowanej flamastrem czarnej kreski. Ustawił świeczkę. Poziom benzyny prawie ją zakrywał. Zanurzył w niej koniec zasłony. Przewrócił kanister, po podłodze rozlała się kałuża. Wstrzymał oddech i ostrożnie podpalił knot świecy. Odkręcił wszystkie palniki kuchenki i szybko wybiegł z kuchni. Szymek czekał już uśmiechnięty przy uchylonym oknie w swoim pokoju na tyłach domu. Adam delikatnie odsunął firankę.

– Zaczekaj. – Przytrzymał za ramię chłopca wspinającego się już na parapet.

W krzakach na skraju lasu szamotał się w gałęziach jeden z policjantów. Wyszwolecił się w końcu, sięgnął po czapkę, którą spadła, kiedy zahaczył o wystający konar. Rozcierał zranioną głowę. W drugiej ręce trzymał pistolet. Nie uda im się wyjść przez okno niezauważonymi.

Adam wrócił szybko do kuchni, poślinił palce i zgasił świecę. Zakręcił gaz. Musi jakoś na krótką chwilę odwrócić uwagę policjantów. I to szybko, zanim wejdą do środka. Usiadł na krześle i próbował pozbierać myśli. Najlepiej wywołać zamieszanie. Ale jak? Pożar spowoduje, że wejdą do domu natychmiast, bez wsparcia, na które pewnie teraz czekają. To tylko skomplikuje sytuację. Co robić? Musiał improwizować, a to nie była jego mocna strona.

Nagle wstał gwałtownie i sięgnął do szuflady kredensu. Wyjął telefon Basi. Był odblokowany. Wcześniej zdjął zabezpieczenie, skanując odcisk jej palca, kiedy była nieprzytomna. Wiedział, jak mają na imię jej bracia. Kojarzył ich, często widywał całą trójkę w sklepie lub na stacji paliw.

Przeszukał kontakty. Przeglądał je wcześniej, więc szybko odnalazł numer Jacka.

– Halo?

– Wasza siostra jest zamknięta w letniej kuchni domu Rewery. Macie pięć minut, żeby ją uwolnić. Później poderżnę jej gardło.

– Kto mówi? Słuchaj, zjebie, jak jej coś zrobisz, to cię zabiję!

– Nie pierdol, tylko rusz dupę! Czas leci! Dom Rewery, macie pięć minut i ani sekundy dłużej.

Zuzanna obserwowała drzwi wejściowe z bezpiecznej odległości. Dwaj mundurowi mieli pilnować tyłów domu. Wyraźnie zakazała im zbliżyć się do okien. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinni we trójkę wejść do środka, ale odrzuciła tę myśl. Nie było sensu ryzykować. Wystarczy, że nie pozwolą Góreckiemu uciec z tego miejsca. Lada chwila powinien przyjechać Paweł z policjantami. Zgarną go wtedy bez zbędnego ryzyka. W końcu jest tam dziecko i lepiej, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. Trzeba poczekać.

Popatrzyła na zegarek, zaraz powinni być. Usłyszała samochód nadjeżdżający od strony wsi. Jechał szybko, słychać było ryk silnika pracującego na wysokich obrotach. Spojrzała na drzwi budynku z niepokojem. Mogą go zaalarmować. Samochód zbliżał się prędko, dojechał do drogi dojazdowej i na pełnej prędkości wszedł w zakręt. Zarzuciło go mocno i tyłem uderzył w drzewo przy drodze. Zuzanna patrzyła oniemiała.

– Co oni wyprawiają?!

Zaskoczona zrozumiała, że to nie jest auto policyjne. Srebrna honda wjechała z impetem na podwórko i zatrzymała się gwałtownie. Zanim Nowacka zdążyła zareagować, z samochodu wyskoczyło dwóch młodych mężczyzn i pognało w stronę zabudowań. Nie mogła dłużej czekać. Wybiegła z ukrycia i przeładowała broń.

– Stać! Policja!

– Nie ruszać się! – Dwaj policjanci z posterunku w Gorzycach też mierzyli do młodzieńców. – Ręce do góry! Bo strzelam!

– Tam jest nasza siostra! – Niższy zatrzymał się i podniósł ręce w górę.

Drugi z mężczyzn, nie zważając na ostrzeżenia, podbiegł do budynku i impetem całego ciała wyważył drzwi.

– Pani aspirant! – Jeden z policjantów, cały czas mierząc do intruza, zrobił krok w stronę Nowackiej. – Ja ich poznaję, oni byli dzisiaj rano u nas na posterunku i zgłaszali zaginięcie siostry.

Zuzanna opuściła pistolet i odwróciła się w stronę domu. Przebiegła zaledwie parę kroków, kiedy powietrzem wstrząsnął wybuch. Dach uniósł się kilka metrów do góry. Siła eksplozji rozrzuciła odłamki cegieł po całym podwórku.

Upadając, Nowacka zdążyła odruchowo zasłonić twarz i odłamki szkła pokaleczyły jej ramię. Jeden z policjantów – ten, który stał najbliżej domu – leżał nieprzytomny z zakrwawioną głową. Drugi schował się za samochód. Wybuch był tak potężny, że przez chwilę nic nie słyszała. Informacje docierały do niej w zwolnionym tempie. Oszołomiona, próbowała ogarnąć sytuację. Obok policjanta kucnął jeden z mężczyzn. Zobaczyła, jak drugi chłopak wyprowadza z budynku młodą dziewczynę, w drugiej ręce trzymając metalowe krzesło. Oboje patrzyli zaskoczeni na płonące zgliszcza domu.

– Ręce!

Podnieśli ręce nad głowę. Zuzanna poczuła, jak czyjeś dłonie podnoszą jej bezwładne ciało. Odwróciła głowę i zobaczyła nad sobą twarz Pawła.

– ...ci nie jest?! Spójrz na mnie!

Chciała mu wytłumaczyć, że to Górecki. To on wysadził dom. Zabił siebie i dziecko! Morderca! Nie była jednak w stanie wypowiedzieć słowa. Osunęła się bezwładnie na ziemię i zemdląca.

Piotr próbował objąć wzrokiem chaos, jaki panował na podwórku domu Rewery. Kiedy przybiegł, była tu już policja i karetka pogotowia. Cały dom ogarnął pożar. Z okien buchały jężory ognia. Nad płonącym dachem unosił się czarny gęsty dym. Podmuchy wiatru roznosiły go wokół, zmniejszając widoczność. Smród spalenizny zatykał nozdrza.

Lekarz i ratownicy opatrywali rannych. Ostrożnie położyli na noszach nieprzytomnego policjanta z raną głowy. Ratownik i dwóch mundurowych zanieśli go do karetki. Lekarz zostawił ich i podszedł energicznym krokiem do Nowackiej. Była przytomna, siedziała oparta o drzewo. Na karku miała zimny kompres. Zabandażowana ręka krwawiła. Doktor wyjął z torby przybory i zmienił jej opatrunek. Cały czas z nią rozmawiał. Skończył, wziął do ręki latarkę i zaświecił jej w oczy.

W głębi podwórza Piotr zobaczył Jacka Czerwińskiego, który szedł z jednym z policjantów do radiowozu. Mundurowy otworzył drzwi, wewnątrz siedziała siostra chłopaka. Na ręce i nogach miała kajdanki. Piotr nic z tego nie rozumiał. Skąd się tu wzięła? Dlaczego ją aresztowali? Co tu robią Czerwińscy? Podszedł do radiowozu, w którym siedzieli Basia i Kajtek. Próbował go zatrzymać inny policjant, przywiązujący do drzewa niebieską taśmę. Piotr nie zważał na jego wołanie ani na spojrzenia innych.

– Basia! – Otworzył szerzej tylne drzwi policyjnego busa. – Co ty tu robisz?!

– Piotrek, on mnie zamknął w tej szopie... – Policjant w gumowych rękawiczkach rozpiął kajdanki na jej nodze, włożył je do foliowego worka i zaniósł do radiowozu. – I zabił jakąś kobietę!

– Co ty mówisz? Kto?

– Ten psychopata, co tu mieszkał. Przykuł mnie kajdankami do krzesła... nie mogłam się uwolnić... Bałam się, że mnie też zabije. Miałeś rację, to on.

– Jaki on? – spytał Jacek i zamilkł w oczekiwaniu.

– Kim pan jest? – Obok nich stał policjant ubrany po cywilnemu, z wiszącą na szyi odznaką.

Piotr milczał, jakby te słowa do niego nie docierały.

– To nasz przyjaciel – Kajtek odezwał się z wnętrza radiowozu. – Piotr Ostrowski. Mieszka w pobliżu.

– Ksiądz Piotr Ostrowski? – Grzegorz poznał go dopiero teraz. Bez sutanny i w innych okolicznościach nie skojarzył go w pierwszej chwili.

– Tak.

Chmielny patrzył na nich przez okrągłe okulary, zatrzymując na każdym wzrok na dłużej.

– Niech nikt z was się stąd nie rusza... – Odwrócił się i poszedł w kierunku Nowackiej i Sudoła.

Rozmawiali przez moment, spoglądając co rusz w stronę policyjnego busa. Zuzanna chciała wstać, ale lekarz ją przytrzymał. Zerknęła na księdza Piotra i na chwilę ich wzrok się spotkał. Powoli wstała i poszła do karetki, podtrzymywana pod rękę przez lekarza i Pawła.

– Zawieźcie siostrę do szpitala – powiedział policjant, gdy do nich wrócił. – Niech zbada ją lekarz. Potem jedźcie do domu i nie ruszajcie się na krok, zrozumiano?

– Tak.

– Spisz ich dane – teraz Chmielny zwrócił się do siedzącego w radiowozie mundurowego. – Jego adres też. – Ruchem głowy wskazał Piotra.

Kajtek powoli wyszedł z busa, pomógł zejść Basi i zaprowadził ją do auta.

– Ja podam wszystkie dane – odparł Jacek i dał kluczyki bratu. – Nie mamy dokumentów, ale mieszkamy niedaleko, to można sprawdzić.

– Dobra... – Policjant wyjął notes. – Dyktuj, reszta może poczekać w samochodzie.

Piotr wciąż stał oniemiały. Nic z tego nie zrozumiał, kręciło mu się w głowie. Adam Górecki uwięził Basię? Ale po co? Zabił też jakąś kobietę? To niemożliwe. To się jakoś wyjaśni. Nie pomógł przecież uciec mordercy. Stał w bezruchu. Poczuł, że Basia wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą.

56

Szli przez las szybkim krokiem. Adam pierwszy. Co chwila oglądał się za siebie i sprawdzał, czy chłopiec nadąży. Mały szedł żwawo, podbiegając co chwila kilka kroków. Uszli jakieś trzysta metrów od domu, kiedy usłyszeli wybuch.

– Co to wałnęło? – Szymon zatrzymał się i odwrócił w stronę domu.

– Piorun, ale nie martw się, dom ma piorunochron – odparł Adam i pociągnął go za ramię. – Chodź szybko, bo nas burza dopadnie.

Korony drzew zasłaniały dym. Płomieni też nie było stąd widać. Minęli właśnie kolejne drzewo oznakowane białą farbą. Zapobiegliwość Adama sprzed paru tygodni znów się opłaciła. Podczas ucieczki, w stresie, łatwo mógł pomylić kierunki, a każda minuta była na wagę złota. Oznakowanie drzew było częścią przygotowanego szczegółowo planu. Początkowo zastanawiał się, czy nie ułatwi to policji pościgu, ale stwierdził, że jeżeli znaki będą wysoko, to nikt poza nimi ich nie zauważy. Mieli zresztą sporo frajdy z malowaniem. Adam podtrzymywał jedną ręką siedzącego na jego ramionach chłopca, w drugiej niósł wiaderko z farbą. Szymon maczał wałek przytwierdzony do długiego kija i malował znaki na pniach najwyżej, jak sięgnął. Teraz dzięki nim bez zastanawiania się i błądzenia szybko zmierzali do celu.

Taksówka miała na nich czekać we wsi Burdze. Adam zamówił ją przez „radiotaxi” i podał dyspozytorce adres domu położonego najbliżej lasu. Zadzwoił dokładnie przy dwunastym, oznakowanym literą T drzewie. Stąd do miejsca, gdzie miała przyjechać taksówka, będą szli około piętnastu–dwudziestu minut. Czas przejazdu z postoju w Stalowej Woli w

umówione miejsce to prawie tyle samo. Powinni tam dotrzeć mniej więcej w tym samym czasie.

Po drodze musieli przejść Łęg – małą, lokalną rzeczkę. Doszli do brzegu. Miejsce przeprawy wybrał starannie w czasie wcześniejszych wypraw. Było tu płytko, nie mógł przecież wsiąść mokry do taksówki. Rozebrał się do pasa, spodnie i buty spiął paskiem; Szymona wziął na barana i wszedł do zimnej wody. Nie skierował się jednak od razu na drugą stronę. Przeszedł w dół rzeki dobre sto metrów, zanim wyszedł na brzeg. Nie był pewien, czy utrudni to ewentualny pościg i zmyli psy, które na pewno wykorzystają. Prawdopodobnie szybko odnajdą trop na drugim brzegu. Uznał jednak, że nie opóźni go to zbytnio, a warto spróbować.

Dotarli do wsi po dwudziestu minutach marszu, zgodnie z tym, co zaplanował. Usiedli w rowie na skraju drogi. Po dwóch minutach zza zakrętu wyjechała taksówka. Adam pomachał kierowcy, choć nie było wątpliwości, że to oni są jego pasażerami. Wsiedli na tylne siedzenie.

– Gdzie jedziemy? – Taksówkarz włączył licznik.

– Do Stalowej Woli, na dworzec PKS. – Adam spojrzał na twarz kierowcy w lusterku. – Korków nie ma? Dojedziemy w piętnaście minut?

– Nie ma, dojedziemy.

– Samochód nam się zepsuł. – Mrugnął do chłopca konspiracyjnie. – Przyjadę po niego później.

Szymek też mrugnął, wykrzywając przy tym połowę buzi. Uśmiechnęli się do siebie szczerze. Chłopiec dobrze się bawił, a Adam powoli się rozluźniał. Byli już prawie bezpieczni. Policja obstawi drogi, ale jeszcze nie zdążyła tego zrobić. Taksówkarz na pewno by o tym wspomniał, kiedy zapytał o korki. Najtrudniejsza część ucieczki była już za nimi.

W Stalowej Woli z postoju wezmą drugą taksówkę, która zawiezie ich bezpiecznie do Warszawy. Jeśli policjanci namierzą i przesłuchają

taksówkarza, będą sprawdzać połączenia autobusowe. Powinni dzięki temu zyskać na czasie.

Było gorąco, jednak wszystko może jeszcze pójść zgodnie z planem. Akcja policji co prawda skomplikowała sytuację, ale są wolni i przy odrobinie szczęścia może się udać. Wyjadą na zawsze i to, co policja znajdzie w letniej kuchni, nie będzie miało znaczenia.

Pielęgniarka odłączyła kroplówkę i wyjęła jej z żyły wenflon. Paweł odwrócił wzrok, nie lubił widoku igieł.

W sali było jedno łóżko. Zuzanna leżała na nim w szpitalnej koszuli, czuła się już znacznie lepiej. Krótki sen i glukoza wzmocniły ją, uśmiechnęła się nawet do pielęgniarki. Sudoł siedział na krześle pod oknem. Do środka weszła salowa i postawiła na stoliku talerz i kubek z herbatą.

– Panu też przyniosłam kolację. – Wzięła z kuchennego wózka drugi zestaw. – Tam panu dać?

– Nie, przesiądę się. – Nie jadł od rana, ale nie był głodny. Herbata jednak dobrze mu robi. Przystawił krzesło do stolika. Na talerzu z napisem „Społem” leżały dwa plasterki szynki, kawałek masła i trzy, nieproporcjonalnie duże kromki chleba. – Elegancka kolacja, tylko świece by się przydały.

– Taaa, i cygan ze skrzypkami. Mojemu staremu to się świeczka przydaje, tylko jak prąd ucieknie – skomentowała salowa, zaśmiała się i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Paweł sięgnął do talerza, posmarował masłem kromkę i położył na niej wszystkie plasterki szynki. Przekroił na cztery równe części, tak jak zawsze kroił swojej córce, kiedy była mała. Dotknął kubka, herbata była ledwo ciepła.

Zuzanna przyglądała mu się uważnie. Chociaż świat się wyemancypował, to wciąż było dla niej coś rozczulającego w mężczyźnie

przygotowującym posiłek dla kobiety. Pozwoliła mu na to, potrzebowała teraz czułości.

Pomógł jej usiąść i poprawił poduszkę za plecami. Pachniała sobą, nie przesiąkła jeszcze szpitalnym odorem. Upięte niestarannie włosy, delikatna twarz i rozchełstana lekko szpitalna koszula. Nie mógł oderwać od niej oczu. Była taka delikatna... Jak udało jej się taką pozostać w tej robocie? Wśród bandziorów i chamowatych kolegów z pracy. Miał ochotę usiąść na brzegu łóżka i ją przytulić. Nic więcej. Może delikatnie pocałować, ale tylko tyle.

– Pyszne... – Miała pełne jedzenia usta, a mimo to uśmiechnęła się. – Zrobisz mi jeszcze jedną? – Sięgnęła po kubek z herbatą.

Paweł posmarował drugą kromkę i położył na niej szynkę ze swojego talerza.

– A ty nie jesteś głodny? – Nie czekając na odpowiedź, pierwszy kawałek włożyła w całości do ust.

Nie przejmowała się zasadami, czerpała całą przyjemność z tego prostego posiłku. Przełknęła duży kęs, zamyśliła się i spoważniała. Magia chwili gdzieś zniknęła.

Wiedział, o czym myśli; znów byli w pracy.

– Zamknęliście drogi?

– Tak.

– Psy ściągnęliście?

– Tak.

– A przesłuchaliście świadków?

– Tak, oprócz jednego – powiedział i odstawił kubek. – Ksiądz Piotr czeka pod drzwiami. Chciał rozmawiać tylko z tobą. Kazałem go tu przywieźć, choć nie było to łatwe. Sobczyk nic nie wie. Jak widzisz, uczę się na błędach.

– O co mam go zapytać? – Zuzanna wyprostowała się i poprawiła włosy.

– Najpierw posłuchaj, co ma ci do powiedzenia. – Wstał. – I nie poprawiaj włosów, tak jest dobrze.

Nie wiedziała, czy to komplement, czy rada kolegi po fachu.

– Nie zostaniesz? Nie mam nawet, czym zanotować.

– Będzie lepiej, jak będziecie sami, więcej ci powie. – Otworzył drzwi i do sali wszedł Piotr Ostrowski. – Będę obok.

Piotr w pierwszej chwili nie wiedział, jak się zachować. Nie spodziewał się, że tamten policjant wyjdzie i zostaną sami.

– Proszę usiąść. – Zuzanna była łagodna; pierwsze spojrzenie wystarczyło, żeby miała pewność, że ma do czynienia z ofiarą, a nie sprawcą. – Niech pan mówi.

– Mam opowiedzieć wszystko od początku?

– Jeżeli wie pan coś, co pomoże nam złapać Góreckiego, to proszę od tego zacząć. Potem opowie pan wszystko po kolei.

– Mówił, że chcą wyjechać do dużego miasta i tam zamieszkać – powiedział, po czym chwilę porządkował myśli. – I dał mi komórkę. – Wyjął telefon z kieszeni. – Jest tu jego numer.

– Proszę zawołać tego policjanta. – Piotr wstał i otworzył drzwi, a do sali wszedł Sudoł.

– Ten telefon ksiądz dostał od Góreckiego, jest tam jego numer – wyjaśniła komisarzowi Nowacka.

– Jak jest zapisany? – Paweł wyjął jednorazową chusteczkę i wziął od Ostrowskiego komórkę.

– W SMS-ie jest, to jedyna wiadomość w tym telefonie.

Mężczyzna wyszedł w pośpiechu, znów zapanowała cisza. Piotr siedział na brzegu krzesła, patrząc w okno. Głośno przełknął ślinę.

– Ostrzegłem go. – Przejechał dłońmi po twarzy, wycierając oczy. Po chwili wyprostował się i spojrzał na Zuzannę. – Dlaczego pani wtedy nie odebrała? Teraz wszystko byłoby inaczej.

58

– Rafał Barański – Chmielny przeczytał na głos i rzucił dowód osobisty na biurko. – Myślałem, że ksywa od nazwiska, bo gruby nie jesteś. Co nie, Gruby?

– Nie wiem, o jakim Grubym pan mówi.

– Dobra, chuj z tym. Nie będziemy się macać po jajach, od razu przejdziemy do rzeczy. Po co kontaktował się z tobą Adam Górecki?

Gruby siedział z obojętną miną, ale w środku czuł niepokój. W jego karierze przesłuchiwali go już wiele razy. Kiedy godzinę temu zawijali go z mieszkania, spodziewał się tego, co zwykle: dużo gadania, straszenia i żadnych dowodów. Dopiero nazwisko Góreckiego wytrąciło go z równowagi, choć nie dawał tego po sobie poznać.

– Nie znam człowieka, nie kojarzę przynajmniej.

– Przestań pierdolić, bo on ostatnio dzwonił tylko do ciebie. Sprawdziliśmy jego numer.

W pokoju zapanowała cisza. W końcu komisarz wstał, otworzył drzwi pokoju przesłuchań i wychylił się na korytarz.

– Ej, ty! Chodź no tu – zawołał policjanta stojącego najbliżej. Sam usiadł znów za biurkiem. – Nazwisko i stopień? – zapytał, kiedy tamten wszedł za nim do pokoju.

– Starszy posterunkowy Adrian Cygan, panie komisarzu.

– Chcesz być sierżantem?

– No... – Zaskoczony policjant skinął niepewnie głową.

– Weźmiesz więc dwóch kolegów i będziecie tego podejrzanego śledzić dzień i noc, dwadzieścia cztery na dobę, jasne? Jak wyjdzie z komendy, nie

możecie go odstąpić nawet na krok, rozumiesz?

– Po cywilnemu?

– Normalnie, w mundurach. Pod jego blokiem postawicie oznakowany radiowóz. Załatwię z twoim komendantem, żeby was do tego zadania oddelegował, na początek na miesiąc.

Gruby miał kwaśną minę. Wiedział, co policjant chce osiągnąć. Wystarczy, że przez kilka dni nie będzie handlował, i wypadnie z obiegu. Rynek nie znosi próżni, a jego klienci nie mogą czekać. Wieść, że śledzi go policja, skutecznie odstraszy też jego dostawców. Oszczędności praktycznie nie miał, więc po tygodniu nie będzie miał z czego żyć. Kurwa... proste, ale skuteczne zagranie.

– Ale jak we trzech... – odezwał się posterunkowy, nie bardzo zachwycony nowym zadaniem. – Mamy służbę po osiem godzin...

– No to akurat, dwadzieścia cztery przez trzy, to ile jest?

– No sześć...

– Jak sześć?! Z tangensa żeś to wyliczył?! Osiem!

– Jak osiem...

– Normalnie, kurwa! Wypierdalaj!

Policjant wyszedł naburmuszony. Chmielny spojrzał na Grubego, ten uśmiechał się półgębkiem.

– Bawi cię to? Posiedzisz teraz czterdzieści osiem, bo potrzebuję czasu. Muszę znaleźć tu trzech rozgarniętych funkcjonariuszy, a jak widzisz, to nie będzie proste. W międzyczasie zrobimy ci kipisz w mieszkaniu. Nie żebym miał nadzieję coś znaleźć, nie uważam cię za idiotę. Ale zrobimy to tak dyskretnie, że cała Warszawa się dowie, że policja była u ciebie. Sprzątał też będziesz przez tydzień.

– Mówię panu, że go prawie nie znam... – Gruby stracił całkowicie pewność siebie. – Spotkaliśmy się przypadkowo w kawiarni.

Studiowaliśmy razem, wymieniliśmy się numerami telefonów i to wszystko.

– Posłuchaj, Gruby, nie mam nic do ciebie. Prywatnie to bym się nawet z tobą chętnie browara napił. Dopóki sprzedajesz prochy celebrytom w nocnych klubach, a nie dzieciom pod szkołą, to mnie to naprawdę pierdoli. Nie mam nic przeciwko, sam czasem lubię zajarać. Ale Górecki to morderca i jak mi czegoś nie powiesz, to pociągnie cię za sobą w straszne gówno. Mówię ci to teraz z życzliwości. Zanim będzie za późno. *Help me, help you.* Kumasz?

Gruby milczał, nie martwił się o Góreckiego. Bał się wsypać gości od paszportów. Za to mógł beknąć. Chmielny widział, że się łamie. Czekał cierpliwie, pozwalał mu dojrzeć do jedynej rozsądnej decyzji.

– Tylko musi być pan dyskretny – powiedział dealer w końcu i spojrzał na komisarza. – Bo to dotyczy ludzi z miasta. Zajebią mnie, jak się dowiedzą, że wam pomagam.

– Możesz być spokojny, mnie interesuje tylko Górecki i nikt więcej. Ja tu przyjechałem ze wsi. To, co się wydarzyło w Warszawie, zostaje w Warszawie.

– Pomogłem Góreckiemu załatwić dwa lewe paszporty.

– Pamiętasz, na jakie nazwiska? – Chmielny nie krył ekscytacji.

– Zdjęcia dokumentów są w tym telefonie, coście mi zabrali. Zrobiłem, zanim dałem paszporty Góreckiemu.

Czekali wewnątrz budynku lotniska, obok wejścia do hali odlotów. Adam wybrał miejsce oddalone od lotniskowych kamer. Szymon siedział na ławce i rozglądał się z otwartą buzią. Dzieciństwo w sierocińcu i ostatnie tygodnie spędzone na odludziu nie dostarczyły mu wielu wrażeń. Widział co prawda duże miasta i samoloty w telewizji, ale to było zupełnie co innego. Teraz to było naprawdę.

Adam starał się zachować spokój i nie spoglądać co chwila na zegarek. Spóźniała się już ponad pół godziny i nie odbierała telefonu. Zdzira. Skrzynka jej numeru była oczywiście pełna. Czyżby coś się stało? Rozmyśliła się w ostatniej chwili? A może zatrzymała ją policja? Nie, to niemożliwe. Nic o niej nie wiedzą.

Podjeżdżały kolejne taksówki, każdej przyglądał się z nadzieją. Odprawa ich lotu rozpoczęła się godzinę temu, większość pasażerów już ją przeszła. Cały plan wmieszania się w tłum szlag trafił. Był zły. Czy to takie trudne przyjechać o umówionym czasie? Kurwa, takie trudne?! Z drugiej strony mógł przewidzieć, że coś spierdoli. Tępa dzida. Gdyby była mądra, toby była lekarzem, a nie dziwką.

Automatyczne drzwi się otworzyły. Nareszcie, jest. Pchała przed sobą różową walizeczkę, dwie kolejne ciągnął z mozołem jakiś facet, pewnie taksówkarz. Miała na sobie białą obcisłą sukienkę mini, przez którą prześwitywały koronkowe majtki. Biustonosz nie prześwitywał, bo go nie było. Duży dekolt eksponował okazały biust. Rozejrzał się wokoło, oczy wszystkich facetów były na nią skierowane; uśmiechając się, wymieniali teatralnym szeptem sprośne uwagi. Podszedł do niej, siłąc się na uśmiech.

– Cześć, no jesteś! – Odebrał walizki od mężczyzny. – Dziękuję, ja to już wezmę.

– No hej! – Posłała mu serdeczny uśmiech, zupełnie nie wyczuwając irytacji w jego głosie. – Sorki za spóźnienie, ale szukałam paszportu i nie mogłam znaleźć.

– Przecież ja mam twój paszport.

– No właśnie dopiero potem sobie przypomniałam... – Zaśmiała się perliście.

Podeszli do ławki, na której zostawił chłopca.

– To jest Szymek. Pamiętasz, co ci mówiłem?

– Cześć, Szymon. Jestem Agnieszka. – Kucnęła przed małym i poczochnęła mu włosy. – Jedziemy razem na wakacje. Fajnie, co nie?

Sądząc po minie malca, zrobiła na nim wrażenie większe niż wszystkie samoloty i wieżowce Warszawy razem wzięte. Nie odezwał się, tylko gapił się na jej cycki.

– To co? Idziemy? Trzeba nadać bagaże. – Była w doskonałym nastroju. – Jak leciałam do Egiptu, to tam się nadawało.

– Najpierw ubierz jakąś bluzkę, wszyscy się na ciebie gapią.

– Proszę cię! – Znow zaśmiała się perliście. – Nic nie będę ubierała. Weź ty się na siebie lepiej popatrz... wyglądasz jak jakiś Ruski. Nie masz jakiejś innej koszulki? Buty całe ujebane, nie dziwię się, że cię żona zostawiła.

– Nie przeklinaj, chłopak słucha.

Szymon patrzył na nią z zachwytem. Adam rozejrzał się wokoło. Miała rację, wszyscy podróżni byli ubrani w kolorowe koszulki i spodenki. Na nogach pierwszy raz założone białe adidasy, włosy na żel. Kobiety w krótkich letnich sukienkach. To, że się jej przyglądali, było normalne, była bardzo atrakcyjna. Za to on z Szymkiem zwracali na siebie uwagę niechlujnym wyglądem.

– Zdamy bagaże i pójdziemy do sklepu. – Rozłożył uchwyt jej walizki. – Pomożesz nam coś wybrać.

W sklepie rzeczywiście była niezmiernie pomocna. Szybko ubrała ich od stóp do głów. Kiedy wychodzili, była z siebie bardzo dumna.

– Resztę możesz zatrzymać. – Adam spojrział na zegarek. Do odlotu zostało im piętnaście minut.

– Dzięki! – schowała w dekolt kilka banknotów. – Zajebista koszulka, co nie, Szymuś?

– No, ten krokodyl jest super!

– Nie przeklinaj przy nim.

– Dobra, nie jęcz... – Kiwnęła na chłopca i wzięła go za rękę.

Przy wyznaczonej bramce było kilka pojedynczych osób, reszta pasażerów widocznie już weszła do samolotu. Adam był wściekły. Mieli wejść w tłoku, w zamieszaniu, a zostali sami i cała uwaga stewardessy była skupiona na nich. Informacja o poszukiwanym mężczyźnie z chłopcem na pewno dotarła do odpowiednich służb na lotnisku. Był spięty i świadomość, że może to być widoczne, nie pomagała. Nie zdążył przygotować w myślach powitania, kiedy Agnieszka wyjęła mu z ręki paszporty i bilety. Zanim się zorientował, podała je stewardessie.

– Dzień dobry! – Kobieta zeskanowała karty pokładowe i oddała je Adamowi. – Witamy państwa na pokładzie naszego samolotu. Polecimy razem na wakacje.

– No nie wiem... – Agnieszka zrobiła zatroskaną minę.

– Coś nie tak? – Stewardessa była zaskoczona, Adam nie mniej.

– Nie wiem, czy kapitan jest wystarczająco przystojny!

Zaśmiały się obie.

– Będzie pani zadowolona. – Po chwili kobieta się zreflektowała i zwróciła do Adama: – To bardzo doświadczony pilot.

Agnieszka weszła w rękaw prowadzący na pokład samolotu; Górecki zawołał Szymona, gapiącego się przez szybę na kołujący samolot.

– Leć do mamy! – powiedziała stewardessa i wskazała malcowi drogę.

– To nie jest moja mama, moja mama nie żyje.

Chłopiec pobiegł do Agnieszki. Adam próbował ratować sytuację. Tylko tego brakowało, żeby w tak głupi sposób jego plan się zawalił.

– Syn nie akceptuje drugiej żony... Dla niego to zbyt świeża sprawa.

– Przepraszam, przykro mi... – Była wyraźnie zakłopotana.

Weszli na pokład. Agnieszka usiadła przy oknie. Adam chciał, żeby samolot już wystartował. Kątem oka zauważył, że stewardessa rozmawia z pilotem, dyskretnie na nich wskazując. Po chwili ruszyła w ich stronę, patrząc na małego.

– Szymon, tak masz na imię, prawda? – zwróciła się wprost do chłopca.

– Tak.

– Pójdiesz ze mną gdzieś na chwilę? – Miała poważną twarz.

– A gdzie?

– Kapitan chce ci pokazać kabinę pilotów. Może nawet da ci przymierzyć czapkę – wyjaśniła i uśmiechnęła się do Adama.

60

Basia siedziała przykuta do krzesła. Wychyliła się tak bardzo, jak tylko pozwoliły jej kajdanki.

– Dalej... – jęknęła z wysiłkiem.

– Tutaj? – Kulesza przesunął zawinięty w folię fantom o dziesięć centymetrów, prawie za sedes.

– Tak, mniej więcej tutaj leżała.

– Skąd wiesz, że to była kobieta skoro widziałaś tylko włosy?

– Nie wiem... włosy były długie, czarne. To jakoś tak pomyślałam.

– Dobra, i którądy ją wyniósł? Zwłoki znaczy.

– Tą stroną, prosto do drzwi.

– Mówił coś? Tłumaczył, co robi?

– Nie, a ja się nie pytałam. – Basia była zdenerwowana. Chciała sięgnąć dłonią do twarzy, ale kajdanki zatrzymały rękę. – Możecie mnie już rozkuć?

Kulesza spojrzał na mundurowego funkcjonariusza pomagającego w przygotowaniu wizji lokalnej i skinął głową. Ten podszedł i otworzył kajdanki. Dziewczyna wstała, była roztrzęsiona.

– Chcę już stąd wyjść... – Wspomnienia wróciły, były wciąż żywe.

– Rozumiem, już kończymy. – Kulesza liczył, że to miejsce poruszy jej emocje i przypomni sobie coś, czego nie zeznała wcześniej. – Co było później?

– Zabrał ją, wrócił i długo wszystko sprzątał. Potem zgasił światło i świecił fioletową lampką. Wszedł i już go nie widziałam. Potem zjawił się Kajtek, wyłamał nogę od stołu, oderwał nią krzesło od podłogi i mnie uwolnił.

– Ile czasu mogło upłynąć od wyjścia Góreckiego do twojego uwolnienia? Jesteś w stanie to określić?

– Nie mam pojęcia. – Basia zastanawiała się chwilę. – Nie, nie wiem. Tu nie ma okien i nie wiedziałam, czy jest dzień, czy noc. Siedziałam w ciszy, zupełnie straciłam rachubę czasu.

– Dobrze, to wszystko. – Policjanci zaczęli zbierać rekwizyty. – Dziękuję ci. Wiem, że to było dla ciebie trudne, ale wierz mi, konieczne.

– Kiedy wynosił te zwłoki, nie starał się tego przede mną ukryć... – Dziewczyna spojrzała na komisarza. – Tak, jakby mnie tam nie było... Byłam wtedy pewna, że mnie też zabije.

Powoli pomieszczenie pustoszało. Mundurowi wynieśli połamany stół, metalowe krzesło, fotel, lampy; chwilę zajęło im zdemontowanie ze ściany telewizora. Wszystko zostało zabezpieczone jako dowody w śledztwie. W pustej letniej kuchni zostali tylko Kulesza i Sudoł.

– Ten trup to pewnie Ksenia Cadres. – Paweł rozejrzał się wokół. – Kurwa, strasznie tu.

– Nieźle sobie to wymyślił, jak średniowieczna sala tortur. – Bogdan odruchowo uchylił drzwi. – Pewnie tu ich wszystkich zamordował.

– Ale żeby nie został żaden ślad...? Nawet kropla krwi... włos jakiś...

– Dwie ekipy techników sprawdzały. Słyszałeś, wszystko chuj sprzątnął i sprawdził lampą ultrafioletową. – Znów pchnął drzwi, zamykały się same. – Jeżeli nie znajdziemy ciała, to nie przyklepiemy mu żadnego z tych morderstw.

– Na razie poszły listy gończe za uprowadzenie chłopca. Jak go złapiemy, to będziemy martwić się o resztę. Najpierw musimy go postawić przed sądem.

– Tak. – Kulesza rozejrzał się raz jeszcze. – Powiem ci, że robię w tym zawodzie dwadzieścia parę lat, ale takiego gówna to jeszcze nie widziałem.

Żeby tyle trudu sobie zadać, tak z zimną krwią ludzi mordować. Musi mieć niezły bajzel w głowie.

– Myślisz, że go złapiemy?

– Złapiemy. Albo nie złapiemy i zapomnimy. Tak czy tak wkrótce sprawa będzie zamknięta.

– No nie wiem, ja chyba nie zapomnę... – Kiedy Paweł wypowiadał te słowa, nie myślał ani o Góreckim, ani o chłopcu.

61

Spóźnili się. Kiedy przekazali do systemu dane z fałszywych paszportów zamówionych przez Góreckiego, dostali zwrotną informację z Okęcia. Państwo Woźniakowie wraz z dzieckiem polecili wczoraj wieczorem do Maroka w ramach zorganizowanych wczasów, wycarterowanym przez Itakę samolotem. W pierwszej chwili myśleli, że to pomyłka. Policja i służby lotniskowe szukały mężczyzny z chłopcem, a nie małżeństwa z dzieckiem. Serie paszportów się jednak zgadzały. To musieli być oni. W biurze podróży pracownica potwierdziła, że pan Adam Woźniak wykupił wycieczkę *last minute* do pięciogwiazdkowego hotelu w Agadirze, na zachodnim wybrzeżu Maroka. Zapłacił gotówką za wyjazd dla siebie, żony i syna.

Zuzanna jeszcze w biurze skontaktowała się z rezydentem Itaki. Poprosiła, aby w dyskretny sposób sprawdził, czy państwo Woźniakowie przebywają w hotelu. Była pora obiadowa. Okazało się, że w restauracji pojawiła się tylko pani Woźniak, męża i syna nie było. Rezydent na prośbę aspirant Nowackiej przesłał zdjęcie kobiety. Było dość niewyraźne, bo zrobione ze znacznej odległości. Ze zdjęcia dowiedzieli się, że Agnieszka Woźniak jest młodą, bardzo atrakcyjną blondynką z dużym biustem, ale nic poza tym. Nie była znana policji. Chmielny zaproponował, żeby dla pewności zrobił jeszcze kilka fotek na basenie, ale Zuzanna szybko wybiła mu żarty z głowy i kazała sprawdzić kobietę we wszystkich dostępnych bazach danych. Rezydent miał nie spuszczać pani Woźniak z oczu i natychmiast zadzwonić, jeżeli pojawi się mąż lub syn.

Zadzwoił po godzinie. Dowiedział się w recepcji, że pan Woźniak wraz z chłopcem wsiedli pod hotelem do taksówki i do tej pory nie wrócili. Nie udało mu się namierzyć samochodu ani kierowcy. Jak się okazało, w Maroku popularne są prywatne taksówki, *grand taxis*, prawie wszystkie to stare mercedesy „beczki”. Niemal identyczne. Nie ma w Agadirze żadnych zorganizowanych korporacji taksówkarskich, przez co namierzenie kursu było praktycznie niewykonalne.

Zuzanna poprosiła kolegów ze stołecznej, aby zorientowali się w możliwościach działania w Maroku. Poza Unią Europejską, a zwłaszcza w Afryce, możliwości polskiej policji były bardzo ograniczone. Sama więc zabukowała bilet na najbliższy samolot do Agadiru, zanim zdążyła uzyskać zgodę Sobczyka na wyjazd. Najbliższy lot był za trzy godziny, nie było czasu. Postanowiła porozmawiać z nim już z lotniska.

Komendant nie był zachwycony jej pomysłem, ale sam nie wymyślił nic lepszego. Ostatecznie zgodził się, pod warunkiem że po wylądowaniu skontaktuje się z kimś z ambasady. Na marokańską policję nie mogła na razie liczyć. Uruchomienie procedur musiało potrwać. Na początek Sobczyk kazał jej przesłuchać Agnieszkę Woźniak i ogólnie dowiedzieć się, „co się tam odpięrdala!?”.

Kilka godzin później siedziała w pokoju hotelowym w towarzystwie rezydenta i naburmuszonej Agnieszki Woźniak.

– Nie. Mówię, że nigdzie nie jadę! – Kobieta nie zareagowała najlepiej na opcję natychmiastowego powrotu do kraju. – Mam wykupiony tygodniowy pobyt. Nie ruszę się wcześniej i chuj!

– Zdaje sobie pani sprawę z powagi sytuacji? – Zuzanna traciła do niej cierpliwość. – Tu chodzi o poważne przestępstwo. To nie są żarty. Jeżeli nie będzie pani współpracować, to będzie pani miała duże kłopoty po powrocie do kraju. Możemy nawet panią zamknąć za współudział.

– Jaki współludział?! W czym? Wszystko, co wiem, już powiedziałam.

Nowacka próbowała się uspokoić i myśleć racjonalnie. Może rzeczywiście lepiej, żeby została, na wypadek gdyby Górecki *vel* Woźniak jednak wrócił albo chciał się z nią skontaktować. W sumie zeznania może przyjąć od niej tutaj.

– Dobrze, zostanie pani. – Złagodziła ton. – Tylko musi pani wykonywać wszystkie nasze polecenia. Proszę jeszcze raz opowiedzieć, jak się pani tu znalazła. Po kolei i szczegółowo. To oficjalne przesłuchanie. Proszę mówić tylko prawdę, za fałszywe zeznania, zgodnie z artykułem dwieście trzydziestym trzecim kodeksu karnego, grozi wysoka kara. Rozumie pani?

Agnieszka skinęła głową. Zuzanna wyjęła z torebki dyktafon.

– Będę nagrywać, żeby nic nam nie umknęło. – Nacisnęła przycisk. – Proszę.

– Już? – Policjantka kiwnęła głową. – Adam zadzwonił do mnie jakiś miesiąc temu jako klient. Umówił się na seks. Do niczego jednak nie doszło. Jak to się mówi naukowo...? Nie miał wzrodu prącia. No... nie stanął mu po prostu. Tłumaczył, że to stres, że żona go zostawiła, zdradziła z kolegą. Szczerze mówiąc, nie lubię takich akcji. Co to ja psychiatra jestem? Wolę, jak klient zapłaci i zrobi, co trzeba, po bożemu. Ale on zapłacił podwójną stawkę, no to słuchałam tego marudzenia. Był u mnie jeszcze dwa razy. Jak był ostatni raz, zaproponował specjalne zlecenie. Zapytał, ile biorę za całą noc.

– A ile pani bierze za całą noc?

– Do hotelu dwa tysiące, bez anala – wyrecytowała. – Powiedział, że zależy mu, żeby żona była zazdrosna, żeby zobaczyła, że on też ma super dziewczynę. Chciał, żebym pojechała z nim i jego synkiem na wycieczkę do eleganckiego hotelu za granicę. Obiecał, że zapłaci za pobyt, będzie miło i dostanę ekstra pięć tysięcy złotych za ten tydzień. Nic nie będę

musiała robić, tylko zdjęcia dla żony, nawet nie gołe. Wszystko płacił on. No to się zgodziłam. Fajny urlop i jeszcze pięć tysi na waciki.

– Gdzie się spotkaliście?

– Na lotnisku. Trochę się spóźniłam i był zły. Ale jak wylądowaliśmy, to już był bardzo miły. Wszystko było OK, a rano, jak wstałam, to ich nie było. Rzeczy zabrali i zniknęli. Zdziwiłam się, ale nie miałam zamiaru psuć sobie urlopu i ich szukać. Potem zadzwonił i powiedział, żebym się dobrze bawiła i wracała z resztą wycieczki, bo oni zostaną dłużej. I żebym tego nigdzie nie zgłaszała, bo wszystko jest OK. No to ubrałam sobie bikini i poszłam na basen. Na brak towarzystwa nie mogłam narzekać. – Uśmiechnęła się dwuznacznie.

– Dziękuję. – Zuzanna wyłączyła dyktafon i bez słowa spakowała go do torebki.

I to by było na tyle. Poszła do swojego pokoju, włączyła komputer i zarezerwowała najbliższy lot do Warszawy.

Piotr siedział na starej wersalce pod papierówką. Obok leżała Basia, głowę położyła na jego kolanach. Było to ostatnio ich ulubione miejsce schadzek. Raziło ją słońce, więc musiała zmrużyć oczy. Piotr dokuczał jej, smyrał ją po twarzy włosami z jej grzywki i ukradkiem zaglądał w dekolt. Próbowwała go ugryźć w rękę, ale uciekał. Śmiali się. Miała śliczną, dziewczęcą buzię. Taką, której makijaż mógł tylko zaszkodzić.

Dotknął palcem jej warg. Uśmiech zniknął z jej twarzy, usta rozchyliły się. Tak niewiele było trzeba, żeby rozbudzić pożądanie w ich młodych ciałach. Chwilę muskał usta delikatnie, później wsunął palec trochę głębiej, poczuł wilgotny dotyk jej języka. Basia podniosła się, podciągnęła sukienkę, odsłaniając zgrabne uda, i bez słowa usiadła przodem na jego kolanach. Objęła go ramionami i pocałowała namiętnie. Odwzajemnił czułość. Ostatnie wydarzenia uświadomiły im, jak wiele dla siebie znaczą. Nagle przestała go całować, odsunęła się trochę.

– Dostałam pracę. – W jej głosie nie było radości. – Za tydzień mam przyjechać do Warszawy.

– Super, co to za praca? – Trochę jeszcze oszołomiony pieszczotami splótł ręce za jej plecami.

– W dziale PR dużej korporacji. Na razie to staż, ale mają mnie później zatrudnić, jak się sprawdzę.

– Na pewno się sprawdzisz! – Uśmiechał się do niej.

– Zobaczmy... – Też się uśmiechnęła, ale jakoś półgębkiem, jakby nie takiej odpowiedzi oczekiwała. – Myślałam... miałam nadzieję, że ze mną pojedziesz.

– Pewnie, że pojedę. Na pewno znajdzie się w Warszawie posada dla młodego obiecującego księdza.

Spojrzała na niego, żeby sprawdzić, czy mówi serio. Nie wytrzymał i roześmiał się głośno.

– Bardzo śmieszne, wiesz – skomentowała z lekkim wyrzutem.

– Pojedę z tobą, ale najpierw pojedziemy do Sandomierza. Muszę powiedzieć jednemu upartemu proboszczowi, żeby już nie trzymał dla mnie miejsca na parafii, bo podjąłem decyzję, że definitywnie zrzucam sutannę.

– Czyli już nie będziesz księdzem i ożenisz się ze mną?!

– Właściwie to od dawna chciałem ci się oświadczyć, tylko nie mogłem wymyślić nic wyjątkowego...

Nie zdążył dokończyć, bo pocałowała go mocno i długo. Podniecenie wróciło w jednej sekundzie. Wsunęła palce w jego włosy, odgarniając je do tyłu. Odchyliła się i przysunęła jego głowę, aby ustami pieścił jej szyję. Piotr położył dłonie na małych, jędrnych piersiach. Zsunął z niej sukienkę i całował sutki. Poczowała między nogami jego podniecenie. Westchnęła i instynktownie poruszyła biodrami, naciskając na niego całym ciałem. Odwzajemnił ruch. Ich biodra zaczęły kołysać się rytmicznie. Jego ręce zsunęły się z piersi i mocno ścisnęły jej pośladki. Kiedy się uniosła, zdjęła spodenki. Szybko włożyła rękę pod sukienkę i przesunęła majtki. Zastygli na chwilę, jakby ich wiedza, co robić, na tym się kończyła. Natura pokierowała nimi. Basia zagryzła usta i uniosła brwi. Kilkoma powolnymi ruchami wprowadziła go w siebie całego. Ich ciała znów zaczęły się rytmicznie poruszać, a twarze wykrzywiły grymasy rozkoszy. Nie trwało to długo. Wokół zawirował kosmos i opadli bez sił, wtulając się w zakamarki siebie. Chwilę tak trwali, oboje łapiąc oddech.

– Teraz to już musisz się ze mną ożenić... – odezwała się pierwsza.

Siedzieli zetknięci czołami, jej wilgotne włosy dotykały jego twarzy.

– Teraz to już nic nie jest w stanie mnie powstrzymać... – odparł spokojnie.

Jechali już piątą godzinę. To był czwarty dzień podróży, a właściwie ucieczki. Z Merzougi do Mahamid było prawie czterysta kilometrów. Taksówkarz jechał naburmuszony, chociaż Adam dał mu o dwadzieścia euro więcej za kurs, niż ten zażądał. Może rzeczywiście trochę za ostro kazał mu wyłączyć radio, ale był już zmęczony i miał dosyć tego arabskiego pitolenia. Poza tym Szymek spał. Monotonia krajobrazu i upał w aucie sprawiły, że jego też morzył sen. Księżycowe widoki za oknem nie zmieniały się od kilkuset kilometrów. Góry i piach. Przez całą drogę minęli tylko kilka samochodów i grupę motocyklistów. Już Merzouga wydawała się końcem świata, a oni kierowali się jeszcze kawał drogi na południe, aż do granicy z Algierią.

Czuł niepokój. W opisach internetowych i na zdjęciach z forów Maroko wyglądało egzotycznie, lecz przyjaźnie. W rzeczywistości był to biedny i surowy kraj. Zwłaszcza na południu. Zastanawiał się, czy dadzą sobie radę na tym odludziu. Czy Szymek wytrzyma. Co prawda chłopcu podobało się w Marrakeszu i Tangerze, ale to było zupełnie co innego. Gwarne, pełne kramów i atrakcji turystycznych miasta co chwila wywoływały u niego śmiech i ekscytację. Niestety tam nie mogli zostać, ryzyko było zbyt duże. Za dużo policji i Polaków. Przejazd przez kilka dużych miast był jednak częścią planu. W każdym spali jedną noc, aby odpocząć, potem wynajmowali kolejną taryfę i jechali do następnego miasta. Tym sposobem Adam chciał całkowicie zatrzeć ich ślad. Nawet jeżeli policjantom udałoby się jakimś cudem namierzyć taksówkę, którą wyjechali z hotelu w Agadirze, kolejne przesiadki na pewno ich zgubią.

Ostatecznym celem ich podróży było Mahamid. Małe miasteczko położone w dolinie rzeki Wadi Dara. Mieszkało tam zaledwie dwa tysiące ludzi. Riad, lokalny hotelik, do którego jechali, był stosunkowo tani, a do tego położony na uboczu. Nie martwiło go to, nie potrzebowali wygod. Byle była woda i łóżko. Wszystkie inne potrzebne im rzeczy kupił po drodze. Lekkie ubrania, kosmetyki, trochę zabawek i piłkę. Na początek powinno wystarczyć. Poważniejsze zakupy, przede wszystkim kupno jakiegoś środka transportu, zostawił na później. Mahamid miało być ich schronieniem na kilka tygodni. W międzyczasie znajdzie sposób przeniesienia się w bardziej cywilizowane miejsce, gdzie Szymek będzie mógł dorastać wśród rówieśników i chodzić do szkoły.

Na razie najważniejsze było zniknąć. Musiał też mieć trochę spokoju, żeby wszystko od nowa poukładać. Powoli kończyły mu się pieniądze. Jego prawdziwe konto policja zablokowała, gdy tylko wykryli, jak się nazywa. Nie zdążył wybrać kilkunastu tysięcy złotych, które miał odłożone. Pieniądze przepadły. Od jakiegoś czasu korzystał z konta, które przezornie założył cztery miesiące temu, podstawiając w banku lokalnego pijaczka. Po całej operacji odpalił mu dwieście złotych, wcześniej aktywując karty do rachunku i obsługę internetową. Hasła i PIN zmienił od razu, chociaż nie przypuszczał, żeby tamten próbował dostać się do jego środków. Ostrożności jednak nigdy za wiele. Przed wyjazdem wybrał większość pieniędzy, które mu zostały, wymienił na euro i zabrał w gotówce. Teraz zostało tego niewiele.

Brak pieniędzy nie martwił go jednak specjalnie. Jeszcze w Polsce wysłał pod fałszywym nazwiskiem CV do kilku firm szukających ludzi z jego doświadczeniem zawodowym. Załączone lewe rekomendacje zrobiły wrażenie i został zaproszony na rekrutacyjną wideorozmowę przez dużą irlandzką firmę IT. W bezpośrednim kontakcie bez trudu pokazał swoje

atuty, HR-owiec był zachwycony. Po krótkich negocjacjach ustalili wysokość jego zarobków i firma przesłała mu mailem umowę do podpisania. Nie były to może duże pieniądze jak na europejskie warunki, ale w marokańskich realiach na pewno nie będzie musiał się o nic martwić i spokojnie odłoży coś na start, kiedy będą już mogli wrócić do cywilizacji.

– *Mister, Mahamid!* – Rozmyślenia przerwał mu kierowca taksówki, pokazując palcem zabudowania w oddali. – *Five minutes.*

Po krótkim czasie wjechali do miasteczka. Rozrzucone na skraju pustyni domostwa otoczone były murami. Skromne parterowe budynki zrobione z gliny i słomy, na bazie drewnianych rusztowań. Wokół piach i pył. Nędzna roślinność stanowiła rzadkie urozmaicenie. Taksówkarz kilka razy zatrzymywał się, żeby zapytać o drogę. Przejechali miasteczko i skręcili w kamienisty trakt.

Po kilkuset metrach dojechali do miejsca, gdzie mieli spędzić najbliższe tygodnie, a może miesiące. Dom, w którym pokój zarezerwował, nie różnił się od innych w okolicy. Na podwórku przywitał ich gospodarz ubrany w tradycyjną berberyjską szatę, pewnie na okoliczność przyjazdu turystów. Miał na sobie błękitną dżelabę i biały turban, który przechodził w rozwianą na wietrze chustę. Goście rzadko tu docierali, co potwierdzała liczba ukłonów i zapraszających gestów właściciela hoteliku. Taksówkarz odjechał, wyładowawszy wcześniej ich skromny bagaż.

W czasie kiedy Adam żegnał się z kierowcą, dzieci gospodarza zaniósły ich walizki do pokoju. Właściciel hoteliku zaprosił ich na przygotowaną wcześniej kolację. Skromny posiłek był tak naprawdę poczęstunkiem tym, co w domu było najlepsze. Ciepłe potrawy podawał mały chłopiec, jak się okazało najmłodszy syn właściciela. Miał na imię Hassan.

Paweł przyglądał się swoim opalonym dłoniom. Na białej klawiaturze wyglądały nienaturalnie. Ślad po obrączce wyraźnie się odznaczał. Mocno się dziś z Bożeną pokłócili, chociaż zaczęło się od jakiejś błahostki. Wyszedł z domu zostawiając demonstracyjnie obrączkę na stole. W ostatnim czasie niewiele było im potrzeba, żeby skoczyć sobie do oczu. Teraz wspomnienie porannej wymiany zdań przygnębiło go, już nawet się nie złościł. Z kuchni swojego mieszkania, gdzie zawędrował myślami, wrócił do pokoju przesłuchań.

– To musieli wyrzucić ci, co kupili mieszkanie po Kamińskim, spod dwunastki. Jak można wyrzucić na śmietnik krzyżyk? – Kobieta nachyliła się i ściszyła głos. – I świerszczyki, proszę pana komisarza, też tam były, razem ze Świętą Panienką w jednym pudełku.

Sudoł patrzył na nią przez moment, jakby zastanawiał się, kim jest i co tutaj robi. Starsza kobieta, poruszona swoim odkryciem, czekała na jego reakcję. Był rozkojarzony. Chwilę musiał się zastanowić, żeby przerobić jej zeznanie na formalny język nadający się do policyjnego raportu.

– Świerszczyki, czyli pisma pornograficzne?

– Świństwa! – Staruszka z satysfakcją przyjęła jego zainteresowanie. – Gołe baby!

– To wolno wyrzucać... – Jednostajnie stukając w klawisz, wykasował ostatnie zdanie. – To wystarczy. Zajmiemy się tą sprawą.

– Kamińska kupiła teraz mieszkanie na Kopernika, dwa pokoje z jasną kuchnią. Balkon piękny! Na pierwszym piętrze. I podobno tanio. Ale

świętych obrazków nie zabrała... Kurwa jedna! Będzie się w piekle smażyć.

– Wystarczy. – Miał jej już dość. – Do widzenia. Odezwiemy się.

Kobiecina wyszła, nie do końca zadowolona. W progu zawahała się, chciała jeszcze coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Zamknęła drzwi.

– Ja pierdołę... – Paweł wziął głęboki oddech i opadł na krzesło z rękami założonymi za głowę.

Był to jego pierwszy dzień w pracy po urlopie, a Sobczyk przydzielił mu taką głównianą sprawę. Przekaz był aż nadto klarowny, mści się kutas. Ich porażką żyło całe miasto. Wszystkie gazety ich obsmarowały. Na lokalnej policji, z komendantem na czele, nie zostawiły suchej nitki. Od świętego oburzenia do kpin i internetowych memów. Wszystko zaczęło się od wybuchu domu w Krawcach i ucieczki Góreckiego. Szambo wylało się na dobre dwa dni później, kiedy jeden z gorzyckich policjantów postanowił zostać celebrytą i udzielił obszernego wywiadu lokalnej telewizji, opisując barwnie wydarzenia tamtego dnia. Sprytnie zmanipulowany przez prowadzącego, niezbyt rozgarnięty funkcjonariusz stworzył wersję wydarzeń, w której wyszedł na całkowitą łajzę, a policja na bandę nieudaczników. Sobczyk wpadł w szal, wsiadł w radiowóz i pojechał do Gorzyc, osobiście „pogratulować” mu występu. Żeby uciąć i wyciszyć sprawę, zespół ścigający Góreckiego został rozwiązany w trybie natychmiastowym. Kulesza i Chmielny dostali od komendanta na drogę po serdecznym chuju w dupę i wyjechali do swoich jednostek, Zuzanna miała zostać w Warszawie, a Paweł wziął zaległy dwutygodniowy urlop. Spędził go w Chorwacji, siedząc na rozkładanym krzeselku i popijając karlovačko z puszki. Bożena wykazała się nadzwyczajną empatią i zajęła się dziewczynkami, pozwalając mu upadlać się w spokoju i samotności.

Teraz zakończył przesłuchanie i wrócił do swojego pokoju. Na tablicy wciąż wisiał portret pamiątkowy Adama Góreckiego i inne zgromadzone w śledztwie materiały. Podeszedł do ściany i zaczął zrywać wszystko po kolei, a następnie wkładać do teczki. Najchętniej wyrzuciłby to do kosza, ale każdy pojedynczy papier musiał trafić do akt.

Zadzwoił telefon stojący na jego biurku, połączenie z dyżurki.

– Co jest? – burknął.

– Jakaś stara baba chce z tobą rozmawiać – w słuchawce odezwał się dyżurny.

– Niech się odpierdoli!

– Tak jej powiedzieć?

– Powiedz, że zeznanie spisałem, wszystko już wiem i podejmiemy odpowiednie czynności. I niech się odpierdoli.

– Ale to nie ta, co rano zeznawała, inna. – Słyszał, że policjant z kimś rozmawia. – Nazywa się Adela Cholewiak i przyszła w sprawie poszukiwanego chłopca z domu dziecka.

Cholewiak, wdowa po tym podejrzanym dyrektorze banku, co chciał adoptować Adama Góreckiego. Przypomniał sobie, że mieli do niej jechać z Zuzanną w dniu, kiedy namierzyła Góreckiego w domu Rewery.

– Daj ją do pokoju przesłuchań. – Chwilę się wahał. – Albo nie... niech poczeka na dole. Już schodzę. I nie mów nic komendantowi, ja się tym zajmę.

Piotr wyjął z zamrażarki nowe opakowanie parówek i wyłożył kilka na rolkowego grilla. W poniedziałkowe poranki stacja zawsze była pełna klientów. Tak mówili mu na sobotniej zmianie i rzeczywiście, była jedenasta, a oni dopiero teraz mieli chwilę wytchnienia. Całe przedpołudnie pan Staszek stał przy kasie, przyjmował płatności za paliwo, a on obsługiwał maszynę do hot dogów.

– Piotruś, idę się wysrać, a ty pilnuj interesu! – Pan Staszek zamknął szufladę kasy. – I zrób mi dużego z kabanosem. Jak wrócę, to opierdolę. Wpisz tam do zeszytu, że ci spadł.

– Robi się, panie Stasiu! – odparł i włożył do opiekacza dużą pszenną bułkę, po czym wpisał do zeszytu hot doga na swoje nazwisko. Pracownicy mogli robić w ten sposób zakupy i rozliczać się przy wypłacie.

Piotr mieszkał w Warszawie już od dwóch tygodni. Razem z Basią. Ona dostała staż w korporacji, a on pierwszego dnia po przyjeździe zobaczył kartkę z ofertą pracy w witrynie stacji benzynowej, i tak się tu znalazł. Z mieszkaniem też wszystko ułożyło się nadspodziewanie dobrze. Przed wyjazdem do Warszawy poprosił ojca o jakieś pieniądze na start. Pojechali razem do banku w Gorzycach. Okazało się, że na koncie jest ponad trzysta tysięcy. Był zaskoczony, ojciec zresztą też. Zawsze żyli skromnie, a po śmierci matki nie wydawali pieniędzy prawie w ogóle. W seminarium Piotr wszystko miał za darmo, a ojciec swoje potrzeby ograniczył do zakupu raz w roku pary butów i spodni. Koszule dostawał w prezencie od syna, po jednej na święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Ostatni większy wydatek, jaki sobie przypomnieli, to naprawa dachu na domu babci pięć lat

temu. Nic więc dziwnego, że przez wszystkie lata ciężkiej pracy w polu z faktur płaconych przelewem przez firmę skupującą jabłka uzbierała się okrągła sumka.

Piotr miał skrupuły, czy powinien wziąć wszystko, ale kiedy zobaczył radość na twarzy ojca, wątpliwości zniknęły. Jego praca przestała być wreszcie sensem samym w sobie, nabrała wymiernej wartości. I to dawało staruszkowi radość i satysfakcję. Basi w żartach powiedział, że chciał ją sprawdzić, czy aby na pewno nie leci na kasę. Śmiała się i oświadczyła, że gdyby wiedziała, to już dawno wzięłaby się za jego ojca.

Kupili małe, dwupokojowe mieszkanie na Bemowie. W zasadzie kawalerkę, ale kuchnia była przeniesiona do salonu i w ten sposób powstał dodatkowy pokój. Nie targowali się, więc gdyby zapobiegliwa właścicielka nie dopytała o ich sytuację finansową i sama nie obniżyła ceny o kilka tysięcy, zabrakłoby im na notariusza i pewnie transakcja nie doszłaby do skutku.

Pomalowali wszystkie pomieszczenia na biało. Kiedy pozbyli się starych mebli z pourywanymi drzwiczkami, mieszkanie zrobiło się puste i musieli je wyposażać. Na początek kupili więc największe łóżko, jakie znaleźli w Ikei. Ramę przewieźli w paczkach taksówką, ale materac się nie zmieścił. Wieźli go więc we dwójkę autobusami i metrem przez całe miasto, mając przy tym mnóstwo radości. Od czasu do czasu rozkładali materac na trawniku, kładli się, żeby odpocząć i gapili na przelatujące ptaki i samoloty. Rozbawieni pasażerowie komunikacji miejskiej spoglądali na nich trochę z sympatią, trochę z zazdrością. Nie widzieli poza sobą świata. Młodzi, piękni i zakochani. Można było z nimi nakręcić spot reklamujący miłość.

Teraz Piotr patrzył na obracające się parówki i uśmiechał się do siebie.

– Dzień dobry! – Odwrócił się, kiedy usłyszał głos. Przy ladzie stała klientka. – Nie wierzę! Ksiądz Piotr? Co pan tu robi?

– O, dzień dobry! – Piotr od razu poznał aspirant Nowacką. – Pracuję na tej stacji. Mieszkam teraz w Warszawie.

– No proszę, to będziemy się widywać. – Uśmiechnęła się. – Ja tu często wpadam na hot doga. Jaki ten świat mały! Poproszę jednego, z parówką.

– Jasne... – Miał niewyraźną minę. – Tylko dołożyłem przed chwilą kilka z zamrażarki i nie wiem, którą pani dać, żeby była ciepła.

– Tę trzecią. – Zuzanna zaglądnęła przez szybę. – Będzie już gotowa.

– Skąd pani wie?

– Jestem detektywem, prawda? – Mrugnęła do niego i uśmiechnęła się szerzej. – Poproszę trochę keczupu i musztardy, ale nie za dużo, bo zawsze się uciapię.

Po chwili podał jej owiniętego w chusteczkę hot doga.

– Złapaliście go? – spytał jakby od niechcenia.

– Nie... – Spowaźniała, choć próbowała się trochę sztucznie uśmiechać.

– I już chyba nie złapiemy.

– I co będzie?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Będę łapać innych. Na świecie jest wielu drani. Do widzenia!

Podeszła do samochodu i dotknęła klamki, auto otworzyło się automatycznie. Okazało się, że zostawiła w środku telefon. Dzwonił, kiedy wsiadała, ale nie zdążyła już odebrać. Na wyświetlaczu była informacja o trzech nieodebranych połączeniach. Wszystkie od Pawła. Ugryzła hot doga, parówka w środku była całkiem zamrożona.

– Cholera...

Wypluła odgryziony kęs w chusteczkę i wybrała ostatni numer z historii nieodebranych połączeń.

Krzyki i gwizdy słycać było chyba na całej pustyni. Arabowie to bardzo hałaśliwy naród, a tamtejsze dzieci wrzeszczą cały czas. Obok hoteliku, w którym mieszkali, Adam razem ze starszymi synami Dżamila, bo tak nazywał się gospodarz, wybudowali boisko do piłki nożnej. W zasadzie to tylko zrobili prowizoryczne bramki z drewnianych kołków znalezionych w ruinach starej glinianej szopy.

Teraz co wieczór aż do zachodu słońca schodziła się tu dzieciarnia z okolicznych domostw. Wszyscy w wyświechtanych strojach sportowych z emblematami wielkich europejskich klubów. Najwięcej chłopców biegało w koszulkach Liverpoolu z Salahem na plecach, ale było też kilku Messich i Ronaldo. Szymek i Hassan mieli meczówki Bayernu z dziewiątką i nadrukiem „Lewandowski”. Boisko nie miało linii bocznych, zdarzało się więc, że dwóch zawziętych zawodników biegło z piłką gdzieś pod wydmy, za horyzont. Reszta siadała wtedy na ziemi, grała w jakąś arabską grę polegającą na przerzucaniu kamyczków w dołkach i spoglądała od czasu do czasu w ich kierunku. Szymek i Hassan zawsze grali w jednej drużynie. Zaprzyjaźnili się i byli prawie nierozłączni.

Adam uczył Szymka angielskiego i matematyki, ale chłopcu nie było łatwo się skupić, bo w oknie co chwila pojawiała się rozczochna czupryna Hassana i jego czarne oczy. W końcu mężczyzna pozwolił małemu siedzieć razem z nimi, a z czasem zaczął zadawać mu też proste zadania. Malec był bardzo pojętny, szybko zapamiętywał angielskie wyrazy i zwroty.

Tego dnia zajęcia już były skończone i mogli pójść na boisko, co było od jakiegoś czasu kulminacyjnym punktem każdego popołudnia. Adam miał

mniej pracy i dziś mógł zagrać z nimi. Jak zwykle stał na bramce w drużynie Szymka. Banda dzieciaków biegła za piłką w jego stronę, wzniesając za sobą tumany kurzu. Próbował dojrzeć piłkę w tym całym zamieszaniu, ale przeleciała obok. W ostatniej chwili Hassan kopnął ją, ratując drużynę przed stratą gola. Chłopcy z zespołu wiwatowali. Adam chwycił go w euforii i połaskotał.

Nagle znów to przyszło. Poczł podniecenie i prawie odruchowo przycisnął drobne ciało chłopca do krocza. To było silniejsze od niego, nie mógł nad sobą zapanować. Podniósł malca do góry, odwrócił od pozostałych, zasłaniając swoim ciałem, i włożył mu rękę w spodenki. Mały piszczał, śmiał się i wrywał, nie rozumiejąc, co się dzieje. Trwało to kilka sekund, ale Górecki był bliski wytrysku. Puścił Hassana i czekał, aż podniecenie minie.

Wtedy zobaczył Dżamila. Stał obok ogrodzenia i przyglądał mu się. Chwilę patrzyli sobie w oczy i Adam był przekonany, że tamten wszystko widział. Jego wzrok i zacięty wyraz twarzy nie pozostawiały złudzeń. Zimny pot spłynął mu po plecach. Czekał na reakcję ojca małego Hassana. Czekał, aż rzuci się na niego z pięściami, przewróci i będzie kopał. Czekał, aż przepędzi go ze swojego domu. Nie broniłby się. Przyjąłby ten ból z pokorą, bo na niego zasłużył.

Dżamil odwrócił się jednak bez słowa i wszedł do wnętrza domostwa. Adam został sam, chłopcy pobiegli za piłką pod drugą bramkę. Nie miał już ochoty na grę, zresztą czy w ogóle kiedykolwiek miał właściwie na nią ochotę? Czy była to tylko doskonała okazja do obcowania z chłopcami? Brzydził się siebie i nienawidził. Chciał konfrontacji, chciał ponieść karę.

Poszedł w kierunku drzwi, za którymi zniknął ojciec Hassana. Wewnątrz było ciemniej niż na zewnątrz, w oknach wisiały wzorzyste dywany, takie same jak na podłodze. Za ladą prowizorycznej recepcji stał Dżamil. Adam

podszedł i czekał. Arab spojrział na niego i chwilę tak trwali. W końcu gospodarz odwrócił się na moment i postawił przed nim miskę z owocami. Suszone daktyle i małe jabłka. Adam nie rozumiał tego gestu. Udaje, że niczego nie widział? Że nic się nie stało? Może rzeczywiście nie zauważył? To było jednak niemożliwe, jego oczy mówiły co innego.

– Owoce dobre. – Dżamil podał mu daktyla z miski. – Ale drogie. Dla ciebie, *mister*, dwadzieścia euro. Przyniesie do twojego pokoju Hassan wieczorem. Jak ty będziesz chciał więcej owoców, to przynieś miskę i postaw tu.

Adela Cholewiak mieszkała sama w dużej willi z lat siedemdziesiątych, w jednej ze starych dzielnic Sandomierza. Na uboczu, ale bardzo blisko Rynku. Leciwy dom miał typowy kształt sześcianu, podniszczoną elewację i zaniedbany ogród z przerośniętymi drzewami owocowymi. Można powiedzieć, że był personifikacją starości, a pani Adela idealnie komponowała się z tym obrazem. Wewnątrz czuć było męczący zapach starego, wysuszonego drewna. Jak w tanich domkach letniskowych w upalny dzień.

Zuzanna rozglądała się po pokoju. Siedzieli we dwójkę przy masywnym, okrągłym stole w przestronnym salonie. Ciężkie dębowe meble, boazeria i myśliwskie trofea wiszące na ścianach były oznakami minionego bezpowrotnie dobrobytu panującego niegdyś w tym domu. Nad kominkiem wisiały szable i nieudany portret nieżyjącego pana domu w arystokratycznej pozie.

Paweł był tu już wcześniej. Teraz przyglądał się Zuzannie. Na stole przed nimi leżał list, powód przyjazdu Nowackiej z Warszawy i ich dzisiejszej wizyty.

Gospodyni weszła do salonu; niosła tacę z trzema filiżankami i ciastem. Zuzanna z przyjemnością wciągnęła zapach aromatycznej, świeżo mielonej kawy. To była miła odmiana.

– Świeżo mielona... – Pani Adela postawiła przed nimi filiżanki i talerzyki. – Mam nadzieję, że sernik będzie smakował.

Nowacka upiła łyk czarnej, gorącej kawy i stwierdziła w myślach, że to najlepsza kawa, jaką piła w trakcie całego swojego pobytu w Tarnobrzegu.

Nałożyła sobie kawalek sernika.

Nie spieszyli się z rozmową, pierwsze zaskoczenie i ekscytacja wynikające z treści listu, który Adela Cholewiak przyniosła na komendę, już minęły. Paweł przeczytał go Zuzannie przez telefon. List był w kopercie adresowanej do prokuratury. Cholewiak przed śmiercią szczegółowo opisał w nim na kilku kartkach pedofilski proceder, w którym brał udział. Nie wybielał się. Widać było, że bardziej zależy mu na pogrążeniu innych niż na zrzuconiu z siebie odpowiedzialności. To się czuło i dlatego list wydawał się wiarygodny. Opisywał w nim, jak pod pretekstem przygotowań do adopcji zabierał małych chłopców z domu dziecka w Durdach. Wieczorem odurzał ich i zamiast do sierocińca woził do myśliwskiego domku w lesie, należącego do jednego z członków pedofilskiej grupy, na stałe mieszkającego pod Sandomierzem. Tam, pod przykrywką polowań, na które zresztą czasami chodzili, zjeżdżali się inni, odbywały się libacje, a dzieci były wykorzystywane seksualnie. W liście pojawiło się kilka nazwisk ofiar i tylko jedno nazwisko oprawcy. Według Cholewiaka wszystkim kierował dyrektor domu dziecka Stanisław Gołąbek. Nie tylko kierował, ale też sam brał udział w homoseksualnych orgiach. Do pokoju, gdzie przetrzymywali ofiary, zawsze wchodził w masce, żeby dzieci go nie rozpoznały. To on wybierał chłopców i dbał, żeby dokumenty w sierocińcu nie budziły podejrzeń w razie kontroli. On też zbierał pieniądze od innych pedofili i płacił Cholewiakowi. I to dużo. Czasem w dolarach i w euro. Zdarzały się też inne waluty. Raz Cholewiak dostał cztery razy więcej, niż powinien, bo Gołąbek nie znał kursu szwedzkiej korony. Brudny proceder trwał blisko dwa lata, aż do czasu gdy jedna z ofiar zobaczyła twarz Gołąbka. Ten przestraszył się, że chłopiec go rozpozna, i zwinął interes. Dzieciaka przeniósł do sierocińca, gdzieś w innej części Polski. Cholewiak nie chciał jednak zrezygnować z łatwego źródła dochodu, które pozwalało

mu wygodnie żyć mimo ciągłych przegranych w pokera. Zarządzał dalszych, systematycznych wpłat w zamian za milczenie.

Szantaż podziałał na Gołąbka jak płachta na byka. Posypały się groźby. Jak się później okazało, nie były puste. Nikt, kto przeczytał list, nie mógł mieć wątpliwości, że śmierć Cholewiaka na polowaniu to nie był wypadek. Zuzanna też nie miała wątpliwości, przyjechała do Sandomierza jeszcze tego samego dnia. Po drodze miała więc czas ochłonąć, a było po czym, bo wiadomości były sensacyjne.

Sudoł nic nie powiedział na komendzie o nowym dowodzie. Sobczyk dostawał szału na każde wspomnienie sprawy Góreckiego. Postanowili najpierw porozmawiać ze świadkiem we dwoje. Tak zaproponował Paweł, a Zuzanna na to przystała.

Pani Adela w milczeniu zamieszała kawę i zaczęła opowiadać.

– Nie miałam pojęcia, co się dzieje. – Ruchem głowy wskazała na leżący przed nią list. – Wszystkiego dowiedziałam się z tego. Wiedziałam, że mąż miał długi. Grał w karty. Nic mi nie mówił, ale dowiedziałam się od ludzi, że miał też problemy w pracy, w banku. Podobno zginęła znaczna suma pieniędzy. Zapytałam go i przyznał się, że ukradł te pieniądze. Błagał o pomoc i obiecywał poprawę. Wtedy jeszcze go kochałam. W banku pozwolili załatwić wszystko po cichu, bo nie chcieli afery. Sprzedaliśmy mieszkanie po moich rodzicach i przez kilka miesięcy było dobrze. Za to, co zostało, pojechaliśmy nawet na wczasy do Chorwacji. Potem znów był nerwowo, pił i miał o wszystko pretensje. Pewnego dnia wrócił cały w skowronkach i oznajmił, że nasze kłopoty się skończyły. Powiedział, że będziemy się starać o adopcję dziecka. Nie mogliśmy mieć swojego. Nie myślałam wcześniej o adopcji, ale byłam szczęśliwa. Bardzo chciałam mieć dziecko.

– W którym to było roku? – zapytała Zuzanna, która skrzętnie zapisywała wszystko w notesie.

– Mąż zginął w dwa tysiące drugim, a to było około rok wcześniej. Pojechaliśmy razem do domu dziecka w Durdach. Jeździliśmy tam potem wiele razy. Pamiętam, że za którymś razem przyłgnęła do mnie taka mała dziewczynka, Ania. Chciałam ją zabrać, wierzyłam w tę adopcję. Ale mąż z dyrektorem przyprowadzili chłopczyka. Zawsze przyprowadzali chłopców.

– Przypomina sobie pani, jak się nazywali?

– Nie pamiętam, ale to jest w liście. Powiedzieli, że zabierzemy go do domu, żeby się lepiej poznać. Mąż nie chciał nawet słuchać o tej małej. Wieczorem odwiózł chłopca. Już go więcej nie zobaczyłam. Nie zdążyłam mu nawet zrobić kolacji, tak się spieszył na nocne polowanie. Wcześniej zabraliśmy jeszcze dwóch, może trzech. Ale dzieci mogło być więcej, bo raz przypadkowo spotkałam go na rynku z chłopcem, którego do domu nie przyprowadził. – Zamilkła na chwilę. Nie patrzyła na nich, było jej ciężko.

– Ten list mąż mi dał na miesiąc przed śmiercią. Powiedział, że to jest jego zabezpieczenie, polisa na życie. Kazał mi zanieść go na policję, jak mu się coś stanie.

– Dlaczego nie zaniósła pani listu zaraz po śmierci męża? – dopytał Paweł.

– Proszę pana, mój mąż nie był dobrym człowiekiem. Dużo pił, był porywczy... – Trudne wspomnienia wróciły. – Jego śmierć zamknęła przykry okres w moim życiu. Po pogrzebie, płacząc, otworzyłam kopertę, ale w trakcie czytania łzy jakoś same przestały lecieć. W imię czego miałam nagłośnić tę sprawę? Żeby zniszczyć sobie resztę życia? Żeby pomścić męża, który był dla mnie jak obcy człowiek, a na koniec okazał się zwykłym bydlakiem? Pochowałam go i od tamtej pory nie byłam na jego grobie. Jakiś czas temu, kiedy usłyszałam w telewizji, że zginął chłopiec z

tego domu dziecka, postanowiłam list pokazać. Stara jestem, schorowana, więc już mi wszystko jedno, a sprawy tego świata trzeba pozakładać.

Było już po drugiej, a Paweł wciąż nie mógł usnąć. Ta sprawa pochłonęła go bez reszty. List Cholewiaka odsłonił drugie dno mrocznej historii Góreckiego. Zgadzał się z Zuzanną, że to nie może się w ten sposób skończyć. Nie mogli tego tak zostawić mimo gęstej atmosfery wokół sprawy w tarnobrzesckiej komendzie. Sudoł chciał od razu przesłuchać wszystkie ofiary, których nazwiska wymienił Cholewiak w swoim liście, i postawić zarzuty Gołąbkowi. Zuzanna ostudziła jednak jego zapał. Porównała daty i okazało się, że za zbrodnie popełnione względem innych dzieci nie mogli dziś ścigać sprawców. Każdy z wykorzystywanych chłopców skończył już trzydzieści lat, a od przestępstwa upłynęło więcej niż dwadzieścia. To wypełniało warunki przedawnienia. Absurdalne przepisy. Było oczywiste, że żaden prokurator nie rozgrzebie znowu tej sprawy tylko na podstawie listu sprzed dwudziestu lat, którego autor na dodatek nie żyje. Dlatego kluczowe było odnalezienie Adama Góreckiego. Miał dwadzieścia osiem lat, mogli więc postawić zarzuty za czyny pedofilskie popełnione na nim. Jednak jedyny w świetle prawa pokrzywdzony i najważniejszy świadek ukrywał się gdzieś na końcu świata.

Niespodziewanie telefon na nocnym stoliku Pawła zadźwięczał. W panującej ciszy zabrzmiało to przeraźliwie głośno, a ekran oświetlił sypialnię. Sięgnął po niego i szybko wygasił.

– „Śpisz?” – to był SMS od Zuzanny.

– „Nie” – odpisał i spojrzał na Bożenę. Nie obudziła się, przekreśliła tylko na drugi bok.

– „Mogę zadzwonić?”.

– „Zaczekaj” – Paweł odpisał i ostrożnie wysunął się z łóżka.

– „OK, zadzwoń Ty” – przeczytał, wychodząc z sypialni.

Kilka ostatnich tygodni zbliżyło ich do siebie. Wciąż go trochę peszyła, ale był prawie pewien, że też coś do niego czuje. Też... Uśmiechnął się. Chyba po raz pierwszy przyznał się przed sobą, w ten dość pokrętny sposób, że się w niej podkochuje.

– No hej! – Złapał się na tym, że nieświadomie zniżył głos. – Też nie możesz usnąć?

– Co? Nie, ale wymyśliłam coś. – Paweł poczuł lekkie rozczarowanie. Nie wiedzieć czemu liczył na jakiś flirt, a ona bez wstępu przeszła do rzeczy. – Posłuchaj, motywacją Góreckiego jest zemsta. Jeżeli pozna prawdę, zrobi wszystko, żeby Gołąbkowi zbrodnia nie uszła płazem, tak?

– Tylko jeszcze trzeba go znaleźć, żeby mu o Gołąbku powiedzieć. A to nie będzie proste, bo jest cwany.

– Skoro jest taki cwany, to niech sam się dowie. – Zuzanna zrobiła budującą napięcie pauzę. – Na pewno sprawdza na bieżąco, co się tu u nas dzieje. Wrzucmy informację do Internetu. A jak już to sobie wygrzebie, to złożymy mu propozycję nie do odrzucenia.

– Chcesz opublikować list Cholewiaka w Internecie?! – Ktoś zaświecił światło w łazience. Paweł przymknął drzwi do kuchni i ściszył głos. – Nie wiem, co ty tam pijesz, ale pij po pół...

– Nie cały list. Tylko tyle, żeby go zwabić. – Zuzanna nie reagowała na jego docinki. – W zamian za powrót do kraju i oddanie się w ręce policji zobowiązemy się doprowadzić do skazania Gołąbka i zadbać o Szymona Gawrońskiego. W przeciwnym razie będzie musiał do końca swoich dni żyć ze świadomością, że jego oprawca pozostaje bezkarny. To go może sprowokować.

– Nie wiem... – Sudołowi nie udzielił się jej entuzjazm. – Myślisz, że Górecki w ogóle rozpoznał Gołąbka? Przecież jakby wiedział, że to on, to nie zwoziłby pedofili z całej Polski, tylko to jego ukatrupił.

– Też się nad tym zastanawiałam, ale w tej chwili to bez znaczenia. Nawet jeżeli nie rozpoznał, to zeznania jego, Adeli Cholewiak, no i list pozwolą postawić zarzuty. Potem wezwiemy jako świadków pozostałe ofiary.

– W sumie on wie, że nie możemy go oskarżyć o morderstwa, bo pozacierał ślady. – Paweł głośno myślał. – Jeżeli nie skrzywdził chłopca, to za samo porwanie nie dostanie dużo. Z dwieście jedenastego mogą go skazać maksymalnie na trzy lata. Sąd weźmie pod uwagę okoliczności łagodzące, traumę z dzieciństwa, może wyjść nawet po roku.

– Właśnie, niewiele ryzykuje, a do zyskania ma bardzo dużo. Rano poproszę kolegę informatyka ze stołecznej, żeby wrzucił przynętę do sieci. Dobra, to do jutra. Dobranoc!

– Dobranoc! – Chyba już go nie słyszała, rozłączyła się.

Paweł otworzył lodówkę i nalał do szklanki mleka. Podgrzał w mikrofalach, wyłączył wcześniej, żeby dźwięk nie obudził Bożeny i dzieci. To był dobry plan, miał szansę powodzenia. Więc dlaczego czuł się źle? Ciepłe mleko zawsze pomagało mu usnąć. Zawahał się i wylał mleko do zlewu. Do tej samej szklanki wlał whisky i dodał coli.

Adam skończył wreszcie swoje ostatnie zlecenie z pracy, zostały tylko drobne poprawki. Pierwszy raz zdarzyło mu się, że termin realizacji był zagrożony. Ostatnio trudno mu się było skupić. Do tej pory działał zawsze według planu, wszystko miał poukładane, bo nic nie burzyło jego wewnętrznego spokoju. Teraz było inaczej. Męczyły go wyrzuty sumienia. Zawsze zorganizowany i systematyczny, teraz odkładał obowiązki z byle powodu. Dlatego przez ostatni tydzień musiał pracować praktycznie po piętnaście godzin na dobę, żeby się wyrobić.

Wcześniej włączał komputer nocą, wtedy było cicho i nie męczył upał. Teraz pracował też w dzień. W pokoju nie było okien, puste otwory pozakrywał wzorzystymi tkaninami, żeby światło nie odbijało się w monitorach. Dawało to także złudzenie chłodu. W kącie pokoju szumiął wiatrak. Warunki nie były komfortowe, ale zdążył już przywyknąć. Jedyne, do czego nie mógł się przyzwycząić, to hałas.

Teraz też oderwały go od komputera wrzaski dochodzące z podwórza. Zły, odsunął kotarę w oknie i chciał uspokoić niesforne bachory. Na boisku grupka chłopców krzyczała, kłębiąc się i wzbijając chmurę kurzu. Bijatyki nie były tu niczym nadzwyczajnym. Krzyknął, chcąc ich uciszyć lub przynajmniej przegonić od okna. Nie słyszeli go. Jeszcze bardziej zły, wyszedł z domu, a kiedy był już blisko, przyspieszył kroku. Przedarł się przez grupkę kibiców.

Ku jego zdziwieniu w środku kłębówiska Szymon siedział okrakiem na małym Hassanie i okładał go pięściami. Zaskoczony Adam poderwał go do góry i uwolnił malca. Chłopak wyrywał się z furją, wierzgając nogami. Nie

przestał, nawet kiedy zobaczył, że to opiekun oderwał go od ofiary. Wręcz przeciwnie, szarpał się ze zdwojoną siłą, gryzł, zachowywał się, jakby wpadł w szal.

– Co ty robisz?! – Adam nie mógł sobie z nim poradzić. – Przestań! Zostaw go!

– Nie! Zabiję go! – Malec próbował kopnąć leżącego. – Puść mnie!

– Szymon! – Musiał użyć naprawdę dużo siły, żeby odciągnąć go na bok i wreszcie uspokoić. – Co ty wyprawiasz!? Co on ci zrobił!?

Posadził chłopca na murku i stanął przed nim. Obaj, zmęczeni, ciężko oddychali. Szymek milczał, kipiał gniewem, na brudnych policzkach miał ślady łez.

– Przecież on jest od ciebie dwa razy mniejszy! – Adam przykucnęła obok. – To twój przyjaciel.

– Nie umie grać! I nie jest moim przyjacielem! Jest zdrajcą i złodziejem!

– Co ty mówisz?! Przestań! Co cię napadło?

– Ty też jesteś zdrajcą! Myślisz, że nie wiem, co w nocy robicie? Że przychodzi do ciebie do łóżka? Widziałem!

Adamowi krew uderzyła do głowy, zrobiło mu się słabo. Nic nie odpowiedział; nie wiedział, co mu powiedzieć.

– On ma swojego ojca! Niech się do niego przytula! Ty jesteś mój!

A więc tylko o to chodziło, był zazdrosny... Nie ma pojęcia, co się naprawdę dzieje.

Adam znów zaczął oddychać. Powoli uspokoił się na tyle, że mógł myśleć. Czuł się parszywie. Chwilę trwało, zanim spojrzał chłopcu w oczy.

– Już nie będę, obiecuję. Już nigdy Hassan nie przyjdzie do mojego pokoju, kiedy ciebie nie będzie.

Szymon milczał jeszcze naburmuszony, ale oczy chłopca złagodniały. Znów pojawiła się w nich miłość. Adam przytulił go, a malec odwzajemnił

uścisk.

– Obiecujesz?

– Tak.

– Kocham cię, Adam.

– Ja ciebie też.

Chwilę przytulali się, w końcu chłopiec odsunął się i wstał.

– Przepraszę Hassana.

– Idź.

Adam uśmiechnął się i poczochnął mu włosy. Szymek pobiegł, a on poszedł do pokoju. Usiadł przy stole i przetarł ręką oczy. Nie było mowy o pracy. Obok komputera stała miseczka z owocami.

– Kurwa! – Zrzucił ją ze stołu zamaszystym ruchem. Rozbiła się z impetem o ścianę, daktyle rozsypały się po podłodze. Zatrzymał wzrok na wygaszonym ekranie laptopa, w którym widział ciemny zarys swojej twarzy. – Nigdy więcej, rozumiesz?! Nigdy więcej, skurwysynu, tego nie zrobisz! Ani jemu, ani żadnemu innemu dziecku.

Uspokoił się wreszcie, napięcie zelżało. Dopadło go potworne zmęczenie. Musiał się położyć. Wyłączył stacjonarny komputer; zawsze pracował jednocześnie na dwóch. Jego uwagę przykuła ikona z powiadomieniem w kącie ekranu laptopa. Aplikacja wyszukująca w Internecie wzmianki na jego temat, którą sam napisał, sygnalizowała, że coś się pojawiło. Zmęczenie momentalnie zniknęło, a w jego miejsce pojawił się niepokój.

Uruchomił program ukrywający adres jego komputera i najechał strzałką na link. Patrzył w monitor całkowicie zaskoczony. Na całym ekranie wyświetlały się na przemian nazwiska jego, Szymka i innych osób bezpośrednio związanych z jego sprawą. Nie było tam żadnej treści. Nazwiska powtarzały się w kółko, napisane różnymi fontami, w dodatku

różnej wielkości. Na dole strony było okienko komunikatora, a pod nim wiadomość: „Cholewiak był tylko narzędziem. Zostawił list, w którym opisuje wszystko. Jeżeli chcesz poznać całą prawdę i ukarać winnych, odezwij się do mnie. Aspirant Zuzanna Nowacka”.

Usiedli w trójkę przy stoliku w części restauracyjnej stacji benzynowej. Policjanci przyjechali bez zapowiedzi, ale mieli szczęście – Piotr miał akurat pierwszą zmianę. Zuzanna długo się wahała, ale w końcu zgodziła się wciągnąć go do sprawy, pod warunkiem że będą z nim całkowicie szczerzy i decyzję pozostawią jemu. Paweł obiecał, że tak będzie. Siedział teraz naprzeciwko nich i, pełen najgorszych przeczuc, czekał na wyjaśnienia.

– Mam się z nim spotkać w Maroku? – Patrzył na zmianę to na Pawła, to na Zuzannę. – Czy wyście już całkiem poszaleli?!

– Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale proszę mi wierzyć, to rozwiązanie brałam pod uwagę na samym końcu – wyjaśniła Nowacka.

Plan Zuzanny wypalił. Trzy dni temu, po opublikowaniu wiadomości w Internecie, Górecki nawiązał z nimi kontakt. Z policyjnego obowiązku aspirant zleciła namierzenie go, choć była przekonana, że to się nie uda. Tak jak się spodziewali, informatycy szybko zgubili trop. Wiadomości przychodziły z jakiegoś chińskiego serwera i nie było mowy o uzyskaniu jakichkolwiek informacji od administratora. Komunikowali się przy pomocy przygotowanej przez nich strony. Pokazali Góreckiemu fragmenty listu i przedstawili propozycję Zuzanny. Miał się oddać w ich ręce i pomóc w ukaraniu winnych dręczenia jego i innych dzieci z sierocińca. Nowacka obiecała też, że zadba o Szymona Gawrońskiego.

Czekali cały dzień jak na szpilkach. Wieczorem odpisał, że się zgadza, ale na jego warunkach. Rozpoczęły się negocjacje. Żądał wycofania na trzy dni listu gończego, który otrzymała policja europejska. Bał się, że

hiszpańskie służby graniczne zamkną go przy przekraczaniu granicy i zacznie się długa i żmudna procedura ekstradycji. Chciał sam przyjechać z chłopcem do Polski i oddać się bezpośrednio w ich ręce. Tego jednak policjanci nie mogli zrobić. Ich działania były półoficjalne, a wstrzymanie poszukiwań w Interpolu wymagało wielu zgód i akceptacji na wysokim szczeblu. Zaproponowali, że przylecą po niego do Maroka z odpowiednimi dokumentami i zabiorą bezpośrednio do Polski. Po trzech godzinach Górecki zgodził się, pod warunkiem że do Agadiru przylecą tylko Zuzanna i Piotr Ostrowski. Obecność mężczyzny miała mu gwarantować, że policja nie będzie próbować żadnych sztuczek. Nie będą chcieli narażać cywila i wszystko odbędzie się zgodnie z ustaleniami. Ponieważ jedynym cywilem, któremu ufa, jest ksiądz, to on ma być obecny w czasie jego aresztowania. Poza tym Szymon go zna i będzie się czuł w jego obecności bezpieczniej podczas powrotu do kraju. Kiedy kategorycznie odmówili, zerwał z nimi kontakt i nie odzywał się już od dwóch dni.

Teraz siedzieli na stacji benzynowej. Przedstawiwszy całą sytuację Piotrowi, próbowali go przekonać, ale ten nie chciał o tym słyszeć. Zuzannie skończyły się argumenty. Ciszę przerwał Paweł:

– Nie byłoby tego całego zamieszania, gdyby Górecki nie uciekł nam wtedy w Krawcach. – Podtekst był aż nadto czytelny. – A cała wina spadła niestety na nas. O tym, że poszukiwanego ktoś ostrzegł, nie napisałem w raporcie.

Zuzanna ze złością spojrzała na Sudoła – tego nie było w ustaleniach. Szantaż, nawet emocjonalny, był chwytem poniżej pasa.

– A jest w raporcie informacja o szczegółach mojego uwięzienia? – Piotr zauważył spojrzenie Zuzanny i uspokoił się. – Może się nie licytujmy, co?

– Tu chodzi o sprawiedliwość. – Zuzanna chciała skierować rozmowę na mniej grząski grunt. – Sprawcy tych ohydnych przestępstw nie mogą

pozostać bezkarni, kiedy to wszystko wiemy. To będzie też ostrzeżenie dla innych. Może to uratuje jakieś dziecko? Może oni wciąż molestują dzieci?
– Znow zapadła cisza.

– Nie pojedę – Piotr zwrócił się tylko do Zuzanny. – I dajcie mi już święty spokój. Chcę z tym skończyć raz na zawsze i zapomnieć o tej sprawie. Bez względu na finał, rozumiecie? Ja mam teraz swoje życie.

– Tak. – Nowacka czuła się podle, chciała stąd wyjść jak najszybciej. – Obiecuję, że nie będziemy już pana niepokoić – wybąkała speszona.

Wyszli, a Piotr wrócił za ladę. Pan Staszek kończył właśnie obsługiwać klientkę; cały czas zerkał na współpracownika, kiedy ten rozmawiał z policjantami.

– Co psiarskie chcieli? – spytał, gdy kobieta wyszła i zostali sami. – Nie bój się, nie powiem szefowi.

– Pytali się, czy nam benzynę kradną, towar ze sklepu i ile nam hot dogów dziennie schodzi.

– Hot dogów?

– No właśnie też się zdziwiłem. Zrobię sobie z paróweczką, chce pan jednego, panie Stasiu? Kabanos też jest ciepły. Póki ludzi nie ma.

– No zrób. – Pan Staszek miał niewyraźną minę. – Tylko normalnie wpisz, a nie, że spadł. Chuj wie, co te kamery kręcą, jeszcze się ktoś do ciebie dopierdoli i kłopoty będziesz miał.

Siedzieli jak zwykle przy stoliku obok wejścia do olbrzymiej jadalni. Szymon już dawno zjadł i okropnie się nudził. Adam dyskretnie przyglądał się przechodzącym obok wczasowiczom.

– Za pięć minut otwierają rury... – Spojrzał na zegarek, a potem na chłopca. – Leć, napiję się jeszcze kawy i przyjdę. Spotkamy się na leżakach.

– Dobra, tylko przyjdź za niedługo. – Szymkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wypił ostatni łyk coli i pobiegł w stronę aquaparku.

Mieszkali w Atlas Resort już trzeci dzień. Górecki nieprzypadkowo wybrał ten największy w Agadirze hotel. Była końcówka sezonu, prawie wszystkie miejsca były zajęte, jednak udało mu się wynająć dwuosobowy pokój. Miał plan, ale żeby go zrealizować, musiał tu znaleźć kogoś, kto był do niego choć trochę podobny.

Kiedy pierwszego dnia zaczął przyglądać się hotelowym gościom, ze zdziwieniem zreflektował się, że właściwie nie wie, kogo szuka. Wrócił do pokoju i długo patrzył w lustro, analizując metodycznie fizjonomię swojej twarzy. Jej kształt, rozstaw oczu i brwi, długość nosa i zarys brody. Doszedł do wniosku, że najważniejsze są oczy i nos, resztę może ukryć zarostem. Na koniec zrobił sobie zdjęcie i wrzucił na tapetę telefonu, żeby mieć je cały czas pod ręką.

Początkowo rozglądał się na basenie, tam gdzie był największy tłum. Prawie nadzy ludzie w słonecznych okularach zlewali się jednak w jedną masę; nie był w stanie nawet odróżnić ich od siebie. Najlepszym miejscem do poszukiwań okazała się jadalnia. Tu trzy razy dziennie zjawiali się

wszyscy hotelowi goście. Przesuwali się wolno przed nim, wśród pojemników pełnych jedzenia, jak na jakimś castingu. Zajęci napełnianiem po brzegi swoich talerzy nie zwracali uwagi na przyglądającego się im mężczyznę.

Dziś gapił się na nich trochę z przyzwyczajenia, bo w zasadzie wybrał już wczoraj. Janek, bo tak miał na imię chłopak, właśnie wchodził do jadalni z grupką przyjaciół. Z pochodzenia Słowak, na co dzień mieszkał w Londynie. Był znacznie wyższy od Adama, ale to nie miało znaczenia. Ważne było podobieństwo rysów.

Przywitali się, na zmęczonej twarzy Janka szarymi barwami malował się kac. Wczorajszy dzień zakończony popijawą w hotelowym nocnym klubie sprawił, że Adam był mile widziany w jego towarzystwie. W miarę upływu wieczoru sympatia do Adama rosła wprost proporcjonalnie do kwoty wydanych przez niego w barze pieniędzy. A kiedy kelnerka przyniosła do stolika trzylitrową butelkę Jacka Danielsa, został ulubieńcem wszystkich. Nieprzytomnego Janka odprowadził około drugiej w nocy. Obok, objając się o ściany hotelowego korytarza, maszerowała w jednym bucie Kristina, dziewczyna Janka. Gdyby Adam nie znał numeru, nawet nie trafiliby do ich pokoju. Położył oboje do łóżka, ściągnął im trzy buty i przykrył kołdrą. Zaświecił nocną lampkę i zgasił górne światło. W łazience odkręcił kran z zimną wodą i obmył twarz.

Cały wieczór oszukiwał, mocząc tylko usta w alkoholu, ale kolejek było tak dużo, że czuł lekki szum w głowie. Musiał jednak zachować trzeźwość umysłu. Przetarł włosy rękoma i spojrział w lustro. Drugi raz w ciągu ostatnich dni przyglądał się sobie. Tym razem nie analizował rysów twarzy, ale patrzył w swoje oczy. Oczy są oknami duszy. Kto to powiedział? Nieważne. Nie wiedział już, kim jest; jego oczy były mgliste i puste. Może to tylko zmęczenie?

Wrócił do pokoju i zajrzał do szafy. Drzwiczki sejfu były uchylone, był pusty. Jego przypuszczenia się potwierdziły. Sejf w tym hotelu był dodatkowo płatny, więc większość gości z niego rezygnowała. Pozostało przeszukać pokój. Adam starał się działać szybko i nie robiąc hałasu. Sprawdził szuflady w stolikach obok łóżka i w biurku. Wsunął rękę pod ubrania na półkach w szafie, ale tam też nic nie znalazł. Ściągnął z góry i otworzył różową walizkę. Bingo! W bocznej, zasuwanej na zamek kieszeni były paszporty i dokumenty podrózne. Miał ochotę zabrać paszport już wtedy, ale się powstrzymał. Musiał być cierpliwy, żeby wszystkiego nie zepsuć. Zrobił kilka zdjęć, schował dokumenty z powrotem i odłożył walizkę na miejsce. Zabrał magnetyczną kartę leżącą na stole, którą wcześniej otworzył drzwi do pokoju, i odłożył na jej miejsce swoją, identyczną. Pomyślał, że się rozmagnesowała i wezmą sobie z recepcji drugą. Zgasił lampkę, zamknął za sobą drzwi i poszedł do siebie.

Teraz siedział w hotelowej jadalni, dopijając czarną kawę. Kartę do pokoju Janka miał cały czas przy sobie. Pozostało tylko czekać. Postanowił, że dziś spędzi więcej czasu z Szymkiem. W końcu niewiele im go zostało.

Paweł wszedł do biura sandomierskiego cmentarza na Krukowie. Cholewiak był tu pochowany, tyle dowiedział się od wdowy. W świetle nowych okoliczności uznali z Zuzanną ponowną sekcję jego zwłok za konieczność. We wniosku o ekshumację musiał jednak podać dokładne dane, a pani Adela nie była na grobie męża od jego śmierci i nie potrafiła nawet powiedzieć, w której części cmentarza dokładnie znajduje się kwatera. Musiał się więc pofatygować na miejsce.

Za biurkiem siedział łysawy facet po czterdziestce, w wyświechtanym na łokciach garniturze. Na widok policyjnej legitymacji ożywił się. Nuda jest czasem najlepszą zachętą do współpracy z policją. O dziwo szybko znalazł w dokumentach potrzebne informacje. Uparł się jednak, że pracownik zaprowadzi Pawła we wskazane miejsce.

Przez chwilę Sudoł wahał się, zastanawiając, czy jest mu to do czegoś potrzebne. Miał już dane do wniosku. Skoro jednak już tu był, postanowił rzucić okiem. Zadowolony mężczyzna wyjął z szuflady krótkofalówkę i nacisnął odpowiedni przycisk:

– Panie Kaziu, panie Kaziu! Tu biuro, tu biuro! Odbiór! – Poważna mina, zmarszczone czoło i wzrok utkwiony w ścianie dodawały całej akcji powagi. – Kazik panu pokaże, gdzie jest grobowiec – zwrócił się do komisarza, nie podnosząc oczu.

Zaskoczony tymi nowinkami technicznymi Paweł nasłuchiwał wraz z kierownikiem odpowiedzi. Po chwili usłyszeli szum, przerywany monosylabami.

– Kaziu, wciśnij guzik, jak mówisz! Odbiór! – Teraz panowała już kompletna cisza. – Straszne dziadostwo te krótkofalówki. Jakaś chińszczyzna, w ogóle nie idzie się dogadać. W biurze wszystko działa, a jak się odejdzie kawałek, to nic nie słychać.

– Sam trafię. – Sudoł spojrział na kartkę, gdzie wcześniej zanotował numer alei i grobu. – Niech mi pan tylko powie: jak wyjdę z biura, to w którą stronę?

– W prawo i czwarta dróżka w lewo od głównej alei. – Ruchem głowy wskazał kierunek przez ścianę. – Sam bym pana zaprowadził, ale nie mogę opuszczać biura.

Paweł podziękował i wyszedł, zadowolony, że kierownikowi nie chciało się z nim iść.

Cmentarz miał w sobie coś kojącego. W zasadzie tu człowiek jest najbliżej śmierci, a zupełnie się jej nie boi. Jakoś najłatwiej można ją oswoić w tym właśnie miejscu. Wyciszyć się. Oczywiście nie we Wszystkich Świętych, tylko w taki zwyczajny jesienny dzień jak dziś.

Nie spieszył się, to był dobry pomysł, żeby tu wejść. Przystając od czasu do czasu, czytał sentencje wyryte na nagrobkach. Banalne i jednocześnie pompatyczne. Zastanawiał się, jaką chciałby na swoim grobie. Może „zginął od kuli na służbie”? No, to by było coś. Prawdziwy bohater, pokazał, co znaczy poświęcenie. Nad grobem zapłakana Zuzanna opowiedziałaby, jakim był wspaniałym i niedocenianym człowiekiem. Ile mógł zdziałać, gdyby był lepiej traktowany przez przełożonych. Tu komendant wojewódzki spojrziałby z wyrzutem na Sobczyka. Łzawa historia snuła się sama, a promienie słońca ogrzewały mu przyjemnie twarz. Z zamyślenia wyrwał go pomnik przy mijanym właśnie grobowcu. Poruszył się i wypuścił chmurę dymu.

– Kogo grobu pan szukasz? – ubrana na szaro postać z bladą, zarośniętą twarzą zwróciła się do niego przepitym głosem. Z jednej kieszeni wystawała antena krótkofalówki, z drugiej szyjka ćwiartki.

– Pan Kazimierz? – Paweł wskazał palcem na kieszeń. – Musi pan naciskać guzik, jak pan chce coś powiedzieć przez krótkofalówkę.

– No wiem... – Uśmiechnął się bezzębnie. – Ale tak kierownik mniej dupę zawraca, bo mu się nie chce po cmentarzu łązić.

– OK – uciął temat. – Szukam grobu Cholewiaka, numer sto dwanaście, w tej alejce.

– Tamten czarny. – Pan Kazimierz wskazał przykurczonymi knykciami grobowiec oddalony o kilkanaście metrów. Paweł pomyślał złośliwie, że pewnie w wyniku ewolucji palce tak idealnie dostosowały mu się do trzymania kieliszka. – Ja tu panie bez numerów wiem, gdzie kto mieszka, bo sam żem wszystkich kwaterował.

– Cholewiaka też?

– A jak, wszystkich, panie. Bogaty czy biedny. Dobry czy kawał chuja. Ksiądz pokropił, a ja jedną ziemią przysypałem.

Paweł odszedł, uśmiechając się pod nosem. Grabarz alkoholik-filozof pasował idealnie do jego melancholijnego nastroju.

Grób Cholewiaka był granitowy, okazały, tak jak większość na cmentarzu. W przeciwieństwie jednak do innych był uprzątnięty, co o tej porze roku było rzadkością.

– Żona tu była? – zawołał w stronę pana Kazimierza. – Posprzątane jest, a mówiła, że nie odwiedza grobu.

– Od pogrzebu jej nie było, firma sprząta.

– Firma? – Sudoł wyjął notes. – Jak się nazywa? Dawno byli?

– „Czyszczenie grobowców” na aucie pisało. – Grabarz starannie zgasił papierosa o cholewę gumofilca i wrzucił kiepa do buta. – Z miesiąc temu. –

Wstał i podszedł bliżej.

– A jakieś numery auta? Ktoś to w biurze zapisuje?

– A niby po co? Tylko ten grób sprzątał. Kilka razy tu był, białym dostawczakiem.

– Białym dostawczakiem? – Paweł schował notes, wyjął telefon i pokazał mężczyźnie zdjęcie. – Ten człowiek?

– No ten. – Kiwnął głową. – Po oczach poznaję, bo brodę miał i czapkę z daszkiem.

Sudoł był zaskoczony. Górecki dbał o grób swojego oprawcy? Czytał kiedyś o dziewczynce z Austrii, która opłakiwała po śmierci mężczyznę, który ją więził, bił i gwałcił. Klasyczny syndrom sztokholmski. Ale Górecki? Ta sprawa stawała się coraz dziwniejsza.

Zuzanna odebrała paszport z urzędu. Dzięki pomocy pracowników udało jej się załatwić wydanie dokumentu w jeden dzień. Może pomogło pozytywne nastawienie do policji, a może to, że ulubionym kolorem kierownika okazał się błękit jej oczu.

Umówiła się z Piotrem na parkingu niedaleko stacji benzynowej, na której pracował. Wciąż zachodziła w głowę, co skłoniło go do zmiany decyzji. Po ostatniej rozmowie, kiedy kategorycznie odmówił współpracy, przekazała Góreckiemu informację, że będzie w Maroku sama. Odpisał, że umowa nieaktualna i zerwał kontakt. Wydawało się, że to koniec. Cały jej plan wziął w łeb. I nagle dzwoni Ostrowski i oświadcza, że pojedzie. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej, dlaczego zmienił zdanie, ale uciął rozmowę. Był oschły i nieprzyjemny.

Powinna się jednak cieszyć, w tej sytuacji szybko nawiązali kontakt z Góreckim i ustalili szczegóły jego oddania się w ręce policji. Niestety coś ją niepokoiło. Podejrzewała, że to Adam Górecki wpłynął na księdza Piotra. Wciąż tak w myślach nazywała Ostrowskiego, choć wiedziała, że zrzucił sutannę. Nie miała wątpliwości, że ich poszukiwany bez trudu namierzył jego nowy numer telefonu. Albo skontaktował się z nim przy pomocy komputera. Jakich argumentów użył? Jak zdołał przekonać duchownego? Nie miała pojęcia, ale na pewno był skuteczniejszy od nich. Niepokoiło ją to i zabierało pewność siebie. Kto tu pociąga za sznurki? Czy wciąż realizują jej plan? Czy to w ogóle jeszcze jest jej plan? Mnożyła pytania bez odpowiedzi.

Dojechała pod wskazany adres. Ostrowski stał tuż przy wjeździe na parking. Nie było wolnych miejsc, przejechała więc wokoło, szukając przestrzeni, gdzie mogłaby się chociaż na chwilę zatrzymać. W końcu, zrezygnowana, zatrzymała auto obok mężczyzny, blokując inne zaparkowane samochody. Nigdzie nie będą szli, załatwią wszystko tutaj.

– Dziękuję, że pan zmienił zdanie – powiedziała i podała mu paszport. – Nie wiem, co pana do tego skłoniło, ale dziękuję w imieniu służb i swoim.

– Proszę sobie darować... – odebrał dokument, nawet na nią nie patrząc.

– Lot mamy zarezerwowany na jutro popołudniu – przeszła do rzeczy. – Powrót pojutrze o szesnastej. – Wręczyła mu komputerowe wydruki biletu i karty pokładowej.

– Dobrze, będę na lotnisku dwie godziny przed odlotem. – Złożył kartki, włożył do paszportu i schował do wewnętrznej kieszeni uniformu.

– Mogę po pana przyjechać taksówką, lecimy z Modlina.

– Nie, i nie dzwońcie do mnie. Nie chcę, żeby moja narzeczona się o tym dowiedziała.

– Nie chcę być wścibska, ale nie zdziwi ją, jak pan nie wróci na noc? Może pomogę z jakimś usprawiedliwieniem? Nie chcę, żeby miał pan kłopoty.

– Powiem, że mam w pracy nockę. – Pierwszy raz na nią spojrzął. – Pojutrze będę w domu przed jej powrotem z pracy, więc o niczym się nie dowie. Oczywiście pod warunkiem, że wszystko pójdzie tak, jak pani mówi, w co nie bardzo wierzę.

Nie próbowała się bronić, nie przed nim. Wiedziała, ile razy go zawiedli i co przez nich przeszedł.

– Spotkamy się przed wylotem, żeby omówić szczegóły?

– Powie mi pani wszystko w samolocie. – Dopiął i poprawił kurtkę, dając znak, że chce już odejść. – Lot trwa sześć godzin, to powinno wystarczyć.

Chyba że powinienem coś wiedzieć już teraz?

– Nie, proszę spakować osobiste rzeczy na dwudniowy wyjazd. To wszystko. Reszta to nasze zadanie.

Adam siedział w kącie dużej poczekalni lotniska w Agadirze, w części przeznaczonej dla lotów międzynarodowych. Miał kilkudniowy zarost, sportową czapkę z daszkiem i modne ciemne okulary. Obok, na metalowym krzeselku, leżał jego niewielki plecak w wymiarach bagażu podręcznego. W adidasach, džinsach i koszulce wyglądał na młodego podróżnika, jakich można spotkać na wszystkich lotniskach, odkąd pojawiły się tanie linie lotnicze. Zwiedzają świat, zanim się usatukują i zaczną być szanowanymi członkami społeczeństwa. Nudnymi prawnikami i chciwymi lekarzami. Łabędzi śpiew młodości.

Był środek nocy, ale nie był śpiący. Kilka rzędów dalej, z boku, siedział mężczyzna, Arab, i ukradkiem na niego spoglądał. Adam starał się nie zwracać na niego uwagi. W miarę upływu czasu odczuwał jednak rosnące napięcie. Próbował się powstrzymać, ale co chwila zerkał na zegarek. Aspirant Nowacka zapewniła go w ostatniej, przesłanej rano wiadomości, że wszystko idzie zgodnie z planem i o drugiej w nocy, wraz z Piotrem Ostrowskim, będą na miejscu. Ustalili, że po przylocie poczekają na niego przed głównym wejściem. Jeżeli wszystko będzie zgodnie z umową, odda się w ich ręce razem z Szymkiem.

Informacja lotniskowa przekazała kilka minut temu komunikat, że samolot z Warszawy wylądował już w Agadirze. Mimo późnej pory ruch na lotnisku był duży, z hali przylotów ruchomymi schodami płynęła rzeka zmęczonych nocną podróżą pasażerów. Taksował kolejne, wyjeżdżające z otchłani, nieruchome twarze nocnych zjaw.

Nagle ich zobaczył i odruchowo obniżył głowę, zakrywając twarz daszkiem czapki. Szli oddaleni od siebie, najpierw Nowacka, a kilka kroków za nią Piotr. Zuzanna rozejrzała się i ruszyła w stronę Adama. Odwrócił się, otworzył plecak i udawał, że czegoś szuka. Serce biło mu jak szalone. Policjantka przystanęła parę metrów od jego ławki, przy automacie do kawy. Zapytała o coś Piotra, ten przecząco pokręcił głową. Wrzuciła monetę, zabrała kubek z kawą i odeszli w stronę wyjścia. Adam nie czekał dłużej. Wstał, zasunął plecak, zarzucił go na ramię i ruszył w stronę sali odlotów. Kątem oka zobaczył, jak obserwujący go wcześniej mężczyzna wstaje ze swojego miejsca. Odprawę przeszedł bez przeszkód, wszystko w plecaku było zgodne z normami. Żadnych dużych pojemników z płynami, nożyczek czy innych przedmiotów mogących spowodować problemy w trakcie kontroli. Przeszedł przez bramkę bezpieczeństwa, założył buty, pasek i odebrał z taśmy plecak. Ruszył w prawo, w stronę, gdzie miał być podstawiony jego samolot. Mężczyzna z poczekalni skręcił za nim. Kolejne kierunkowskazy wyświetlane na telewizorach pod sufitem doprowadziły go na miejsce. Personel samolotu rozpoczął już odprawę pasażerów.

– Dobry wieczór. – Śliczna brunetka, uczesana w kok, z firmową apaszką na długiej szyi uśmiechała się do podchodzących osób. – Witamy na pokładzie naszego samolotu.

Adam stanął w kolejce do jej stanowiska. Facet obsługujący drugi sznurek osób miał poważną minę, wydawał się formalistą. Język polski nie wzbudził w nim żadnych emocji, chociaż nie słyszał go już dobrych kilka tygodni. Przygotowane dokumenty nerwowo ścisnął w ręce. Kiedy wczoraj dowiedział się, że policjantka i Piotr mają być w Agadirze dziś w nocy, zabukował lot z godziną startu tuż po ich przybyciu. Wpisując informacje przez Internet, podał nazwisko Janko Kovac. Dane koniecznie do rezerwacji miał na zdjęciu paszportu, które zrobił w pokoju Janka

wieczorem po imprezie. Dziś w porze kolacji, kiedy Janek i Kristina jedli, otworzył drzwi ich pokoju skradzioną kartą i zabrał z różowej walizki paszport Janka. Teraz stał w kolejce i z niepokojem obserwował stewardessę. Była miła, z każdym starała się zamienić parę słów.

Kolejne osoby podchodziły z przygotowanymi dokumentami. Większość pasażerów stanowili Polacy, ale było też sporo obcokrajowców lecących do Warszawy.

– *Hi!* – Adam ściągnął okulary i uśmiechnął się do stewardessy, podając paszport oraz rozłożone wydruki biletu i karty pokładowej.

– *Hi, Mister Janko Kovac, yes?* – stewardessa przeczytała nazwisko z dokumentów podróжных i odwzajemniła uśmiech.

W tej samej chwili w kolejce za nim rozległy się krzyki. Wszyscy, łącznie z Adamem i stewardessą, odwrócili się w tamtym kierunku. Arab, który siedział w poczekalni obok Góreckiego, szarpał się z grubym, większym o głowę od siebie Polakiem. Ten pchnął go odruchowo. Mężczyzna upadł, przewracając stojące obok walizki pasażerów, ale wstał błyskawicznie i znów zaczął ciągnąć za rękaw oszołomionego pasażera.

– Co się dzieje? – Steward podszedł i stanął między nimi. Mundur momentalnie ostudził zapach Araba.

– Nie mam pojęcia! – Polak z trudem łapał oddech, bardziej ze zdenerwowania niż z wysiłku. – Przyjebał się brudas i coś pierdoli po swojemu! Nie wiem, co on chce!

– Już dobrze, proszę przejść na przód kolejki, do koleżanki.

Arab, pokrzykując coś, szybkim krokiem odszedł w stronę ławki i zaczął przeglądać swoją walizkę. Wszyscy podróżni odsunęli się w stronę wejścia do samolotu. Jeden z nich popchnął Adama.

– *Sorry...* – Plecak zsunął mu się z ramienia.

– *Please go on...* – Oddała mu dokumenty. – Proszę pana! Proszę do mnie! – Machała ręką do zamieszanego w awanturę pasażera, cały czas obserwując z niepokojem agresywnego Araba.

Marokańczyk kątem oka zobaczył, jak Górecki znika w korytarzu prowadzącym na pokład samolotu. Spokojny już, zamknął walizkę i odszedł w stronę wyjścia. Trudniejszą część zadania już wykonał, musi teraz wyjść z lotniska i oddać papiery. Uczciwie zapracował na sto euro, które dał mu Adam.

Zuzanna miała mętlik w głowie. To, czego Górecki od nich oczekiwał, było naprawdę niebezpieczne. Działanie na pograniczu prawa, a właściwie łamanie go, w arabskim kraju oznaczało duże ryzyko. To nie Unia Europejska z prawami człowieka i liberalnym podejściem do nieprzestrzegających przepisów obywateli. Tutaj wsadzą ich do jakiegoś ciemnego lochu i może po miesiącu zaczną zadawać pytania i coś wyjaśniać. Czuła się też odpowiedzialna za Piotra i małego Szymona. A w ciągu ostatniej godziny wszystko wymknęło się spod kontroli.

Po przylocie czekali zgodnie z umową na Adama Góreckiego przy wejściu na lotnisko. Mężczyzna się jednak nie pokazał. Po kilkunastu minutach podszedł do nich jakiś Arab i bez słowa wręczył im dwie koperty, po czym zniknął w tłumie. Jedną dał Zuzannie, drugą Piotrowi. W kopercie Nowackiej była hotelowa karta do otwierania pokojowych drzwi i krótki list, a właściwie instrukcja działania. Górecki napisał, że nie przyjdzie na umówione spotkanie, nie ma też zamiaru poddać się polskiej policji. Ma jednak nadzieję, że choć w części rekompensatą poniesionych trudów będzie dla Zuzanny odnalezienie Szymka Gawrońskiego. Chce, żeby chłopiec wrócił do Polski. Ucieczka wraz z nim była błędem; kocha go i nie chce skazywać na życie w ciągłym ukryciu. Mały czeka na nich w pokoju 1024 hotelu Atlas Resort w Agadirze. Mogą wezwać policję, uruchomić oficjalne procedury i próbować przewieźć chłopca do kraju za zgodą władz marokańskich. To może jednak potrwać bardzo długo, a nawet wcale się nie udać, bo wszystko w tym autorytarnym państwie zależy od widzimisień urzędnika. W dodatku na ten czas Szymka umieszczą w tutejszym

sierocińcu, a tego Górecki by nie chciał. Dlatego przygotował szczegółowy plan przewiezienia malca do Polski. Ma nadzieję, że aspirant Nowacka nie będzie się odgrywać na nim kosztem chłopca i zrobi to, co dyktuje jej serce. Karta do pokoju, gdzie teraz śpi Szymek, znajduje się w kopercie. Pozwoli ona wejść do środka bez zbędnego zamieszania w hotelu. Recepcja w nocy zwykle jest pusta, gdyby jednak ktoś ich zaczepił, wystarczy, że podadzą nazwiska Kristina Pencova i Janko Kovac, to Słowacy mieszkający w pokoju 4057. Przy obecnej liczbie gości nie ma szans, żeby ktoś wykrył oszustwo. Mogą też poczekać do rana, żeby wmieszać się w tłum hotelowych gości, ale muszą się wówczas spieszyć, bo czas dojazdu na lotnisko to około czterdziestu minut. Śniadanie rozpoczyna się o 7:30. Wtedy bez przeszkód wejdą do hotelu i pokoju. Na stole w kopercie leży paszport na nazwisko Szymon Woźniak. Na ten dokument malec spokojnie wsiądzie do samolotu. W Maroku nie jest poszukiwany, więc tutejsze służby nie będą robić problemów. Oczywiście w Polsce system bezpieczeństwa na lotnisku od razu go wyłapie, ale tam już aspirant Nowacka sobie poradzi. Oprócz paszportu w kopercie był bilet lotniczy dla Szymona, na lot, którym mieli wszyscy wrócić do Warszawy. Samolot startuje o 9:50, co oznacza, że czasu mają niewiele. Ważne, żeby z Zuzanną był Piotr Ostrowski. Adam dużo rozmawiał z Szymonem na jego temat, opowiadał mu o nim wiele dobrego i przekonał go, że były ksiądz jest ich prawdziwym przyjacielem. Chłopiec go pamięta, ufa i będzie posłusznie wykonywał wszystkie jego polecenia. Wystarczy więc, że zrealizują ten prosty plan, a jutro będą mogli pochwalić się prasie, że odnaleźli chłopca żywego i w dobrym zdrowiu. Do publicznej wiadomości mogą podać dowolną bajeczkę, nawet wylewając na niego wszystkie ścieki; on na pewno nie będzie niczego dementował.

Po przeczytaniu listu Zuzanna zadzwoniła do Pawła. Wściekł się, kiedy dowiedział się, że Górecki ich oszukał. Kiedy ochłonął, uznał, że plan Adama jest zbyt ryzykowny. Wizja marokańskiego więzienia zniechęcała do działań na skróty. Przekraczanie granicy z fałszywym paszportem to poważne przestępstwo. A to, że robią to służby innego państwa, podchodzi wręcz pod szpiegostwo. Nie, ryzyko było zbyt duże. Kazał jej obiecać, że zastosuje się do oficjalnych procedur.

– Co jest w pana liście? – spytała, gdy zakończyła rozmowę z Pawłem i wróciła do Piotra.

Jego list był dłuższy, miał trzy strony.

– To prywatny list. – Ostrowski złożył kartki i schował je do kieszeni. – Nie ma tam nic, co miałoby znaczenie dla śledztwa.

– Rozumie pan, że będę musiała go jednak przeczytać? – powiedziała spokojnie. – Ale obiecuję, że jeżeli to nie będzie konieczne, to nie włączę go do materiału dowodowego.

Telefon zadzwonił, kiedy Paweł był na porannej naradzie u komendanta. Nie wyciszył, bo chciał być w stałym kontakcie z Zuzanną. Wszystkie działania utrzymywali cały czas w tajemnicy, więc skłamał, że dzwoni żona. Sobczyk jak zwykle nie przepuścił okazji, żeby mu dogryźć.

– A weź się przy okazji zapytaj, czy twoich jaj nie znalazła... – Sudoł, wychodząc, usłyszał za sobą rechot.

Innym razem może by się wkurzył, ale nie dziś. Dziś było to bez znaczenia. Był zmęczony. Nie spał praktycznie całą noc. Próbował się przespać, kiedy Zuzanna leciała z Ostrowskim do Maroka, bo i tak była niedostępna, lecz był zbyt przejęty, żeby usnąć. Mniej więcej o w pół do trzeciej wreszcie zadzwoniła. Okazało się, że Górecki ich wystawił. Sytuacja się skomplikowała, martwił się o Nowacką i nie spał już do rana. Teraz jednak to nie ona dzwoniła; wyświetlił się nieznany numer stacjonarny. Odebrał, nie chciało mu się wracać na naradę.

– Komisarz Sudoł, słucham.

– Dzień dobry, panie komisarzu, mówi Marchwicka z patologii.

– Dzień dobry, pani doktor. – Nie próbował nawet ukryć rozczarowania w głosie.

Najchętniej by się rozłączył. Usiadł zrezygnowany na krześle stojącym na korytarzu. Teraz, kiedy nie mieli Góreckiego, zlecenie ponownej sekcji zwłok Cholewiaka nie miało sensu. Musi to wszystko odwołać, zanim Sobczyk się dowie i będzie awantura. Ale jak ma to zrobić, skoro jeszcze przedwczoraj prosił ludzi z patologii o działanie na cito, bo sprawa ma

najwyższy priorytet i jest bezpośrednio nadzorowana przez komendę stołeczną? Wszystko się srało.

– Mamy wyniki próbek pobranych od denatów z grobu Cholewiaka.

– Denatów? – Paweł nie był pewien, czy się nie przesłyszał. – To tam było więcej osób pochowanych?

– No właśnie... – Marchwicka mówiła szybko, co było do niej raczej niepodobne. – Były tam cztery ciała.

– Cztery? Jak to cztery? Na nagrobku był wyryty tylko Cholewiak.

– Tego nie wiem, ale mój technik z policjantami po otwarciu grobowca znalazł upchane cztery trumny. W pierwszych trzech byli pochowani mężczyźni, ale w czwartej, na samym dnie, było ciało kobiety. Ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby trumnę włożyć na spód, bo stwierdziliśmy, że kobieta zmarła jako ostatnia.

– To się zdarza? Że chowa się osoby bez opisu na nagrobku?

– Nie wiem, ale nie to jest najdziwniejsze.

– Już się boję, ale zamieniam się w słuch. Mam nadzieję, że nie było tam osikowych kołków.

– Dwie pierwsze trumny z ciałami mężczyzn nie zwróciły specjalnie uwagi technika, zawierały ciała świeże, pochówki z ostatnich miesięcy, więc nie mógł to być nasz denat. Odstawili je na bok i mieli zamiar schować z powrotem do grobowca, jak skończą. W trzeciej trumnie było ciało pochowane około dwadzieścia lat temu i to przygotowali do sekcji. Na trumnie była zresztą tabliczka z nazwiskiem „Cholewiak”, więc sprawa była prosta. I na tym mogło się wszystko skończyć, bo mieli już, co chcieli, gdyby technik nie otworzył ostatniej trumny. Z zawodowej ciekawości... – Marchwicka zamilkła na chwilę.

– No i?! – zirytowany już Paweł odezwał się, przerywając budującą napięcie ciszę.

– Było tam nagie, zmasakrowane ciało kobiety. Ze zmiażdżoną twarzą.

– Jak to?! – Wstał z krzesła.

– To nie wszystko. Po tym odkryciu pan Zenek, technik znaczy, zbadał dokładnie pozostałe dwie trumny. Kiedy rozpięli koszule denatom, okazało się, że mają mnóstwo złamań i śladów tortur. Ktoś to celowo ukrył. Zostali bestialsko zamordowani, a raczej zamęczeni na śmierć. Gdyby nie ciało kobiety, moi ludzie pewnie by tego nie wykryli, bo pogrzebowe garnitury wszystko szczelnie zakrywały i tak jak mówiłam, wsadziliby trumny z powrotem.

– Musimy zbadać ciała. – Komisarz znów usiadł na krześle.

– Już to zrobiłam, wystarczyło sprawdzić odciski palców, bo wszyscy byli notowani.

– Pani doktor, czy kobieta to Ksenia Cadres?

– Tak, wszystkie nazwiska i zdjęcia ciał wysłałam panu na maila, tego, z którego pan wniosek o sekcję wysłał. Ale kobieta to Ksenia Cadres, zgadza się.

– Dziękuję. To, co odkryliście, pozwoli skazać groźnego mordercę.

Paweł pobiegł do swojego pokoju i włączył komputer. Czekał, aż się uruchomi i będzie mógł otworzyć maila od Marchwickiej. Muszą go teraz złapać. Teraz, kiedy mają ciała, już się nie wywinie. Ale najpierw muszą go dopaść.

Chłopiec zasnął, stewardessa przykryła go kocem i posłała Piotrowi czarujący uśmiech, coś w rodzaju podziękowania w imieniu wszystkich kobiet tego świata. Odwzajemnił gest. Spojrzał ponad głową Szymka w okno, chmury w oddali wolno się przesuwały, jak myśli w jego zmęczonej głowie. Był wyczerpany, ale jakoś nie chciało mu się spać. Przekreślił się powoli, tak żeby nie obudzić małego, i wyjął z wewnętrznej kieszeni list od Adama. Przeczytał go zaraz po tym, jak dał mu kopertę ten Marokańczyk, ale szybko i pobieżnie. Teraz był sam i mógł spokojnie pomyśleć. Chociaż spokojnie będzie trudno, bo list budził w nim ogromne emocje już od pierwszego zdania:

Piotrze,

życie mnie nauczyło, że ludzie są z gruntu źli. A ja jestem tego najlepszym przykładem. Nie muszę Cię przekonywać, bo mnóstwo przeze mnie wycierpiałeś. Zresztą pewnie prędzej czy później poniosę zasłużoną karę. Nie zamierzam się tłumaczyć, choć wiesz, jakie miałem marne życie, ale to nie o mnie tu chodzi. Piszę do Ciebie, bo uważam Cię za wyjątek od tej zaszranego reguły. Wierzę, że Ty jesteś dobry. Możesz pomyśleć, że to tani chwyt, manipulacja, bo przecież prawie się nie znamy, ale ja Ciebie znam. Obserwuję Cię od dawna i zawsze postępujesz właściwie. Kiedy byłeś księdzem czy później, zawsze podejmując decyzję, wybierałeś dobro. Nie zawsze dobrze, ale zawsze dobro. I wierzę, że teraz też tak zrobisz.

Opowiadałem Ci wtedy w Krawcach, że chcę z Szymkiem uciec i zamieszkać gdzieś, gdzie będę mógł zapewnić mu szczęście. To była szczerza

prawda. Przyznaję, na początku, kiedy zabrałem go z domu dziecka, zrobiłem to dla siebie. Lizałem swoje rany. Byłem egoistą, ale on oddał mi całego siebie i przewartościował moje życie. Sprawił, że powoli zapomniałem o zemście i chciałem zacząć normalnie żyć. Naprawił mnie. Okazało się jednak, że nici z naszych marzeń i planów. Nie mogę opiekować się Szymkiem, bo jestem pedofilem. Czuję do niego pociąg seksualny. Gdy to piszę, chce mi się wyć. Gwałcił mnie w dzieciństwie, zrobili ze mnie zboczeńca. Nie wiem, co się zepsuło w mojej głowie, ale powiedzieć, że to ironia losu, to nic nie powiedzieć. Boję się, że w końcu Szymek się domyśli albo kiedyś zrobię coś strasznego. Ciężko mi nawet o tym pisać. Zawsze będzie to nad nami wisiało.

Dlatego z bólem oddaję go i proszę Cię, żebyś się nim zaopiekował. Nie tylko teraz, w czasie drogi do Polski, ale na zawsze. Nie pozwól mu wrócić do domu dziecka, nie po tym, co się wydarzyło. Będzie czuł się odrzucony i to go zniszczy, uwierz mi. Wiem, że nie mam prawa Cię o to prosić. Masz przecież swoje życie, ale robię to dla Szymka. To wspaniały chłopiec i zasługuje na szczęście. Ja nie mogę mu go dać, Ty możesz. Zrób to, co dobre.

Życzę Wam szczęścia!

Adam

P.S.

Nie mów mu o mnie złych rzeczy.

Piotr złożył kartki i spojrzał na blond czuprynę wystającą spod koca. W swoim krótkim życiu ten chłopiec przeżył tak wiele; na szczęście jego dziecięcy umysł idealizował dorosłych i wciąż im ufał. Nie wiedział, co ma robić, nie zastanawiał się jeszcze nad tym. Na razie muszą przylecieć do Polski. Nie miał zamiaru podejmować tej decyzji teraz.

Zuzanna spojrzała na zegarek w telefonie, właśnie minęła dziesiąta. Była w doskonałym nastroju. Nie popsuł go nawet bezczelny sprzedawca w miejscowej, arabskiej kawiarni. Choć stała pierwsza w kolejce, traktował ją jak powietrze. Przyjął jej zamówienie dopiero wtedy, kiedy obsłużył wszystkich mężczyzn na sali. Teraz jednak z apetytem zjadała swoje sadzone jajko, podane z jakimiś dziwnymi przyprawami i lokalnym pieczywem. Do tego zamówiła czarną kawę. Wszystko było pyszne. Przed kwadransem przyszła wiadomość od Piotra, że są już z chłopcem na pokładzie samolotu.

Miała siedem godzin na przygotowanie wszystkiego w Warszawie, zanim dolecą, postanowiła więc chwilę odpocząć i zjeść porządne śniadanie. Szczęśliwie znalazła knajpkę tuż obok lotniska. Potrzebowała chwili wytchnienia. Ostatnie godziny były bardzo intensywne.

Początkowo, kiedy zrozumiała, że Górecki znów ich wykiwał, była wściekła. Próbowwała nie dać tego po sobie poznać, bo wstydziła się przyznać przed Piotrem do kolejnej porażki. Później przyszła rezygnacja, miała już naprawdę dość tego uganiania się za własnym ogonem.

– Będziemy tak czekać bezczynnie do rana? – Piotr usiadł koło niej na ławce. – Czy coś pani wymyśli?

– Niby gdzie mam go szukać? – poddała się zupełnie.

– Mam gdzieś Góreckiego, musimy zająć się chłopcem! – Nie zareagowała. – To po to mnie tu pani ściągnęła? Po to mnie pani kolega straszył?

– Kto pana straszył?

– Nieważne, zrobi pani coś w końcu?

Miał rację, nie przylecieli tu na darmo. Mieli Szymka i trzeba było go stąd zabrać. Nie mogła jednak łamać prawa i narażać innych. To nie wchodziło w grę. Sprawdziła w Internecie, co należy zrobić w przypadku utraty dokumentów za granicą. To, że Szymon Gawroński nigdy nie miał legalnego paszportu, było nienormalne, ale nie miało w tej chwili w świetle prawa większego znaczenia. Okazało się, że konsul może w takiej sytuacji wystawić tymczasowy dokument zastępczy, który pozwala wrócić do kraju. Trzeba jednak przedstawić kopię paszportu lub w inny sposób potwierdzić dane.

Zuzanna nie traciła czasu, znalazła sposób, ale musiała działać szybko.

Mimo późnej pory kolega ze stołecznej przesłał jej pocztą elektroniczną kopię aktu urodzenia i książeczki zdrowia Szymona ze zdjęciem. Takie dokumenty mieli w aktach sprawy. Znalazła stronę konsulatu w Agadirze. Na adres mailowy konsula przesłała dokumenty chłopca, zdjęcie swojej legitymacji policyjnej i oficjalne pismo z komendy stołecznej nakazujące wszystkim służbom Rzeczypospolitej udzielenie aspirant Zuzannie Nowackiej wszelkiej niezbędnej pomocy. Ten papier dostała na drogę jeszcze na poprzedni wyjazd, kiedy pierwszy raz przyleciała do Maroka, by przesłuchać tę prostytutkę. Nie było w piśmie daty ważności, więc postanowiła wykorzystać je teraz.

Sprawdziła w Internecie dane na temat konsulatu. Na rządowej stronie była informacja, że w Agadirze jest konsul honorowy, niejaki Said Rod. Zaskoczyło ją, że urzędnikiem nie jest Polak. Nie wiedziała, co to oznacza. Czy na pewno będzie mógł wystawić potrzebne dokumenty? Okazało się, że konsul honorowy, choć nie pobiera wynagrodzenia za pełnienie tej funkcji, ma pełne kompetencje i może reprezentować państwo polskie. Zuzanna znalazła Saida na Facebooku – profilowe zdjęcie przedstawiało

łysiejącego mężczyznę z obfitym wąsem, około sześćdziesiątki. Mimo uśmiechu nie wzbudził jej sympatii, była pełna obaw, czy jej pomoże. Nie miała jednak wyboru.

Kiedy wszystko było gotowe, wzięli taksówkę i pojechali z Piotrem pod adres, gdzie mieścił się konsulat. Nie było podanych godzin urzędowania biura. Nowacka postanowiła zatem poczekać czterdzieści minut, do godziny siódmej. Korciło ją, żeby zadzwonić już teraz, ale nie chciała obudzić konsula i na wstępie nastawić go do siebie negatywnie. Jego dobra wola i chęć pomocy były kluczowe.

Taksówkarz dostał dodatkowe pięć euro, a Zuzanna ustawiła alarm w telefonie na za pięć siódma i spróbowali się przespać. Mimo napięcia oboje z Piotrem usnęli prawie natychmiast. Obudził ich śpiew ze skrzeczących głośników pobliskiego minaretu, wzywający muzułmanów na pierwszą tego dnia modlitwę.

Kierowca wysiadł z samochodu, rozłożył mały dywanik, ukląkł i skłonił się w stronę wschodzącego słońca. Skończył się modlić, kiedy nad horyzontem pojawiły się pierwsze promienie. Aspirant Nowacka wysiadła z samochodu, zrobiła kilka skłonów z głębokimi wdechami, żeby obudzić organizm. Pewnie Said też zakończył modlitwę. Pełna obaw wykręciła numer telefonu kontaktowego podany na stronie.

Piętnaście minut później pędzili taksówką w stronę hotelu, z którego mieli zabrać chłopca. Zuzanna patrzyła w okno; w brudnej szybie odbijała się jej uśmiechnięta twarz. W rękę ścisnęła teczkę, a w niej dokument podróży dla Szymona Gawrońskiego i drugi, potwierdzający prawo do opieki nad małoletnim dla Piotra Ostrowskiego. Wszystkie zaświadczenia napisane były w trzech językach: polskim, angielskim i arabskim. Opatrzone zostały wieloma urzędowymi pieczęciami. Najchętniej ucałowałabym Saida, ale nie wiedziała, czy pozwala na to jego religia.

Okazał się wspaniałym, życzliwym człowiekiem. Wcześniej przeczytał otrzymanego maila i już czekał na nich z przygotowanymi papierami.

Jeszcze w konsulacie Zuzanna przebukowała swój bilet samolotowy na nazwisko Szymka, bo nie było już wolnych miejsc i nie mogła kupić dodatkowego. Sama poleci później. Musiała dopłacić dwa razy tyle co kosztował sam bilet, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. W hotelu też wszystko odbyło się bez przeszkód; wyszli we trójkę niezatrzymywani przez nikogo. Szymon robił bez sprzeciwu wszystko, o co poprosił go Piotr. Na lotnisku byli godzinę przed odlotem. Przeszli bez większych problemów przez kolejne etapy odprawy. W tym państwie czerwona pieczęć na urzędowym piśmie miała potężną moc. Na wszelki wypadek pod telefonem czekał Said, ale obyło się bez jego interwencji.

Teraz siedziała w kawiarni, zadowolona, że wszystko poszło zgodnie z planem. Miała jeszcze ochotę na ciastko, ale niechęć do rozmowy z chamem za ladą była silniejsza, więc sobie odpuściła. Otworzyła aplikację i zarezerwowała najbliższy lot do Warszawy.

Paweł spojrział na ekran telefonu, Zuzanna przesłała mu nową wiadomość. Na ekranie pokazało się zdjęcie, na którym było sadzone jajko i kawa. Zawsze wkurzało go, gdy znajomi na Facebooku wrzucali zdjęcia kotleta schabowego. Tym razem uśmiechnął się – należy jej się chwila wytchnienia. Nie powiedział jej jeszcze o sensacyjnym odkryciu patologów. Zajmą się tym, jak wróci. Miała ciężką noc, ale na szczęście wszystko się udało. No prawie wszystko, Górecki znów im spierdolił.

Komisarz przewinął kciukiem wyżej, na poprzednie zdjęcie od Zuzanny. Był na nim list Góreckiego; przesłała mu go w nocy. Przeczytał raz jeszcze. Nagle coś mu przyszło do głowy. Przełączył się na Facebooka i wpisał w okienko nazwisko tego Słowaka z listu. Czekał na wyniki wyszukiwania, wyjął z teczki kanapkę i rozwinął z papieru śniadaniowego. Facebook nie znalazł użytkownika Janko Kovac. Sudoł ugryzł spory kęs i wpisał dane dziewczyny. Komputer znów myślał.

– Ale sucha ta kanapka... – Rozchylił kromki i zajrzał do środka. – Kurwa, masła nie ma.

– O, moja stara toby już żółtą kartkę dostała. – Andrzej Buczek, właściciel biurka pod oknem, wrócił na swoje dawne miejsce po zamknięciu przez Sobczyka śledztwa i wyjeździe Zuzanny. Znów siedzieli razem w pokoju. Paweł czuł jednak, że kolega ma do niego pretensje za odsunięcie na boczny tor w sprawie Gawrońskiego.

– Tak? A ja słyszałem, że to ty jej robisz kanapki do roboty, bo nie chcesz, żeby założyli jej niebieską.

Zaśmiali się obaj. Pawłowi przypomniały się dawne czasy, sprzed sprawy Gawrońskiego. Ich docinki i przekomarzania. Był tu wtedy taki spokój, żadnego ciśnienia.

– Kawkę chcesz? – Andrzej wyjął z szuflady papierosy, zawsze do fajki robił sobie kawę. – Czy se z ekspresu zrobisz?

– Weź spierdalaj.

Coś tam jeszcze żartował, ale Sudoł już nie słuchał. Wyświetlił mu się profil Kristiny Pencovej. To musiała być ta dziewczyna, bo w ostatnim wpisie były zdjęcia zrobione w Maroku. Grupa roześmianych, młodych ludzi na basenie, na plaży, na dyskotecce. Jedna z fotografii od razu przykuła jego uwagę. Lekko wstawiona, rozbawiona Kristina obejmowała dwóch podobnych do siebie chłopców. Jednym z nich był Górecki.

Paweł zwinął z powrotem kanapkę w papier i schował do szuflady. Skopiował zdjęcie i przesłał w komunikatorze Kristinie. Otworzył program do tłumaczeń. Pod zdjęciem dopisał pytanie.

– „Cześć, czy na tym zdjęciu jest Adam?”.

– „Kim jesteś? Jego przyjacielem?” – przetłumaczył jej odpowiedź.

– „Muszę się z nim skontaktować”.

Czekał dłuższą chwilę, ale dziewczyna nie odezwała się więcej. Może powinien napisać, że jest jego przyjacielem? Może byłaby bardziej rozmowna i czegoś by się dowiedział. Był na siebie zły. Trzeba było najpierw to przemyśleć, zaplanować, a nie tak pisać od razu, z dupy. Bez sensu.

Nagle poderwał się, przestraszony niespodziewanym dzwonkiem telefonu leżącego na biurku. Dzwonek był inny niż zazwyczaj, połączenie przychodziło przez Messengera. Dzwoniła ta dziewczyna! Nie wiedział, co robić. Odebrać? Nie dogada się z nią po angielsku. A jeżeli odrzuci, to

straci kolejną szansę dowiedzenia się czegoś o Góreckim, być może ostatnią.

– Ktoś w komendzie zna angielski? – spytał Andrzeja i jednocześnie w myślach szukał odpowiedzi na swoje pytanie. – Potrzebuję tłumacza.

– Człowieku, tu połowa słabo mówi po polsku. – Kolega spojrział na niego zaskoczony.

– Kurwa! – Paweł przesunął kciukiem i odebrał połączenie. – *Wait five minutes, OK?*

Wyszedł z pokoju, zjechał windą na parter i pobiegł do sąsiadującego z komendą liceum. Kiedyś chodził do tej szkoły, to było jedyne liceum w mieście.

Młoda nauczycielka angielskiego była zaskoczona prośbą policjanta. Przerwała lekcję i przeszli do pokoju nauczycielskiego, gdzie mogła spokojnie rozmawiać.

– Tak jak mówiłem, sprawa jest bardzo ważna. – Paweł starał się jej wyjaśnić sytuację w możliwie jasny sposób. – Proszę, aby pani tłumaczyła naszą rozmowę. Dosłownie tłumaczyła, zwłaszcza to, co powie ta dziewczyna. Każdy szczegół może mieć znaczenie. – Podał jej telefon.

– Dobrze. – Nauczycielka była przejęta, ale zachowała spokój.

Sudoł przysłuchiwał się; rozumiał tylko pojedyncze słowa, bo Kristina była zdenerwowana i prawie krzyczała do słuchawki.

– Pyta, czy pan zna jakiegoś Adama i czy wie, gdzie on teraz jest?

– Proszę powiedzieć, że jestem policjantem i też go szukam.

– Mówi, że w takim razie wszystko jasne. Ich też okradł.

– Okradł? Proszę zapytać, ile i kiedy im ukradł.

– Nie pieniądze, paszport jej chłopaka. Dziś rano zauważyli i zgłosili ochronie hotelu.

– Skąd wie, że to on?

- Nagrały go kamery hotelowego monitoringu. Ukradł im podstępem kartę do pokoju i wszedł wczoraj wieczorem, kiedy wszyscy byli na kolacji.
- Niech prześle mi po rozmowie dane swojego chłopaka. I niech będzie cały czas dostępna, być może będę potrzebował jeszcze jej pomocy.
- Dobrze, zrobi tak.
- Rozłączyła się? Coś jeszcze powiedziała?
- Nie... no jeszcze, że ma nadzieję, że – cytuję – chuj złamany zgnije w więzieniu.
- Pani magister... – W drugim końcu pokoju nauczycielskiego nad zeszytami siedział stary dyrektor. – Bo będę musiał wyszorować pani buzię mydłem. Rozumiem, że czasem uczniowie dają się we znaki, ale bez przesady, nie można ich od razu wysłać do więzienia.

Zuzanna wyszła szybko z toalety dla niepełnosprawnych, rozglądając się niepewnie z obawy, że ktoś ją obsztorcuje. Skorzystała z niej, żeby się odświeżyć. Nie był to prysznic, ale czuła się lepiej. Obok co prawda były kabiny, ale wydawało jej się kłopotliwe wykonywać tak intymną czynność jak kąpiel w lotniskowej łazience. Korzystając z tego, że łazienka była pusta, przesuszyła włosy suszarką do rąk, wiszącą obok umywalki. Włożyła reklamówkę z brudną bielizną do walizki i wróciła na swoją ławkę w poczekalni.

W ciągu ostatniej doby zdążyła już poznać trochę lotnisko i zadomowić się tutaj. Rozbiła obóz w miejscu, które widziała z kawiarni, kiedy szła kupić kawę. Dzięki temu nie musiała targać ze sobą walizki i torby z laptopem za każdym razem, gdy chciała coś zjeść czy się napić. W pobliżu było gniazdko, mogła więc naładować komputer i telefon. Na dodatek miejsce było z widokiem na płytę lotniska. Zabijała zatem nudę, bezmyślnie gapiąc się na starty i lądowania kolejnych samolotów, gdzieś w podświadomości czując lekkie rozczarowanie, kiedy manewry kończyły się bez komplikacji. Złapała się na tym i szybko otrzepała z głupich myśli.

Czas dłużył jej się jeszcze bardziej od ostatniej rozmowy telefonicznej z Pawłem. Opowiedział jej o odkryciu ciał zamordowanych osób w grobie Cholewiaka. Nie było wątpliwości, że są to ofiary Góreckiego. Zmieniało to radykalnie sytuację poszukiwanego. Była przekonana, że mając ciała, są w stanie postawić mu zarzut wielokrotnego morderstwa ze szczególnym okrucieństwem i udowodnić dokonanie tych zbrodni. Jeszcze bardziej sensacyjne, bo mogące pomóc w schwytaniu Adama Góreckiego, były

informacje o kradzieży paszportu. Paweł wysłał jej zdjęcie, na którym był ten Słowak z Góreckim. Nie było wątpliwości, że podobieństwo nie jest przypadkowe. Górecki wybrał chłopaka, bo chciał mieć legalny paszport, którym mógł się posłużyć, przekraczając granicę. Czyli chce opuścić albo już opuścił Maroko. Ale w jakim kierunku? Nie było szans sprawdzenia list pasażerów samolotów wylatujących z Agadiru, od wczoraj wystartowało ich kilkaset. Zresztą musieliby uzyskać pomoc tutejszej policji, a to nie było łatwe. Jeżeli w najbliższym czasie Górecki gdzieś nie wypłynie, pewnie będą musieli to zrobić, ale Zuzanna nie miała złudzeń, że coś to da. Nawet jeżeli uda się w ciągu najbliższych dni dowiedzieć, dokąd poleciał, zdąży już zatrzeć ślady i zniknąć. Była zła, że musi tu siedzieć beczynn timer jeszcze kilka godzin, czekając na swój lot, kiedy tam się tyle dzieje.

Zadzwoił telefon.

– Hej! – Odpięła aparat od ładowarki. – Co tam?

– Cześć! – Znowu dzwonił Paweł. – Jestem na lotnisku w Modlinie.

– Już? – Odsunęła telefon od ucha i spojrzała na zegarek. – Rzeczywiście, powinni być za godzinę. Zdążysz wszystko ustalić ze służbami lotniska?

– Już ustaliłem, ale wiesz co? Jest coś jeszcze.

– Co takiego? – Zaniepokoił ją ton jego głosu. Jeżeli w międzyczasie chłopiec zniknął z samolotu, to chyba szlag ją trafi. – Coś nie tak z Szymonem?

– Nie, chodzi o Góreckiego. – W głosie Pawła słychać było ekscytację. – Przy okazji, jak załatwiałem sobie zgodę na wejście i przejęcie chłopaka, coś mnie tknęło i poprosiłem o sprawdzenie listy pasażerów wcześniejszych lotów z Maroka.

– Żartujesz...

– Nie, dziś rano do Modlina przyleciał Janko Kovac. Sprawdziliśmy monitoring, to Górecki.

– Pawełku, jesteś geniuszem!

– Dzięki! – Komplement z jej ust, nawet tak banalny, sprawił mu prawdziwą przyjemność. – Wsiadł do taksówki przed lotniskiem i pojechał do centrum. Nie wiem po co, ale wrócił.

– To rzeczywiście dziwne, on zawsze planuje swoje posunięcia. Musiał mieć jakiś powód, żeby wrócić.

– Myślisz, że kombinuje coś z Szymonem? Że wykorzystał nas, żeby go sprowadzić do kraju? A teraz będzie chciał go znowu uprowadzić?

– Nie... nie wiem... – Nagle ją olśniło. – Paweł! Gołębek! Jedź szybko do jego domu!

– O kurde, wyślę tam patrol. – Teraz dopiero połączył fakty. – Dam ci znać, jak będą na miejscu. Jadę tam.

81

Adam stał przed bramką szarej willi. Nacisnął domofon i po chwili w drzwiach wejściowych pokazała się starsza pani.

– Dobry wieczór! – Musiał podnieść głos, bo od domu dzieliło go kilkanaście metrów. – Czy zastałem pana dyrektora?

– Męża nie ma. – Kobieta zeszła po schodkach ganku i ruszyła w jego stronę, otulając się narzuconą na ramiona kraciatą chustą. – Poszedł na spacer z psem.

– To pewnie niedługo wróci?

– Tak, a pan w sprawie rynny? Mąż nie wziął komórki.

– Nie, jestem wychowankiem pana dyrektora z domu dziecka w Durdach. Akurat przejazdem jestem w Tarnobrzegu i pomyślałem, że odwiedzę. Podziękuję za trud włożony w wychowanie.

– O, to ładnie z pana strony. Proszę, niech pan wejdzie. – Czuło się od niej ciepło charakterystyczne dla starszych, dobrych ludzi. – Pewnie będzie niedługo, wcześniej się teraz ściemnia.

– Nie spieszy mi się. – Adam pchnął furtkę. – Nie chciałbym sprawiać kłopotu, ale rzadko tu bywam i pewnie nieprędko będę znów miał okazję pana dyrektora zobaczyć.

– Maria Gołąbek, żona – przedstawiła się. – Proszę, niech pan wejdzie do środka, bo wieczory już chłodne, jak słońce zajdzie. Pan młody, to nie marznie. Nawet kurtki pan nie ma.

Weszli do domu, gospodyni zaprosiła Góreckiego do salonu. Kiedy poszła przygotować herbatę z sokiem malinowym, został na chwilę sam.

Jego twarz momentalnie stężała, przyjmując surowy wyraz. Miał czas rozejrzeć się po pokoju.

Na stole, obok starych krzyżówek, leżały dwa telefony. Rozpalony kominek dawał przyjemne ciepło. Zdobily go mosiężna figurka dzika, myśliwski róg i kapelusz z piórem. Wokół pełno było zresztą myśliwskich trofeów. Fotografie wiszące na ścianach przedstawiały sceny z polowań. Myśliwi stali uśmiechnięci, zwykle w tle, nad jakimś zabitym zwierzęciem, dzikiem lub jeleniem. Obok martwych ciał dzikich zwierząt, przy nogach, leżały psy. Przyglądał się w napięciu twarzom ze zdjęć, w jego głowie z zakamarków świadomości wyłaziły mroczne myśli. Migawki wspomnień, przez lata pieczołowicie zapomnianych.

Nagle poczuł ucisk w gardle. Grupka roześmianych mężczyzn, z Gołąbkim i Cholewiakiem w centrum, siedziała na schodkach drewnianego domku, a przed nimi paliło się ognisko. Była noc, wokół wiatr wyginał gałęzie drzew. Adam miał wrażenie, że słyszy przerażający szum liści w ciemnościach nocy i czuje ten chłód, kiedy czyjeś ręce wyciągają go z ciepłego wnętrza auta i półprzytomnego prowadzą po drewnianych stopniach na górę. Na zdjęciu w jednym tylko oknie na piętrze paliło się światło. Przez firanki przebijała zielona poświata. Ujął drżącą ręką fotografię, spojrzął na rewers i przeczytał napis: „Stara Gwardia, Krasin 2001”.

– To mąż w domku myśliwskim przyjaciela. – Adam drgnął, kiedy dotknęła jego ramienia. – Ordynatora Mikruta.

– Przepraszam... – Odłożył zdjęcie na miejsce. – Nie słyszałem, jak pani weszła.

– O, mąż chyba wraca... – Uniosła palec do ust i nasłuchiwała przez chwilę. – Tak, słyszę Sabę.

– Saba to pies męża?

– Tak, wyżeł. Jego wierny towarzysz. Dziś już mąż nie poluje, i chwała Bogu, bo ciągle sama po nocach siedziałam. Ale Saba jeszcze z nim jeździła do lasu.

Usłyszeli trzaśnięcie zamykanych drzwi, rumor i szczekanie psa w przedpokoju.

– Jasiu, nie wpuszczaj Saby, mamy gościa!

82

Policyjna kia pędziła na sygnale lewym pasem drogi S7. Nawigacja pokazywała, że dojazd do Sandomierza zajmie trzy godziny. Biorąc pod uwagę ich prędkość, powinni być za około dwie. Sudoł przekazał instrukcje kierowcy i wykręcił numer telefonu Andrzeja.

– Cześć! Słuchaj, jest sprawa.

– Dawaj. Ale ostrzegam, że w portfelu mam dwie dychy i starą gumę.

– Nie rób sobie choć raz jaj, tylko słuchaj... – Ton głosu Pawła był poważny. – Dziś przyleciał do Polski Adam Górecki, ten poszukiwany listem gończym za porwanie chłopca.

– No wiem przecież, kto to jest.

– Myślmy... myślę, że przyleciał, żeby zemścić się na dyrektorze domu dziecka, w którym kiedyś mieszkał.

– Żeby mu tylko na wycieraczkę nie nasrał.

– Andrzej, kurwa, to poważna sprawa. On go chce zajebać. Ustal jego adres, tego dyrektora, i wyślij tam patrol, żeby sprawdzili, czy wszystko w porządku.

– Dobra. Jak on się nazywa?

– Jan Gołąbek, mieszka w Sandomierzu. Tyle wiem. Miejscowi powinni znać adres, bo to taka lokalna szycha czy tam społecznik. Jakby nie wiedzieli, to oddzwoń, spróbuję się jakoś na około dowiedzieć.

– Dobra, działałam.

– Tylko niech uważają! On jest niebezpieczny i może już tam być.

Andrzej odłożył telefon. Wyjął z szuflady papierosy, wstał z za biurka i nastawił wodę na kawę. Sięgnął do szafki po swój kubek z gołą babeczką,

który dostał w warsztacie, kiedy zmieniał opony w radiowozie. Wyjął cukierniczkę. Kurwa, pusta. Zapomniał kupić. Chwilę zastanawiał się, do którego pokoju pójść, bo w sąsiednich już pożyczał. Danka też go ostatnio przegoniła. Pójdzie piętro niżej, do gospodarczych. Od razu dowie się, czy znają numer na komendę w Sandomierzu.

Zza zamkniętych drzwi ganku warczała Saba, widocznie wyczuła obcego w domu. Po chwili usłyszał, jak Gołąbek wypuszcza psa na podwórze. Przez przeszklenia w drzwiach Górecki obserwował w napięciu, jak wiesza kurtkę i zdejmuje buty.

– A kogo tam, Marysiu, licho przyniosło?

– Chodź, gościa masz! – Pani Maria odwróciła się do Adama. – Mąż ma takie żarty czasem.

– Zawsze był pogodnym człowiekiem. – Górecki wstał z kanapy, wypadało okazać szacunek. Czekał, żeby się przywitać.

Gołąbek wszedł wreszcie do salonu. Nie rozpoznał Adama, chociaż próbował skojarzyć, kim jest. Zmrużył oczy, wzrok już mu szwankował. Sięgnął do kieszeni swetra.

– A skąd my się znamy? – Wyjął i założył rogowe okulary. – Niechże mi pan przypomni, bo i oczy nie te i pamięć, jak mam być szczery, też trochę nawala.

– A bo masła za dużo jesz – pani Maria chciała żartem rozładować lekko niezręczną sytuację. – Pan jest twoim wychowankiem z domu dziecka.

Nagle twarz Gołąbka stężała, w oczach pojawiło się przerażenie. Powoli, niezgrabnie, cofnął wyciągniętą na przywitanie rękę. W tym samym momencie poczuł potężne uderzenie w twarz, zatoczył się i upadł na ziemię.

– O mój Boże! – Kobieta rzuciła się, żeby pomóc mężowi. – Coś ty zrobił, bandyto!?

Gołąbek próbował się podnieść, opierając jednak ręką o fotel, drugą podtrzymywany przez żonę. Okulary i sztuczna szczęka, która wypadła mu z ust, leżały na podłodze. Pani Maria posadziła go na skórzanej kanapie. Płacząc, wytarła mu pękniętą wargę z krwi. Adam zabrał ze stołu telefony komórkowe, otworzył drzwiczki kominka i wrzucił je do ognia. Wziął ciężki żeliwny pogrzebacz ze stojaka i usiadł na fotelu naprzeciwko starego dyrektora.

– Nie mamy pieniędzy, ale mam trochę złota – pani Maria zwróciła się do Góreckiego drżącym, ale spokojnym głosem. – Dam ci wszystko, co mam, ale zostaw nas w spokoju.

– Nie przyszedłem tu po pieniądze, ale po niego. – Adam wskazał pogrzebaczem Gołąbka.

– Mamy po osiemdziesiąt lat, jak ci nie wstyd napadać na starszych ludzi!? Bandyto jeden!

– Zaraz pani się dowie, kto tu jest bandytą. – Wstał z fotela i stanął za plecami starca. – No, opowiedz żonie, jak gwałciłeś małych chłopców.

– Nigdy nie gwałciłem żadnych chłopców... – wymamrotał pod nosem. – To jakaś pomyłka.

Ledwie skończył, a cios spadł na jego bark, wyginając nienaturalnie ciało. Krzyknął z bólu. Drugą ręką Górecki odepchnął kobietę, która rzuciła się na pomoc mężowi.

– Siedź i się nie ruszaj! – Pani Maria, płacząc, zaczęła się modlić na głos. – Módl się, ale o siebie, bo twojego męża już nic od piekła nie uchroni.

– Posłuchaj – zwrócił się znów do Gołąbka – nie mów mi, że jesteś niewinny, bo ja tam byłem i cię pamiętam. Więc to naprawdę nie ma sensu. Jeszcze miesiąc temu nie gadałbym z tobą, tylko obdzierał cię powoli ze skóry. Ale jest, jak jest, masz fart, bo możesz z tego wyjść żywy. Musisz

tylko napisać nazwiska wszystkich, którzy razem z tobą w domku w lesie gwałcili dzieci. Wszystkich z tego zdjęcia.

Rzucił fotografię zabraną z kominka na ławę przed nim; szybka pękła z trzaskiem. Wyjął zdjęcie, odwrócił i położył obok długopis. Gołąbek siedział nieruchomo, wzrok wbił w białą plamę przed sobą. Analizował sytuację.

Adam dostrzegł to, musiał starego przekonać, że nie ma innego wyjścia, jak tylko przyznać się i podać nazwiska innych. Bez ostrzeżenia uderzył go pogrzebaczem w ucho, chcąc zadać jak największy ból. Jęki Gołąbka i płacz jego żony wypełniły pokój.

– Pisz!

– To nie ja...

Kolejne uderzenie, znów rozdzierający ból i spazmy płaczu. Gołąbek siedział ze zwieszoną, zalaną krwią głową. Spuchnięte ucho i warga, bezzębne usta i rozczochrane włosy, którymi zwykle maskował łysinę. Wyglądał żałośnie, ale nie budziło to w Góreckim nawet odrobiny współczucia. Tylko jeszcze większe obrzydzenie. Chociaż nie odczuwał też tej dzikiej, prostej radości z zadawania bólu ofierze, jaka towarzyszyła wcześniej jego aktom zemsty. Dziś go to męczyło. Chciał dostać te nazwiska i przekazać policji. Wiedział, że policjantom nie uda się zmusić starego do wydania pozostałych współników. Niestety nie mogą stosować tortur. Wątpił też, by udałooby im się go skazać bez jego pomocy. Musiał więc dostarczyć im informacje, które oni przekują w dowody. Nie chodziło także o samo przyznanie się do winy. Złożone w takich okolicznościach nie miało żadnej wartości procesowej. Chciał dać policjantom nazwiska. Miał nadzieję, że przesłuchanie pozostałych pozwoli im złapać jakiś punkt zaczepienia.

Stanął za plecami Gołąbka i położył pogrzebacz na jego ramieniu. Mężczyzna wzdrygnął się.

– Pisz! Cholewiaka możesz pominąć, bo jego już znam.

Stary wziął powoli długopis i napisał pierwsze nazwisko. Górecki spoglądał nad jego ramieniem, gdy kolejne dane pojawiały się na kartce. Niewyraźne litery, napisane drżącą ręką, ledwo można było odczytać. Nagle długopis, w połowie następnego nazwiska, wypadł Gołąbkowi z ręki. Miał spocone czoło i ciężko oddychał.

– On ma atak! Ma cukrzycę! – pani Maria zauważyła, co się dzieje. – Muszę mu podać lekarstwo! Ma opaskę na rękę!

Mężczyzna tracił przytomność. Adam podciągnął rękaw swetra, rzeczywiście miał na nadgarstku opaskę z informacją, że jest cukrzykiem.

– Dobrze, niech mu pani da, co trzeba.

Został z nim sam w salonie i przyglądał się jego nędznej postaci, ale bez satysfakcji. Dzięki listowi Cholewiaka znalazł go. Chyba w ostatniej chwili, bo stary stał już nad grobem. Nawet nie chciało mu się go zabijać, niech sam zdechnie. Bydlak, wyrządził tyle krzywdy. Adam pożałował, że nie wierzy w Boga. Wizja wiecznego cierpienia tego zgrzybiałego starucha sprawiłby mu przyjemność. Sam już nie miał siły go męczyć, ale nie miał nic przeciwko, żeby Gołąbek cierpiał. Chociaż wątpił, czy spędzi chociaż dzień w więzieniu, w jego wieku i z jego zdrowiem. Przynajmniej nie będzie to szczęśliwa i spokojna starość.

– Nie ruszaj się! – Zaskoczony Górecki podniósł wzrok i zobaczył Marię Gołąbek stojącą w drzwiach salonu i mierzącą do niego z myśliwskiej dubeltówki. – Podnieś ręce do góry, bo cię zastrzelę.

Uniósł powoli dłonie i odwrócił się w jej stronę. Szybko przekalkulował swoje szanse. Nie wierzył, że strzeli. Musiał tylko uważać, żeby nie spanikowała, bo wtedy może zdarzyć się wszystko.

Zrobił powoli ruch w jej stronę.

– Stój! – Pani Maria cofnęła się o krok. – Bo strzelę!

Teraz był już pewien, że nic mu nie zrobi. Nie jest łatwo zabić człowieka, nawet w takiej sytuacji. Zrobił kolejny krok; wystarczy, że zbliży się na tyle, żeby złapać lufę strzelby. Jeszcze tylko metr, wtedy będzie wystarczająco blisko.

Nagle kobieta opuściła broń. W tej samej chwili Adam poczuł tępy ból potylicy. Nad głową zawirował mu najpierw żyrandol, później stół, na koniec dywan. Wokół zrobiło się ciemno.

84

Andrzej zatrzymał samochód na trawniku przed domem Gołąbka. Po drugiej stronie ulicy był zaparkowany radiowóz, a pod bramką stało dwóch mundurowych. Podeszedł do nich i pokazał legitymację.

– Co jest, kurwa? Co się tak czaicie?

– Pies jest... – Policjanci stali przed furtką, jeden z nich trzymał w ręce kanapkę. – Trzeba jego uwagę odwrócić.

– Domofonem dzwoniliście? – Nacisnął przycisk i wziął od jednego z nich kanapkę. – Daj to.

– Dzwoniliśmy. Światło się świeci, ale nikt nie otwiera.

Buczek wyjął kanapkę z papieru i spojrzał na starego wyżła.

– Kurwa, przecież ten pies ledwo żyje! – Dał mu do powąchania kanapkę przez siatkę. – Na zawał zdechnie, jak tylko zacznie biec.

– Za dom niech mu pan komisarz rzuci.

Nagle głośnik starego domofonu zaskrzeczał.

– Słucham.

Starszy stopniem spojrzał na młodych policjantów i pokręcił głową.

– Dobry wieczór, policja. Pan Jan Gołąbek?

– Tak, a o co chodzi?

– Rutynowa kontrola. W pobliżu było włamanie, sprawdzamy, czy mieszkańcy są bezpieczni.

– U nas wszystko dobrze.

– Może pan wyjść przed dom?

– Już, tylko coś założę.

Po chwili zaświeciło się światło na ganku, otworzyły drzwi i stanął w nich Gołębek, w kapciach i narzuconej na ramiona kurtce. Podniósł rękę na znak pozdrowienia, jednocześnie pokazując, że wszystko jest w porządku.

– Dziękuję! – Andrzej też machnął ręką. – Spokojnego wieczoru.

– Nawzajem.

Policjant odwrócił się, ugryzł kanapkę, którą trzymał cały czas w dłoni, i bez słowa odszedł w stronę swojego auta.

Stary wrócił do salonu. Górecki leżał na podłodze, a nad nim stała pani Maria, cały czas celując do nieprzytomnego ze strzelby. Gołabek schylił się i podniósł zakrwawioną figurkę dzika, którą ogłuszył napastnika. Postawił ją na ławie, myśląc przy tym, że trzeba będzie pamiętać, żeby ją dokładnie umyć.

– Jasiu, idź do Banachów zadzwonić na policję, ten bandyta nasze telefony spalił.

Nie odpowiedział, wziął dubeltówkę od żony, zarzucił broń na ramię i chwycił Góreckiego za rękę.

– Weź go za drugą. – Pociągnął kawałek bezwładne ciało, po lakierowanym parkiecie szło lekko. – Do garażu.

– Po co do garażu? Jasiu, trzeba zadzwonić na policję!

– Bierz, kurwa, i nie pierdol! – Miał już dość jej zawodzenia, przeszkadzała mu myśleć.

Przeciągnęli ciało przez salon do bocznych drzwi pod schodami, które prowadziły do garażu. Było tu dość ciasno; duże kombi zajmowało sporo miejsca. W dodatku wokół pełno było niepotrzebnych rzeczy, które Gołabek, jak każdy stary człowiek, uzbierał przez lata. Na szczęście zawsze parkował samochód tyłem – tak było łatwiej wyjechać. Otworzył klapę bagażnika i wyrzucił z niego pustą skrzynkę po jabłkach i kilka reklamówek. Spojrzał na leżące ciało Adama i przekręcił nieprzytomnego na brzuch. Wiedział, jak się do tego zabrać – w bagażniku już nieraz woził jelenia czy sarnę. Najpierw trzeba włożyć korpus.

– Wsadzimy mu tułów do środka. – Złapał Góreckiego pod ramię. – Weź go tak samo.

Pani Maria zrobiła, co kazał. Bała się już odzywać, znała gniew męża, kiedy wpadał w szal. Nierzadko płakała w kuchni, przykładając mrożone jarzyny do policzka.

– No dawaj! – krzyknął zniecierpliwiony.

Po chwili tułów był już w bagażniku. Poszło całkiem sprawnie. Gołąbek przekręcił ciało na bok, głowa bezwładnie opadła. Włożył do wnętrza auta nogi. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie związać mu rąk, ale doszedł do wniosku, że szkoda czasu. Jeżeli będzie się próbował wydostać, to z przyjemnością jeszcze raz mu przypierdoli. Zamknął klapę bagażnika, położył strzelbę na siedzeniu pasażera i usiadł za kierownicą.

– Otwórz bramę! – Włączył silnik i ustawił wsteczne lusterko tak, żeby widzieć tylne siedzenia samochodu i półkę bagażnika. – Na drogę też.

Wyjechał na ulicę, policji już nie było. Do Krasina było około dwudziestu kilometrów. Znał drogę na pamięć. Po kilku minutach zjechał z głównej, dalej prowadziła wąska, nieoświetlona, ale asfaltowa szosa.

Nocna jazda go uspokoiła, spróbował zebrać myśli. Co to kurwa było? Skąd ten gnój się dowiedział po tylu latach? On już prawie zapomniał. Dawno już przestał polować, a wszystkie inne zabawy to była zamierzchła przeszłość. Myślał, że to już zamknięty rozdział, że nikt już o tym nie pamięta. A tu przychodzi taki po tylu latach i rozgrzebuje wszystko. Jeszcze ta policja. Co to wszystko oznacza? Wiedzą coś? Co mogą po kilku dekadach wiedzieć, przecież czas wszystko rozmył, zarówno dowody, jak i wspomnienia. Sam nie pamiętał już wielu szczegółów, nawet nazwisk czy chociaż imion tych chłopców. Nie, policji nie musi się bać. Trzeba się tylko pozbyć tego skurwysyna.

Minął wieś i skręcił w leśną drogę. W nocy las wygląda strasznie, ale nie dla niego, to jego środowisko naturalne. Zawsze to on polował. W życiu też brał, co chciał, i nie pozwoli, żeby jakiś gówniarz na koniec mu wszystko popsuł. Chociaż napędził mu stracha. Myślał, że już po nim.

Dojechał na miejsce. Domek myśliwski był mocno zapuszczony, nadawał się do remontu. Nie był używany od lat. W zeszłym roku Mikrut chciał go sprzedać, ale nie znalazł chętnego.

Gołębek wysiadł, stanął z tyłu auta ze strzelbą gotową do strzału i otworzył bagażnik. Górecki był przytomny, ale oszołomiony. Zwymiotował podczas drogi, mógł mieć wstrząśnienie mózgu. Patrzył na niego mętnym wzrokiem.

– Wyłaź! – Szturchnął go lufą. – Jesteśmy na miejscu. Poznajesz?

Komisarz Sudoł dotarł na miejsce; w oknie domu Gołąbka świeciło się światło. Właśnie skończył ostrą rozmowę z Andrzejem. Tłumaczył mu przecież, jakie to ważne, a ten to olał. Nawet nie wszedł do nich do domu. Co z tego, że Gołąbek wyszedł? Może Górecki trzymał nóż na gardle żony i kazał mu powiedzieć, że wszystko jest OK? Wszystko musiał robić sam.

Wysiadł z radiowozu.

– Zadzwoń do mnie za minutę. – Podał kierowcy przez otwartą szybę wizytówkę. – Jakbym nie odbierał, to wezwij posiłki i wejdź, tylko ostrożnie.

Brama wjazdowa na posesję była otwarta. Paweł wyjął broń i przeładował. Nie miał zamiaru go lekceważyć. Nie nacisnął dzwonka, najpierw postanowił zajrzeć do środka przez okno. W salonie na fotelu siedziała starsza kobieta, była sama. Patrzyła w podłogę z woskową, jakby martwą twarzą. Spokój, jaki panował w pomieszczeniu, był pozorny. Sudoł czuł w postaci kobiety napięcie. Ostrożnie zbliżył głowę do szyby, starał się objąć wzrokiem jak największą część pokoju. Nikogo więcej nie było. Wrócił do drzwi wejściowych i powoli je otworzył. W drugiej ręce miał gotową do strzału broń. Delikatnie nacisnął kolejną kłamkę i pchnął drzwi do salonu. Kobieta nie usłyszała, jak wchodził, zauważyła go dopiero, kiedy stanął przed nią.

– Komisarz Sudoł. – Cofnął broń i pokazał legitymację. – Komenda policji w Tarnobrzegu.

Zdążył się już rozejrzeć po pomieszczeniu. W pokoju była tylko ona. Wokół panował porządek, nie było śladów walki. Może przesadza, kobieta

jest już stara i ma prawo zachowywać się dziwaczne. A może jest na coś chora?

– Czy pani jest żoną Jana Gołąbka? – Schował broń do kabury. – Chciałbym porozmawiać z mężem.

– Męża nie ma.

– A o której będzie?

– Nie wiem.

– To ważne, muszę z nim porozmawiać.

– Męża nie ma.

– Dobrze się pani czuje? – Jej zachowanie wzbudziło jego czujność. Coś było nie tak. – Mogę się rozejrzeć po domu?

Nie odpowiedziała. Wyjął z powrotem pistolet i powoli podszedł do drzwi kuchni, było tam ciemno. Sięgając, próbował znaleźć włącznik, jednocześnie nie tracąc z oczu pomieszczenia. Nagle w kieszeni zadzwonił telefon. O mało nie dostał zawału.

– Wszystko w porządku! – Trochę dał się ponieść atmosferze, zajrzał już normalnie do kuchni i zaświecił światło. – Zaraz wychodzę. Nie, wszystko gra, czekaj w aucie. Dzięki.

Świruje już, nikogo tu nie ma. Wrócił do salonu.

– Proszę, tu jest mój numer telefonu. – Chciał jej dać wizytówkę, ale kobieta nie zwracała na niego uwagi. Cofnął rękę. – Kładę na kominku, dobrze? Proszę, żeby mąż zadzwonił, jak...

Zamilkł, jego uwagę przykuła stojąca na płycie fotografia myśliwych. Miała stłuczoną szybkę. To musiał być ten domek w lesie. Wziął ją do ręki i odwrócił się do żony Gołąbka. Patrzyła przerażona, jej wzrok skupiony był na zdjęciu.

– Był tu? – Kiedy zapytał, podniosła na niego wzrok. – Gdzie on jest?

– Zabrał go...

- Gdzie go zabrał?
- Nie wiem, wsadził do bagażnika... i zabrał karabin.
- Proszę się zastanowić, gdzie mógł go wywieźć.
- Nie wiem...

Nagle wszystko stało się jasne, odpowiedź trzymał w ręku. Górecki uprowadził Gołąbka, żeby zamęczyć go tam, gdzie dyrektor go gwałcił. Gdyby chciał go po prostu zabić, zrobiłby to tutaj.

– Gdzie jest ten domek? – Odwrócił fotografię w jej stronę. – Jak tam dojechać?

- Nigdy tam nie byłam.
- Jaka to miejscowość?
- Krasin.
- Gdzie to jest?
- Koło Annopola.

– Proszę dokładnie zamknąć drzwi, jak wyjdę, na wypadek gdyby porywacz wrócił. – Nie odezwała się. – Przyślę tu patrol policji i lekarza.

Wybiegł, nie czekając na odpowiedź, i wskoczył do radiowozu.

– Włącz koguta, jedziemy w kierunku Annopola – rozkazał kierowcy.

Wyjął telefon i wyszukał w Internecie numer kontaktowy komisariatu w Annopolu.

– Mówi komisarz Sudoł z komendy miejskiej w Tarnobrzegu. Macie jakiegoś funkcjonariusza, który pochodzi z Krasina? To jest gdzieś w waszej okolicy, tak? Potrzebuję ustalić tam adres pewnego domu. Super, niech do mnie zadzwoni. Tylko szybko, bo to bardzo pilnie. Muszę mieć ten adres za pięć minut, od tego zależy ludzkie życie.

Górecki szedł chwiejnym krokiem po schodach, wciąż szumiało mu w głowie i miał problemy z równowagą. Nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie się wydarzyło. Myśli rwały mu się w głowie, przeskakując w czasie i przestrzeni. Nie mógł utrzymać koncentracji. W jego świadomości pojawiały się niespójne obrazy. Szymon grający w piłkę, płonący dom, zapłakana twarz pani Marii. Nie wiedział, gdzie się znajduje.

Schody prowadziły na górę do poprzecznego korytarza. Adam się zatrzymał. Za nim szedł Gołąbek, ze strzelbą gotową do strzału.

– W prawo. – Popchnął go lufą, by przekroczył próg. – Zapomniałeś? Drzwi na końcu pokoju. Światło zapal.

Nad stołem wisiał żyrandol z rogów jelenia. Wokół stały drewniane krzesła. W centralnym miejscu pokoju leżała skóra dzika. Za kredensem znajdowały się drzwi do ostatniego pomieszczenia. Adam otworzył je i włączył światło. Widok obudził w nim jakiś niepokonany, paniczny strach. Kaloryfer, stare łóżko, lampa – wszystko wydawało mu się przerażające. Wspomnienia przelatywały jak w kalejdoskopie. Zrobiło mu się słabo, ból potylicy i za dużo emocji. Usiadł na łóżku ze spuszczoną nisko głową i ciężko oddychał. Chwilę to trwało, ale powoli szum w głowie ustępował. Pamięć stopniowo wracała.

– I po co ci to, kurwa, było? – Gołąbek stał w drzwiach, oparty o framugę. Strzelbę trzymał pod pachą z opuszczoną lufą. W tym stanie chłopak nie był groźny, porządnie mu przywalił. – Nie mogłeś mnie zostawić w spokoju? Mi już dużo nie zostało. Po co tu w ogóle wracałeś?

To, co było, minęło. Trzeba było zapomnieć, ożenić się, dzieci zmajstrować. A tak, to teraz muszę cię zabić.

– Musiałem... – Spojrzał na niego z rezygnacją. – Zrobiliście mi za dużo złego. Zniszczyliście mi życie.

– Nie pierdol, mały byłeś, gównu pamiętasz! – Nie było mu wstyd, nie żałował tego, co zrobił. – Zresztą życie to nie jest bajka, każdemu daje popalić. Co ty myślisz, że ja miałem lekko?

Gołąbek zastanowił się, gdzie go zastrzelić, żeby najłatwiej było usunąć ślady. Podchodził do tego na chłodno, nie miał żadnego dylematu moralnego z zabiciem Góreckiego. Dla niego to było to samo co strzelić do zwierzęcia, a tych zabił setki. Zabijanie to zabijanie. Nie miał oporów i wiedział, że nie będzie miał żadnych wyrzutów sumienia. Tak jak po zastrzeleniu tej gnidy Cholewiaka. Sam zaproponował, że to zrobi. Zabił go, a wszyscy innymi zeznali, że to był wypadek. Jeszcze tego samego wieczoru w domku opijali załatwienie sprawy. Mieli w dupie jego śmierć, cieszyli się, że mają problem z głowy.

Tak, w łazience będzie najlepiej. Potem zakopie ciało na polance za domem. Tam, gdzie zawsze zakopywali patrochy.

Paweł zobaczył między drzewami światła w oknach domku. Byli na miejscu, kazał kierowcy zwolnić i włączyć tylko postojówki. Całkiem nie dało się zgasić, bo droga była wąska, a korony drzew zasłaniały resztki światła.

Zatrzymali się kilkanaście metrów przed wjazdem. Nie chciał, żeby ich zauważył za wcześnie, straciliby wtedy element zaskoczenia.

– Posiłki jadą, karetka też. – Sudoł wyjął pistolet z kabury, przeładował i odbezpieczył. – Ja wejdę do środka od frontu, a ty idź na tył domu i uważaj, żeby nie spierdolił oknem.

– A jak będzie uciekał? – Policjant był przerażony całą sytuacją, zdecydowanie go przerosła. – Co mam robić? Strzelać?

– Najpierw w górę, a jak się nie zatrzyma, to wal w niego. – Sprawdził magazynek. – Idź, ja chwilę poczekam, to zdążysz przejść dookoła. Tylko lasem, żeby cię nie zauważył.

Nie miał zamiaru czekać na posiłki i znów wyjść na frajera, jak w Krawcach. Nie da się drugi raz zrobić w chuja.

Przyczajony pobiegł truchtem do drzwi, nacisnął klamkę i delikatnie pociągnął. Otworzyły się na zewnątrz z cichym skrzypieniem. Ostrożnie wszedł do korytarza; na górze paliło się światło. Dochodziły stamtąd głosy. Wszedł po schodach, przesuając się plecami po ścianie. Broń cały czas trzymał przed sobą, gotową do strzału. Korytarz na piętrze rozchodził się w dwie strony, a Sudoł nie znał rozkładu domu. Górecki łatwo mógł go zejść od tyłu. Nie chciał ryzykować.

– Policja! – krzyknął ze schodów, nie wychylając się na korytarz. – Górecki, jesteś aresztowany! Wyjdź z rękami podniesionymi do góry!

W domu zapanowała zupełna cisza. Paweł słyszał dudnienie własnego serca. Nie wiedział, co robić. Jeżeli się nie podda, będzie musiał tam wejść. A tamten jest uzbrojony i gotowy na wszystko.

– To koniec! Wypuść Gołąbka i poddaj się! – Starął się zachować stanowczy ton i powstrzymać drżenie głosu. – Dom jest obstawiony. Nie masz szans na ucieczkę!

Znów cisza. Przerwał ją nagły rumor, jakiś jęk. Komisarz przełknął ślinę. Musi coś zrobić, musi tam wejść.

– Nie strzelać! – Nagle usłyszał głos dobiegający z góry. – To ja, Jan Gołąbek! Wychodzę!

Paweł wyjrzał i szybko cofnął głowę. W kącie korytarza pod ścianą stał starszy mężczyzna z rękami uniesionymi nad głowę. To musiał być Gołąbek. Wyjrzał jeszcze raz i ruszył powoli w jego kierunku. Były dyrektor miał przerażone oczy, opierał się plecami o ścianę i wskazywał palcem drzwi od pokoju.

– Tam jest – szepnął, pokazując jednocześnie palcem i przesunął się po ścianie za Sudoła. – W tamtym pokoju.

– Jest uzbrojony?

– Strzelbę ma.

– Idź, na podwórzu stoi radiowóz. Poczekaj tam.

– Sam pan jest? Gdzie reszta policjantów?

– Jada, idź.

Sudoł powoli przesunął się wzdłuż ściany w stronę drzwi do pokoju. Zrobił kilka wdechów, klęknął na jedno kolano i szybko zajrzał do środka. Miał nadzieję, że jeżeli Górecki czeka gotowy do strzału, to będzie mierzył na wysokości głowy i nie zdąży zareagować.

Adam leżał na łóżku. Paweł spojrzał ostrożnie jeszcze raz i upewnił się, że się nie rusza. Stał w drzwiach, cały czas mierząc do niego z pistoletu. Nie widział strzelby. Nagle usłyszał cichy metaliczny dźwięk odbezpieczania broni. Obrócił głowę w stronę Gołąbka. Zaskoczony spostrzegł, że stary trzyma w rękach wycelowaną w niego dubeltówkę. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był wydobywający się z lufy snop ognia. Siła wystrzału rzuciła go o ścianę, poczuł rwący ból w prawym boku, usta zalała mu krew.

Był już nieprzytomny, kiedy były dyrektor podszedł do niego i wyjął mu z ręki pistolet. Stary odwrócił się do Góreckiego. Nie ruszał się, bo chwilę wcześniej ogłuszył go uderzeniem kolbą. Wymierzył w leżącego. Przez sekundę celował, opuścił jednak rękę i zrobił krok w jego stronę. Przymierzył jeszcze raz i strzelił. Kula wstrząsnęła ciałem, a biały podkoszulek zaczął szybko nasiąkać krwią. Gołębek naciągnął rękaw swetra i ujął przez ubranie lufę pistoletu, drugim rękawem wytarł swoje odciski palców z broni. Następnie włożył ją w bezwładną dłoń Sudoła.

– Panie komisarzu! Wszystko w porządku?! – usłyszał z dołu głos policjanta. – Idę do pana!

Teraz musiał działać szybko. Nie musiał czyścić swoich odcisków palców ze strzelby, była przecież jego. Dotknął tylko kolby i spustu dłońmi Góreckiego i rzucił karabin obok jego ciała. Słyszał kroki na schodach.

– Tutaj! – zawołał w dół korytarza. – Górecki zastrzelił komisarza! Obaj nie żyją!

Policjant wbiegł na górę i ukląkł przy ciele Sudoła. Zastygł na chwilę, badając puls. Wyjął szybko telefon.

– Mówi posterunkowy Karol Machała z komendy w Tarnobrzegu, przyślijcie karetkę! Była strzelanina, policjant dostał! – Spojrzał na ciało Adama. – Dwie karetki. Tak, jest dwóch. Pulsu prawie nie czuć, przestępca

chyba nie żyje. Nie wiem. Tak, dom w lesie przy drodze z Annopola do Krasina. Będziemy czekać przy głównej drodze. Dawajcie szybko!

Rozłączył się i podszedł do Góreckiego. Dotknął tętnicy na szyi.

– Nie żyje... – Odwrócił się do Gołąbka. – Jak to się stało?

– Policjant krzyczał, że jest aresztowany i żeby się poddał, a ten do niego strzelił. Zanim upadł, zdążył też wystrzelić i go zabił.

– Niech pan weźmie samochód, wyjedzie na główną drogę i pokieruje tu karetki. Ja zostanę.

– Dobrze.

Stary wyszedł z domu, wszedł do auta i ruszył w stronę głównej drogi. Po kilku minutach był już na skrzyżowaniu, skręcił w stronę Sandomierza, wrzucił trójkę i przyspieszył. Z przeciwka minęła go pierwsza karetka, w lusterku widział, jak przejechała zjazd i popędziła prosto. Nie martwił się specjalnie, że policjant jeszcze żył, to była tylko kwestia czasu. Trafił go w bok na wysokości brzucha i klatki piersiowej. Nabojem z grubym śrutem, na większą zwierzynę. Musiał mieć sieczkę z bebeczów. Widział nieraz, co taki nabój robił z wnętrznościami zwierząt. Nie ma szans.

Piotr rozglądał się po lotnisku. Szymek trzymał go za rękę i podrygiwał. Mały musiał do łazienki, ale Ostrowski nie chciał, żeby policja ich szukała. Nikt na nich jednak nie czekał; wyszli z wszystkimi pasażerami samolotu, a teraz stali sami w pustej, wielkiej hali, gdzie podróżni odbierali bagaże.

– Piotrek! – Mały krzywił się i patrzył w stronę toalety. – Siku!

– Dobra, chodź. – Poszli w tamtą stronę. – Pójdziemy razem.

Był zaskoczony takim obrotem sprawy, zgodnie z ustaleniami z Zuzanną policjanci z Tarnobrzega mieli na nich czekać na lotnisku i odebrać chłopca. Próbował się do niej dodzwonić, ale była niedostępna. Pewnie była już w samolocie i miała wyłączony telefon.

Polubił Szymka, w ciągu ostatnich kilku godzin poznali się i poczuli do siebie sympatię. Chłopiec był otwarty i radosny, a Piotr odkrył, że rozmowa z nim sprawia mu dużą przyjemność. Teraz nie wiedział, co ma zrobić. Nie tak miało być. Był zły, głównie ze względu na malca. Nawet tak prostej rzeczy nie umieją zrobić, jak należy. Mieli to przeprowadzić jakoś delikatnie, żeby Szymek możliwie łagodnie zniósł powrót do domu dziecka. Mężczyzna chciał nawet zaproponować policjantom, że pojedzie z nimi do Durd i pomoże mu przez to przejść. A teraz co, ma go zaprowadzić na lotniskowy komisariat i tak po prostu zostawić?

– Już. – Mały zadarł do góry uśmiechniętą buzią i z ufnością czekał na to, co zrobi Piotr.

– No to jedziemy. – Po chwili namysłu wziął go za rękę i ruszył w stronę wyjścia.

– Gdzie? – Chłopak przebiegał szybko nogami, podskakując co kilka kroków, żeby za nim nadążyć.

– Do mojego mieszkania, poznasz moją narzeczoną.

– Ładna jest?

– Sam zobaczysz.

Po drodze Szymon gapił się przez okno taksówki na Warszawę, a Ostrowski wpatrywał się w niego, odganiając uporczywie powracające pytanie: co dalej?

Zanim weszli do mieszkania, zrobili dodatkowy kurs windą. Piotr przekręcił klucz w zamku i wpuścił małego pierwszego do przedpokoju.

– Hej, jesteś nareszcie! – Ciepły ton Basi rozczulił go; poczuł, jak bardzo się stęsknił. – Gotuję spaghetti!

Wychyliła się zza drzwi w ponętnej pozie. Włosy miała spięte opaską w stylu lat sześćdziesiątych. Zawiązana na guzeł, rozpięta kraciasta koszula, podkreślała dekolt i odkrywała pępek. Opięte dżinsy i białe stopy z pomalowanymi na czerwono paznokciami dopełniały obrazu. I ten czarujący uśmiech. W takich chwilach znów się w niej zakochał, jakby widział ją po raz pierwszy.

– O, to was jest dwóch... – Uśmiechnęła się, choć widok Szymona ją zaskoczył. – A ty coś za jeden?

– Szymek! – Chłopiec odwzajemnił jej uśmiech, zadarł głowę do góry i spojrzał na Piotra: – No, piękna.

– Szymek... – Kucnęła przed nim. – Komplementarz... A spaghetti lubisz?

– A dobre?

– No raczej.

– To lubię.

– Tam jest łazienka. – Zaśmiała się szczerze. – Idź, umyj ręce.

Zostali z Piotrem sami. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała, coś tam mrużąc. Odwzajemnił pocałunek. Brakowało mu jej, jej pozytywne nastawienie do życia zawsze pomagało przegonić złe myśli. Teraz też tak było.

– Co to za dzieciak? – spytała. – Chyba nie twój syn?

– Zgadłaś. Proboszcz z Sandomierza kazał go zabrać, bo w lochach kościoła jęczy i mszy się nie da prowadzić.

– To przecież chyba kościół ma jakieś metody na takich łobuzów. Dyby albo stosik mały jakiś... – Śmiali się, co jakiś czas całując.

– Wieczorem ci wszystko wytłumaczę, jak uśnie. Bo przenocuje dziś u nas, OK?

– OK, ale w pokoju mu pościelę, bo w prognozie pogody mówili, że przez naszą sypialnię przejdzie dziś w nocy huragan Barbara.

Książd przeżegnał się, skinął w ich stronę głową i odszedł. W samą porę, bo zaczął mżyć nieprzyjemny drobny deszcz. Stali we trójkę.

Ostrowski zadzwonił do Zuzanny wczoraj i poprosił, żeby dała mu znać, gdzie i kiedy zostanie pochowany Górecki. Dowiedział się o wszystkim z wiadomości. Ustaliła i pomyślała, że też pójdzie. Teraz miała wątpliwości, czy to była dobra decyzja. Nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Piotr i Adela Cholewiak modlili się; ona nie była wierząca, stała więc i próbowała zrozumieć. Nie wybaczyć, ale przynajmniej zrozumieć. Gdyby nie znała treści listu Adama napisanego do Piotra, pewnie by jej tu nie było. Nie przyszłaby na pogrzeb mordercy przyjaciela. Jednak dramat jego historii ją poruszył. Zwłaszcza że strata Pawła pozbawiła ją tego pancerza obojętności na ludzką tragedię, jaki musi mieć każdy śledczy w kryminalnej. Nie czuła do niego nienawiści. Tak naprawdę za śmierć komisarza bardziej winiła Sobczyka niż Góreckiego. Na nim skupiła się jej złość. Fakt, to Adam strzelał, ale on był jak zaszczute zwierzę, które zranione gryzie na oślep. To Sobczyk w swojej arogancji i egoizmie spowodował, że musieli działać praktycznie bez pomocy, zdani tylko na siebie. Nikt by nie zginął, gdyby zachował się, jak należy. Dlatego złożyła oficjalną skargę do komendanta wojewódzkiego. Nie chciał jej przyjąć, ale postawiła na swoim. A dziś rano Sobczyk pojawił się na pogrzebie Pawła, jak gdyby nigdy nic.

Uroczystość odbyła się z wszelkimi honorami. Przyszło prawie całe miasto. Były sztandary, przemówienia i salwy z karabinów. Przemawiali komendant wojewódzki, prezydent miasta i Sobczyk. Każdy chciał się ogrzać w chwale bohatera. Tylko Zuzanna stała z tyłu, w tłumie. W połowie

ceremonii wyszła z cmentarza. Nie wytrzymała, kiedy Sobczyk wspominał Sudoła jako śledczego z niespotykaną intuicją i wspaniałego kolegę, "z którym zawsze można było pogadać".

Teraz była na drugim tego dnia pogrzebie. Pani Adela położyła na uklepanym łopata grobie wiązanek z gerber, Piotr zapalił znicz. Zuzannie po policzku spłynęła łza. Tysiąc razy bardziej wolałaby taki pogrzeb niż ten festiwal obłudy, jaki zaserwowali Pawłowi.

– Idzie pani? – Piotr zaciągnął na głowę kaptur.

– Za chwilę... – Poczowała, że też jest jej zimno. – Zamienię jeszcze słowo z panią Cholewiak.

– To do widzenia.

– Do widzenia, panie Piotrze.

Adela Cholewiak zaczepiła Nowacką rano na pogrzebie Pawła. Poprosiła o rozmowę. Zuzanna powiedział jej, że zaraz jedzie na cmentarz komunalny, gdzie będzie chowany Górecki, a potem prosto do Warszawy. Pani Adela postanowiła też pójść, więc umówiły się na miejscu. Teraz obie stały nad świeżym grobem.

– Dziękuję, że się pani zgodziła ze mną porozmawiać, wiem, że to dla pani trudny dzień.

– Nie ma sprawy, usiądziemy w moim samochodzie? Zimno jest.

– Nie, tu jest dobre miejsce na tę rozmowę. – Cholewiakowa mówiła spokojnie, choć widać było, że nie jest jej łatwo. – Chciałam się z panią spotkać, bo nie pozwolę, żeby mu znowu uszło na sucho.

– Komu?

– Gołąbkowi.

– Mnie też męczy, że nie możemy go ukarać za te dzieci, ale proszę mi wierzyć, z prawnego punktu widzenia to niemożliwe. Wszystko uległo przedawnieniu.

– Nie chodzi teraz o dzieci... – Spojrzała Zuzannie w oczy. – Chodzi o
mojego męża i tego policjanta.

– Jakiego policjanta?

– Gołąbek go zabił, tak jak mojego męża. A nie ten chłopak. – Widziała,
że policjantka jej nie wierzy. – Była u mnie żona Gołąbka, pytała, czy to
prawda, że jej mąż i mój porywali dzieci. Nie miałam listu, bo dałam wam,
ale opowiedziałam jej, co w nim było napisane. Rozpłakała się i
powiedziała, że to Gołąbek zabrał wtedy do domku w lesie Adama
Góreckiego, a nie odwrotnie, jak piszą gazety. I ona myśli, że to Gołąbek
ich zabił. Bo to on miał strzelbę.

Epilog

Od śmierci Pawła minęły cztery miesiące. To był niezwykle trudny okres w jej życiu. Wiele się w tym czasie zmieniło. Aspirant Nowacka była teraz komisarz Nowacką. Awans nie ucieszył jej specjalnie, ale przyjęła go, nie chciała robić scen.

Po rozmowie z Adelą Cholewiak nie wróciła do Warszawy. Wynajęła mieszkanie w Tarnobrzegu, poprosiła o przeniesienie do tutejszej komendy i przydzielenie śledztwa w sprawie zabójstwa Sudoła. Musiała się bardzo postarać, żeby dostać to śledztwo, bo góra miała wątpliwości z powodu jej osobistego, emocjonalnego zaangażowania. Ostatecznie zgodzili się, bo przekonała ich, że nikt nie zna okoliczności sprawy tak dobrze jak ona. A może dlatego, że zgodziła się wycofać swoje oskarżenia i oficjalnie przeprosić Sobczyka.

Wczoraj w sądzie w Tarnobrzegu odbyła się pierwsza rozprawa w procesie Jana Gołąbka. Został oskarżony o podwójne zabójstwo, w tym zabójstwo policjanta na służbie, za co groziło mu co najmniej dwanaście lat. Prokuratura zażądała dożywocia. Dochodzenie przygotowawcze tego procesu w rekordowo krótkim czasie przeprowadziła grupa dochodzeniowa pod dowództwem Nowackiej. Śmierć policjanta nadawała śledztwu najwyższy priorytet. Choć miało ono status poszlakowego, bo nie było naocznych świadków wydarzeń, to materiał był na tyle mocny, że prokurator nie miał wątpliwości i postawił zarzuty. Powołani przez Nowacką biegli bardzo szybko wykluczyli wersję wydarzeń przedstawioną przez Gołąbka. Twierdził, że komisarz Sudoł i Górecki zastrzelili się wzajemnie. Natomiast policjant, który był w czasie zajścia pod domem w

lesie, zeznał, że owszem, padły dwa strzały, ale w odstępie co najmniej kilkunastu sekund. Ciężki charakter ran ofiar wykluczał, żeby któryś z zamordowanych mężczyzn był w stanie oddać strzał po takim czasie, do tego tak precyzyjny. Wykluczały to też badania balistyczne, kąty padania strzałów i ułożenie ciał. Na dodatek na obydwu sztukach broni znaleziono odciski palców Gołąbka. Co prawda widać było, że pistolet wytarł, ale zrobił to niedokładnie i zostało kilka odcisków palców. Ślady jego linii papilarnych na strzelbie nie były obciążające, ponieważ była to jego broń, ale skąd się wzięły na pistolecie Sudoła, nie umiał wyjaśnić. Tak samo jak drobinek prochu znalezionych na prawym rękawie swetra i kurtki. W bagażniku jego samochodu policja zabezpieczyła resztki wymiocin i plamki krwi należących do Adama Góreckiego. To potwierdziło zeznanie żony oskarżonego, że Górecki w pewnym momencie zmienił się z napastnika w ofiarę i to Gołąbek uprowadził go z zamiarem zabójstwa. Za motyw zbrodni uznano chęć ukrycia przez byłego dyrektora domu dziecka udziału w aferze pedofilskiej sprzed lat. Prokurator był zadowolony, policjanci dobrze wykonali swoją robotę.

Zuzanna siedziała teraz przy swoim nowym biurku. Z okna było widać parking przed komendą, który w sobotę był prawie pusty. Na drzwiach wisiał nowy kalendarz z umorusaną, gołą babeczką opartą o stertę opon. Andrzej nie miał zamiaru go wieszać, kiedy się wprowadziła, ale kazała przykleić.

Spojrzała na zdjęcie i uśmiechnęła się do siebie. Rozbawiła ją myśl, że czuje się trochę jak ta naga dziewczyna z reklamy zakładu wulkanizacyjnego. Ubrana w krótką, wydekoltowaną sukienkę i szpilki. Do wizyty u fryzjera się nie zmusiła, ale zrobiła sobie makijaż. Zaskoczyli ją tym zaproszeniem na ślub, pewnie dlatego nie odmówiła. Co prawda pomogła Piotrowi i Basi przy adopcji Szymka, ale zaproszenia się nie

spodziewała. Zeznawała w sądzie rodzinnym i załatwiła im adwokata ze znanej warszawskiej kancelarii. To był dobry ruch, bo łebski mecenas szybko uzyskał dla nich prawo do opieki nad chłopcem na podstawie papierów wystawionych przez konsula w Maroku. Okazało się, że to był ważny dokument, wystarczyło usankcjonować go w sądzie. Raz przyznanego prawa przez państwowego urzędnika, jakim był konsul, nie można było bez powodu odebrać. Tak orzekł sąd ku radości wszystkich zainteresowanych.

Zuzanna miała poczucie, że udało jej się zamknąć pewien rozdział. Zrobiła to, co powinna zrobić dla przyjaciela. Życia mu nie wróci, ale winny zostanie ukarany. Szymon też był bezpieczny wśród kochających go ludzi. Ale w głębi serca czuła, że jest coś jeszcze. Była też coś winna Adamowi. Wysunęła szufladę biurka. Wszystkie akta zebrane w sprawie przekazała prokuraturze, w środku została tylko fotografia grupy myśliwych na tle domku w lesie. Wyjęła zdjęcie, przypięła pinezką na środku pustej tablicy i wyszła z pokoju.

Koniec